

KONSERWATYZM ŻŁOTEGO ŚRODKA?

Piotr Semka o Jarosławie Gowinie,
który szykuje polityczny powrót



Gigantyczne podwyżki
pensji samorządowców

TYGODNIK LISICKIEGO

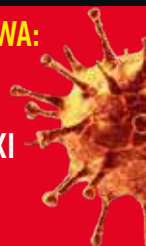
DO RZECZY

CENA 8,90 zł (W TYM 8% VAT) NR 02/458 10-16 STYCZNIA 2022



PRZEŁOMOWA ROZMOWA:

JAK PSYCHOZA
COVID-19
ROZŁOŻYŁA NA ŁOPATKI
POLSKI SYSTEM
OCHRONY ZDROWIA



Lewacy atakują lewaków
- pierwsza wojna squatów
w Warszawie

ILE KOSZTUJE NAS UNIA?

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
0.2 >
9 772299 850000
Nakład: 54 000 egzemplarzy



Rachunek dla Polaków

Ceny gazu



Ceny prądu



FRANS TIMMERMANS

URSULA VON DER LEYEN

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

ROZMOWA Z BOHATERKĄ
POWSTANIA
WARSZAWSKIEGO!

Andrzej Brzeziecki – Żychoń: superszpieg II RP
Tomasz Stańczyk – Tragedia majora Sosnowskiego
Arkadiusz Karbowski – Inwazja w Zatoce Świń
Sławomir Cenckiewicz – LWP przeciwko narodowi
Mikołaj Iwanow – Feliks Kon: czerwony renegat
Piotr Zychowicz – Zbrodnia US Navy na Pacyfiku
Sławomir Koper – Tajemnica DNA Śmigłego-Rydza

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA HISTORIA.DORZECZY.PL

Zatroszczmy się o Holendrów



PAWEŁ LISICKI

Przestawiciele polskich władz wielokrotnie, i słusznie, krytykują postępowanie Unii Europejskiej. Ostatnio mówił na ten temat prezes PiS, Jarosław Kaczyński: „Dokładnie tak – traktaty w Unii przestały obowiązywać, a nowym prawodawcą stał się TSUE”. Prezes dodał, że „blokowanie wypłat dla Polski z KPO jest całkowicie bezprawne. Nie ma żadnych, powtarzam: żadnych, podstaw merytorycznych czy prawnych. To nielegalne działanie, łamiące praworządność i zwykłą uczciwość”. Co z tego jednak, kiedy do tej pory polski rząd nie znalazł sposobu, by tym „nielegalnym działaniom” skutecznie się przeciwstawić?

Co więcej, musi pojawić się pytanie, jak te oceny prezesa PiS, który trafnie dostrzega niebezpieczeństwo „budowania federalnej UE pod przewodnictwem Berlina”, mają się do deklaracji z maja 2021 r. premiera Mateusza Morawieckiego, który przekonywał w Sejmie, że środki, które Polska ma dostać od Unii, to „drugi plan Marshalla”? Łatwo dostrzec, że coś tu nie pasuje. Albo mamy do czynienia z zagrożeniem i bezprawną próbą federalizacji, albo powinniśmy się cieszyć, że za sprawą Brukseli dokonuje się w Polsce dziejowy przełom cywilizacyjny i wszystkim będzie się żyło dostatnio. Inaczej: albo Bruksela jest dla naszej suwerenności zagrożeniem, albo jest dla nas dobrym, szczerobliwym i miłym starszym wujkiem. Na coś rządzący muszą się zdecydować.

Inaczej trudno zrozumieć, o co chodzi. Ów szumnie zapowiadany „plan Marshalla” do tej pory do Polski nie trafił; przeciwnie – Komisja Europejska wciąż dokonuje oceny polskiego Krajowego Planu Odbudowy.

Jest to działanie „nielegalne i nieuczciwe”, słusznie. Tylko dlaczego polski rząd wcześniej nie wziął pod uwagę takiego scenariusza? Chciałbym wiedzieć, czy polski premier został w listopadzie 2019 r. oszukany. Czy obiecano mu coś, czego nie dotrzymano? Czy też wykazał się naiwnością i nie zabezpieczył się na wypadek podjęcia przez Unię „działań nieuczciwych”? Dlaczego w czasie, kiedy to Bruksela zabiegała o polskie wsparcie dla unijnego Funduszu Odbudowy – przypomnę słynny moment hamiltonowski w budowie unijnego państwa federacyjnego – Polska nie skorzystała z sytuacji i nie postawiła partnerów unijnych pod ścianą tak, jak oni stawiają teraz Polskę? Te pytania o przeszłość prowadzą do pytań o przyszłość. Jak właściwie wygląda pomysł na wyjście z obecnego zapętlenia w relacjach z UE? Czy rzeczywiście jesteśmy skazani na wezwania, apele, wyrazy oburzenia i analizy – zwykle w postaci wywiadów prasowych prezesa Kaczyńskiego?

Być może pierwszym pozytywnym znakiem zmiany tej bierności jest propozycja Ministerstwa Sprawiedliwości, które to domaga się, by do porządku obrad najbliższej Rady Europejskiej wprowadzono dyskusję na temat brutalności służb porządkowych w Niderlandach. Słusznie. Nie da się ukryć, że zdjęcia holenderskich policjantów, którzy pałają brutalnie demonstrantów, kopią ich, szczują ich psami, okaleczają – a wszystko w imię ich dobra i zdrowia – powinny być naturalnym przedmiotem zainteresowania urzędników Unii. „Będziemy oczekiwać również przedstawienia w tej sprawie komunikatu

ze strony Komisji Europejskiej, która ochoczo komentuje bieżące wydarzenia w Polsce, a wobec narastającej od lat brutalności policji w wielu państwach UE pozostaje bierna” – napisał w związku z tym Sebastian Kaleta, wiceminister sprawiedliwości.

Chciałbym powiedzieć: wreszcie. To jest wreszcie właściwy kierunek. Polska nie może cały czas biernie przyglądać się bezczelności. To przecież premier Holandii Mark Rutte trzy miesiące temu mądrzył się i odgrażał, mówiąc, że „przywódcy UE będą musieli być twardzi wobec Polski”. To on właśnie był jednym z głównych zwolenników tego, by nie udostępniać Polsce pieniędzy dopóty, dopóki nie zostanie „rozstrzygnięta kwestia niezależności polskiego sądownictwa”. Chciałbym, żeby teraz polski premier doprowadził do tego, żeby pan Rutte opowiedział, jak ma się użycie psów i lanie pałami obywateli do praworządności, o którą tak dba w Unii. Chciałbym, żeby polski premier umiał być tak twardy i stanowczy wobec pana Ruttego, jak pan Rutte umiał wobec niego.

Recz nie dotyczy tylko Holandii. Od pewnego czasu Marek Jurek postuluje, także na łamach „Do Rzeczy”, powołanie specjalnej komisji sejmowej, która przygotowywałaby doroczny raport na temat przestrzegania praw człowieka w państwach Unii. Dzięki temu można byłoby pokazać skalę lewicowo-liberalnego zamordyzmu, naruszeń prawa do życia, do wolności słowa, wreszcie jawnego łamania zasad prawa naturalnego. To jest jedyna właściwa droga: Polska musi wykorzystać pełnię środków, którymi jeszcze dysponuje, żeby się bronić. Nie ma lepszej obrony niż atak. ©©



TEMAT TYGODNIA

14 ŁUKASZ WARZECHA
**UNIA EUROPEJSKA
WYSTAWIŁA RACHUNEK**
Wszyscy płacimy za Zielony Ład

19 PAWEŁ SZAŁAMACHA
SKOŃCZYĆ Z UNIJĄ BEZKARNOŚCIĄ

KRAJ

20 PIOTR SEMKA
GDY SÓL TRACI SMAK
Trudny powrót byłego wicepremiera

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
CZAS NA NOWY PIS

26 KAMILA BARANOWSKA
POWRÓT PAWLAKA

28 TOMASZ ROWIŃSKI
NIEMIECKA OBSTRUKCJA

32 JAKUB ZGIERSKI
PIERWSZA WOJNA SQUATOWA

34 ŁUKASZ ZBORALSKI
NASZ DROGI WÓJT

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
KOLĘDA NA ŻYCZENIE

KULTURA

38 WIESŁAW CHEŁMINIAK
BOSKIE CIAŁA I POGAŃSKIE DUSZE
Kuszenie dawnych mistrzów

42 PIOTR GOCIEK
BIEDNI POLACY PATRZĄ NA KOREĘ

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

50 ROZMOWA Z LEK. MED. JERZYM MILEWSKIM
**JAK PSYCHOZA COVID-19
ROZŁOŻYŁA NA ŁOPATKI
POLSKI SYSTEM OCHRONY ZDROWIA**
Co dane z Polski mówią o COVID-19?

53 KS. ANDRZEJ KOBYLIŃSKI
**CZAS ŚCIGAĆ
RODAKÓW DO OJCZYZNY**

HISTORIA

56 KRZYSZTOF
MASŁOŃ
**JERZEGO ŁOJKA
TYTUŁ DO
CHWAŁY**
Historyk na tropie
zdrady elit



ŚWIAT

62 ROZMOWA Z RYSZARDEM CZARNECKIM
ZMORA PACYFIZMU
Wzrost cen energii to
w olbrzymiej mierze wina Unii

64 MACIEJ PIECZYŃSKI
LENIN UMARŁ. NIECH ŻYJE STALIN!

68 WITOLD REPETOWICZ
TALIBOWIE U BRAM EUROPY

EKONOMIA

70 JACEK PRZYBYLSKI
KONIEC MIESZKANIOWEJ GORĄCZKI?
Rosnące raty hamują popyt na nieruchomości

72 ROZMOWA Z JÓZEFEM KUBICĄ
UNIA ZNISZCZYŁA PUSZCZĘ

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK
**STARSZA PANI
WCIAŻ SZALEJE**
Skandalistka
na scenie



FELIETONY: SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ZYCHOWICZ, KOPER (60), PRZYBYLSKI (61), GABRYEL, WARZECHA (76), KOMUDA (77), KARWELIS, POSPIESZALSKI (79), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

Droży Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@дорзeczy.pl.

„Opamiętajcie się!” Jan Pospieszalski, „DRz” 1/2022

Szanowni Państwo, chciałbym bardzo serdecznie podziękować Redakcji za zamieszczenie artykułu Jana Pospieszalskiego „Opamiętajcie się!”. [...]

Bardzo bliskie jest mi zaprezentowane stanowisko, a także zawarta w artykule idea zaapelowania do posłów sygnatariuszy [chodzi o posłów, którzy podpisali się pod projektem ustawy wprowadzającej kontrolę szczepień pracowników – przyp. red.].

Sam [...] napisałem list do tych państwa, wysyłając go na 31 adresów e-mail, z krótkim przedstawieniem mojego stanowiska, zakończony prostym pytaniem: Dłaczego Pan/ Pani podpisaliście się pod tym projektem? Na razie oczekuję bez skutku na jakąkolwiek

reakcję. Niemniej tak naprawdę nie tyle o odpowiedź mi chodzi, ile bardziej chyba o to samo co redaktorowi Pospieszalskiemu – zaapelowanie do sumienia tych Państwa, gdyż dla niektórych jest to chyba jeszcze istotne kryterium.

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

„Król na wygnaniu”, Joanna Bojańczyk, „DRz” 51/2021

Szanowni Państwo, [...] Autorka podaje, że tytułowy król Hiszpanii Juan Carlos wstąpił na tron „w roku 1975, dwa lata po śmierci Franco”.

Francisco Franco, przywódca obozu narodowego w czasie hiszpańskiej wojny domowej, a następnie dyktator Hiszpanii, zmarł 20 listopada 1975 r., a nie w 1973, jak sugeruje Autorka. Z kolei Juan Carlos I Burbon objął tron 22 listopada 1975 r., a więc dwa dni, a nie dwa lata po śmierci Franco.

Z wyrazami szacunku
Piotr Ratajczak

Od autorki

Przepraszam, rzeczywiście w datach jest błąd. Przy okazji:

Po długiej i ciężkiej chorobie,
opatrzone świętymi sakramentami
25 grudnia 2021 roku odszedł od nas



**prof. dr hab.
Jerzy Morstin**

ceniony naukowiec, uwielbiany przez studentów
SGGW w Warszawie wykładowca, współzałożyciel
i wieloletni działacz uczelnianego NSZZ
„Solidarność”, potomek zasłużonego dla Polski
rodu, Kochany Mąż, Ojciec, Dziadek, Brat, o czym
zawiadamia pogrążona w smutku

Rodzina

moje nazwisko to Bojańczyk, a nie Bończyk, jak Pan napisał.
Joanna Bojańczyk

Wyjaśnienie

W tekście pt. „Nowe maski” („Do Rzeczy” 1/2022) omył-

kowo przypisałam Janowi Grabowskiemu autorstwo książki „Sąsiedzi”. Autorem „Sąsiadów” jest oczywiście Jan Tomasz Gross.

Za swoją nieuwagę przepraszam.

Kamila Baranowska



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@дорзeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Godek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemięiewicz

Stali współpracownicy i felietniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowski,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka,
Ryszard Gromadziński, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis,
Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Grzegorz Kucharczyk,
Tomasz Lenczowski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik,
Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,

Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczek,
Marcin Wolski, Małgorzata Wólczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor
Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid**
Sienkowski, Maciej Strug, Paweł Zdziarski, Łukasz Zygańdo

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (kierownik),
Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski
Fotodyscyja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agata Błaszczak-Stefaniak**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krystopa**
Okładka: **W. Stróżyk/Reporter, F. Kem/Imago Stock and People/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu: spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kłoc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@дорзeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@дорзeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@дорзeczy.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@дорзeczy.pl; tel.: 539 953 631; **Monika Doros**, tel.: 508 040 664

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829
Nakład 54 000 egzemplarzy



DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@дорзeczy.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów
oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego
wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów
opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko
za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów
prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/





PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Co w Pegasusie **piszczy**

Oskarżenie rządu PiS o podsłuchiwanie opozycji dało Platformie nowy zastrzyk energii. Całe to ponowne wzmożenie w obozie opozycji ginie nieco w świetle poprzednich, ale nie oznacza to, że sprawę można lekceważyć. Tyle że jest w niej bardzo dużo niewiadomych. Dziwne wrażenie robi wybór potencjalnych ofiar w obozie opozycji. Wygląda to, jakby specjalnie wybrano trzy postacie: jednego polityka, jednego adwokata i jedną panią prokurator.

Krzysztof Brejza był pełnomocnikiem wyborczym PO, ale nie był w kampanii jakąś kluczową postacią. Jeśli ktoś by chciał podsłuchiwać najważniejsze tajemnice sztabu, to wybrałby Grzegorza Schetynę czy Borysa Budkę. Poza tym zarzut, że sędziowie wskazują, iż we wnioskach CBA nie spotykali się z informacją o Pegasusie, wynika z faktu, że instytucja ta zazwyczaj występuje o całą gamę rozmaitych środków, nie wyróżniając specjalnie akurat tego oprogramowania szpiegowskiego. Wczytajmy się też w dokładne brzmienie wyjaśnień przedstawicieli MSWiA. Nie twierdzą oni, że wymieniona trójka

– Brejza, Giertych i prokurator Ewa Wrzosek – nie była poddana inwigilacji za pomocą Pegasus, ale twierdzą jedynie, że nie było żadnych działań, które nie byłyby według przepisów wnioskowane przez prokuratora i zatwierdzone przez sędziego Sądu Rejonowego w Warszawie. Oznaczać to może, że ktoś z tej trójki albo nawet wszyscy razem mogli być inwigilowani z powodu podejrzenia o jakieś przestępstwo. Różne zaawansowane techniki inwigilacji były używane wcześniej, za rządu koalicji PO-PSL. I nikt w obozie III RP nie pytał wtedy o metody kontroli ich stosowania. Problemem jest to, że Pegasus daje niezwykle dużo możliwości poznawania wszystkich aspektów życia współczesnych ludzi. W telefonie komórkowym koncentruje się cała wiedza, wszystkie informacje o transakcjach finansowych czy życiu osobistym inwigilowanej osoby. A służby lubią udawać, że Pegasus to jedynie jedna z wielu technik inwigilacyjnych.

Ta niesłychana siła, którą jest stworzony w Izraelu system inwigilacyjny, stoi w rażącym kontraście do możliwości kontroli jego używa-

nia. We wszystkich demokracjach były obawy wobec służb specjalnych. Jeszcze w czasach starożytnego Rzymu zadawano pytanie: „Quis custodiet ipsos custodes?” – „Kto będzie pilnował strażników?”

Kiedyś zakładano, że takim organem ma być w Polsce komisja służb specjalnych. Tyle że w czasach III RP PiS został w niej zepchnięty na margines, a w czasach dobrej zmiany to obecna opozycja skarży się na zmarginalizowanie tego organu. A wszystko to dzieje się na dodatek w atmosferze bardzo ostrej wojny politycznej, która czyni z każdej sprawy powód do świętego oburzenia z jednej strony i do chronienia się za murem interesu państwowego po drugiej.

Problem jednak nie znika. Pegasus jest zbyt druzgocącą bronią, by można było lekceważyć obawy o jego nadużywanie. Najgorszym scenariuszem byłoby, gdyby dyskusja wokół zabezpieczeń prawnych wokół używania systemu z czasem wygasła, a w momencie, gdy opozycja dojdzie do władzy, niekontrolowane użycie Pegasusu stanie się okazją do odwetu na ludziach dzisiejszej władzy. ©



FOT. AMBASADA RP W CZECHACH/TWITTER

NOWY AMBASADOR
RP W CZECHACH
JUŻ ODWOŁANY

Premier Morawiecki zdecydował o rozpoczęciu procedury odwołania ambasadora Polski w Republice Czeskiej. Nie ma zgody na skrajnie nieodpowiedzialne wypowiedzi w sprawie kopalni w Turowie. Każdy polski dyplomata ma obowiązek dbać o polskie interesy – ogłosił rzecznik rządu Piotr Müller. Ambasador Mirosław Jasiński oficjalnie objął urząd w grudniu. Według mediów przyczyną jego odwołania była krytyka działań polskiej strony w sporze o Turów w wywiadzie dla Deutsche Welle. (jap) ©

dwaj panowie **g**

Po mieście krąży plotka o rzekomych sekstaśmach, na których nagrać miano igraszki między pewną europosłanką PiS a jednym z członków władz PSL. Plotkę słyszeliśmy już wcześniej i ją zweryfikowaliśmy negatywnie. Co w sumie jest smutne. My jesteśmy za tym, żeby ludzie się kochali niezależnie od przynależności partyjnej.

To nie koniec tej historii. Plotką o taśmach tak się podniecił pewien konfabulator, że zorganizował zbiórki pieniędzy na ich zakup. Jako jeden z pierwszych kupców zgłosił się niejaki Leonid Swiridonow. Tak, to ten sam, który robił w Polsce za dziennikarza mediów rosyjskich dopóty, dopóki nasz kontrwywiad nie uznał, że to nie jest jedyna jego działalność i nie wyrzucił go z Polski. Informujemy o tym wszystkim zawczasu, żebyście wiedzieli, o co chodzi, jak się niektóre media głównego ścieku zaczęły ekscytować.

Nawiasem mówiąc, bajeczka konfabulatora w ogóle się kupi nie trzyma. Twierdzi on, że jego informator, który ma taśmę, został pozbawiony praw emerytalnych, bo nie chciał zniszczyć nagrań. Otóż w Polsce funkcjonariusza nie można pozbawić praw emerytalnych. Z jednym tylko wyjątkiem – skazania prawomocnym wyrokiem za przekroczenie uprawnień. Ale powiedzmy sobie szczerze – nie takie już bajeczki ów konfabulator wymyślał.

Wiecie z gazet, że Zły Donald z Sopotu i Brukseli bardzo chciał dostać pod choinkę nowego marszałka Senatu. Ale nie dostał. Może za rok? Albo na Zajączka? My wiemy, dlaczego z odwołaniem marszałkissimusa Grodzkiego jest kłopot. A nawet trzy kłopoty. Zając, Bury i Bober. Tak się bowiem składa, że nie ma pewności, czy poprą nowego kandydata PeŁo. Nieza-

Zły Donald z Sopotu i Brukseli bardzo chciał dostać pod choinkę nowego marszałka Senatu. Ale nie dostał. Może za rok? Albo na Zajączka?



FOT. ROBERT CAROZINSKI

leżna Staroń nie poprze na pewno. To oznacza, że w sprawie nowego marszałka PeŁo miałyby maks 49 głosów. Jakby tu powiedzieć... większość to nie jest.

My jeszcze o Złym Donaldzie. Mało kto wie, ale można zgłaszać kandydatów do corocznej nagrody Amnesty International – Pióro Nadziei. No więc chcieliśmy zgłosić Tuska Donalda, gdyż jego działalność w minionym roku budzi nadzieję. Że już nigdy w nikim nie będzie budziła nadziei.

Poprawka. Doczytaliśmy, że nagroda Amnesty jest tylko dla osób, które „swoją pracą medialną sprawiają, że prawa człowieka rezonują w przestrzeni publicznej”. Tu też chcielibyśmy nominować Tuska Donalda. Swoją pracą medialną sprawia, że w przestrzeni publicznej rezonują prawa wielu różnych ludzi. Na przykład taki Roman Giertych. Kiedyś uważany był za zwykłego antysemitę, a teraz jest autorytetem wolnych

mediów i sądów. Zatem zakres jego praw wzrósł.

Co więcej, Giertych rezonuje także poza granicami kraju. Znajoma wiewiórka z Holandii opowiada nam, że słynny wniosek, który skierowali wybitni przedstawiciele palestry: Giertych, Dubois i Pietrzak do Międzynarodowego Trybunału Karnego wzbudził w Hadze powszechne przerażenie. Jak wiadomo, wniosek dotyczy zbrodni PiS. Jednak to nie zbrodnie PiS wzbudziły takie przerażenie, lecz fakt, że ktoś wpadł na pomysł, by pierdołami zajmować głowę sędziom ścigającym ludobójców. Tajemnicą poliszynela jest, że wnioskodawcy liczyli na polskiego sędziego w tym trybunale, czyli Piotra Hofmańskiego. Nic z tego. Nie jest on przyjacielem Dobrej Zmiany, ale nie jest też idiotą, który ma ochotę wystawiać się na pośmiewisko.

Jeśli już jesteśmy przy naszym ulubionym największym polskim mecenasie zwanym Koniem. Otóż w Prokuraturze Krajowej dojrzewa myśl o puszczeniu za nim tzw. Europejskiego Nakazu Zatrzymania. Jesteśmy dziwnie przekonani, że w tym wypadku proces dojrzewania nie będzie trwał zbyt długo.

Uwaga, z nowym rokiem mamy dla jednego z ulubionych bohaterów naszej rubryki nową ksywę. Amerychu. Nie wiecie kto to? To pewien znany europoseł PiS, który przywitał nowy rok 2022 w Ameryce. Mimo wszystko nie zazdrościmy Amerychowi sylwestra, gdyż w tej części Amerychi, gdzie przebywał, jest chłodno i bardzo mocno wieje. Bardzo aktywni też byli Afrosylwestrowicze.

Internetu ekscytują się wielkim napisem ułożonym przez mieszkańców lubuskiego. Napis głosi „Sorry za Meję” i podobno widać go nawet z samolotów. Mamy z tamtymi okolicami inne doświadczenie. Pewnego razu przebywaliśmy w Zielonej Górze na spotkaniu autorskim. Po autograf podeszła bardzo zakłopotana starsza pani. Gdy zapytaliśmy, czemu jest zakłopotana, odparła: „Bo ja chciałam panów bardzo, bardzo przeprosić”. Gdy zapytaliśmy za co, odpowiedziała: „Bo ja byłam w szkole nauczycielką Tomasza Lisa”. ©



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Szkoła przetrwania

No i masz: władza, tyle razy krytykowana za brak skuteczności, zawzięła się, żeby coś jednak wprowadzić w życie. W zasadzie powinniśmy się z tego cieszyć. Tylko szkoda, że tą determinacją wykazała się władza akurat w wypadku programu Polskiego Ładu. Wielokrotnie pisaliśmy tu, że od samego początku oparto go na błędnym założeniu, żeby – nader potrzebnego, skądinąd – uporządkowania systemu podatkowego i regulacji dotyczących działalności gospodarczej dokonać nie pod kątem wyrwania się z pułapki „średniego rozwoju” i stworzenia zachęt do bogacenia kraju, ale pod kątem „sprawiedliwości społecznej”. Dojmujące jest porównanie analogicznego programu, który ten sam (ale właśnie już nie ten

sam) Mateusz Morawiecki szkicował jako wicepremier w rządzie Beaty Szydło, z tym, co przedstawił jako premier. I co, niestety, właśnie weszło w życie.

Problem, że – jakby mało było tego pierwotnego grzechu sztandarowego programu rządu – przygotowano go tak, że o tym, co właściwie w życie weszło, nie do końca wiedzą nawet wytrawni księgowi. Dopiero się to będzie okazywać. Na początek okazało się, że nauczyciele i mundurowi dostali pomniejszone pensje, bo trzeba było wiedzieć, żeby zawczasu zmienić jeden szczegół w deklaracjach podatkowych, od dawna rutynowo przepisywanych z roku na rok. Zapewnienia, że te pieniądze nie przepadną, tylko wrócą w rozliczeniu rocznym (jakby nie było inflacji!),

raczej nikogo nie uspokoiły. A to dopiero przedsmak tego, co może nas czekać, gdy kilka milionów Polaków będących, nieważne, na ile faktycznie, a na ile tylko formalnie, jednoosobowymi firmami zobaczy nowy wymiar swej składki zdrowotnej. Podejrzewam, że zapewnienia, iż miażdżąca większość Polaków zyskuje, a jeśli ty akurat tracisz, to jesteś wyjątkiem, nie pomogą.

Oczywiście rząd będzie teraz szył, latał i poprawiał, obywatele zaś metodą prób i błędów wymacają luki i ostatecznie będzie jak z tym idiotycznym zakazem handlu w niedzielę, co to jest, ale go nie ma. „Przetrwali my Kraj Rad, przeżyjem i Polski Ład”. Ale co do tego czasu czeka nas chaosu, mitręgi i nerwów... © ©



MAREK JUREK

OD POČZĄTKU

Więzi umocnione

Prezydent Duda, wetując ustawę nakłaniającą właścicieli TVN do sprzedaży części udziałów, potwierdził swe najgłębsze, najistotniejsze przekonania. Nie na darmo, gdy wiceprezydent Mike Pence dwa lata temu na placu Piłsudskiego mówił o Bogu i ateistycznych źródłach współczesnych totalitaryzmów, nasz prezydent uderzał w inny ton, wołając: „Niech żyje wolny świat! Niech żyją więzi euroatlantyckie! Niech żyje demokracja!”. Teraz raz jeszcze dowiódł swej wiarygodności.

Ale minione miesiące wieców i okrzyków za i przeciw TVN wcale na marne nie poszły. Opinię publiczną spolaryzowano na wygodnym gruncie. Władza potwierdziła

swą twardą, wręcz „autorytarną”, prawicowość. Pokazała, „co myśli” o liberalnych mediach i co by zrobiła – gdyby mogła. No i przede wszystkim zyskała kolejnych parę miesięcy na spokojne utrzymanie w mocy decyzji premier Kopacz o przyjęciu konwencji stambulskiej. Władzy nie wolno stawiać wymagań, gdy jest atakowana na wszystkich frontach! Gdyby więc jakieś niewygodne postulaty się na horyzoncie pojawiały – trzeba będzie szybko znów jakiś front otworzyć; a potem zamknąć; a potem otworzyć nowy. Wszystko w swoim czasie. Dzięki temu władza będzie się mogła zajmować tylko tym, czym chce, i nikt nie nakłoni jej, aby zajmowała się tym, czym zajmować się nie

chce. Prestidigitator musi przede wszystkim umieć odwracać uwagę publiczności. Jeśli to dobrze umie – to wyjdzie mu każda sztuczka.

Dlatego właśnie ostrzegałem, by nie dać się wkręcać w te gry, skoro poważne postulaty konserwatywnej opinii są ciągle pomijane. Niezależność opinii publicznej nie polega na ideowym indyferentyzmie i nie gwarantuje jej małoduszna rezerwa wobec sporów publicznych. Wymaga jednak wytrwałego obstawania przy najważniejszych nakazach dobra wspólnego oraz zdolności odróżniania inicjatyw poważnych od działań pozornych. I jest to potrzebne najbardziej, gdy wiatry propagandy wieją najmocniej. © ©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Człowiek w swoim zachwaleństwie
dosiadał żelaznych koni i latał
na żelaznych ptakach, aż nadeszli
szamani i nastał zielony kłd...



C E Z A R Y K R Y S Z T O P A

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Zjeść ciastko i mieć ciastko

Angielskie powiedzenie opisujące chęć skorzystania z dwóch wykluczających się możliwości jak ulał pasuje do opisu tego, co dzieje się teraz we Włoszech wokół stycziowych wyborów prezydenckich.

Co gorsza, naród w tych wyborach nie ma nic do gadania. Prezydenta wybierają parlament i elektorzy regionów. Kłania się stary żart sylwestrowy Polaków: „Naród pije szampana ustami swoich przedstawicieli”.

Odchodzący prezydent Sergio Mattarella, gdy parlament obalił premiera Contego i nie zdołał go nikim zastąpić, wyzarował Włochom z kapelusza superbankiera Maria Draghiego. Powstała nieprawdopodobna lewicowo-prawicowa koalicja, która istnieje tylko dlatego, że jej polityków za twarz trzyma premier Draghi,

powściągliwy, wyrafinowany człowiek niewielu słów, na „ty” z niemal wszystkimi możliwymi tego świata.

Włosi są zgodni, że to najlepszy kandydat na prezydenta. Ale Draghi musiałby złożyć urząd premiera i znów nie byłoby komu rządzić Italią. Partie koalicyjne natychmiast skoczyłyby sobie do gardeł i prezydent Draghi musiałby rozpiąć przyspieszone o ponad rok wybory parlamentarne, czyli zafundować Włochom brutalną kampanię wyborczą, a krajowi kilka miesięcy dryfu i ryzykowny skok w nieznanne. Ale mieć Draghiego i zjeść Draghiego nie sposób.

Na dodatek w telewizji i na łamach gazet wodę mącą czołowe i potwornie hałaśliwe progresywne

feministki. Utyskując nad deficytem demokracji płciowej, w płomiennym apelu żądają, żeby wybrać prezydentkę. Pomysł, by w ramach budowy prawdziwej demokracji płeć była kryterium decydującym w wyborach, jest zaiste osobliwy. Ale dziwi mniej, gdy zważyć, że wylękł się w umysłach naznaczonych sprzecznością. Te niewiasty z jednej strony mienia się feministkami, ale z drugiej święcie wierzą, że płeć to kwestia samopoczucia.

Prześmiewcy radzą Draghiemu, by w naszych trudnych i niepewnych płciowo czasach na wszelki wypadek zachował się symetrycznie i comingoutował z informacją, że jest osobą binarną. Nie zaszkodzi, a może pomóc. @@

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



FOT. PRAWEL GROMADA

ZŁOTE RADY Z FLORYDY

Piotr Rubik ze swoją rodziną wypoczywa właśnie na Florydzie. Jego małżonka Agata raczy więc świat relacjami stamtąd i na bieżąco informuje, jak świetnie się bawią. Co więcej, udziela też złotych rad na wypadek, gdyby ktoś planował wycieczkę ich śladami. I tak dowiadujemy się, że Agata była bardzo sfrustrowana koniecznością zbyt długiego oczekiwania na realizację zamówienia w restauracjach czy kawiarniach. Jednak znalazła na to sposób. – Bardzo fajne jest to, że większość kawiarni ma apkę, przez którą zamawiasz i odpłacasz zamówienie, więc nie trzeba potem stać w kolejce, a kolejki rano po kawę i śniadanie są spore – wyjaśniła. Pochwaliła się także, jakie szczęście ich spotkało, że mają hotel z dostępem do plaży i leżaków! – Największą zaletą naszego hotelu jest to, że nie jesteśmy od plaży oddzieleni Ocean Drive i że na plaży są leżaki. Nasi znajomi, którzy zatrzymali się kilka hoteli obok, już są przedzieleni od plaży ulicą i na dodatek muszą dźwigać swoje leżaczki sami na plażę – relacjonowała zdegustowana. Coś okropnego! Sami muszą dźwigać leżaczki na plażę. Jak jakiś plebs.

DRAMATY Z INSTA

Klaudia El Dursi to była uczestniczka „Top Model”, która – co prawda – programu nie wygrała, ale robi karierę jako prowadząca jednego z najbardziej żenujących programów w polskiej telewizji, czyli „Hotelu Paradise”. To show o tym, jak ludzie dobierają się w pary i na wizji próbują



FOT. MATEUSZ JACIELSKI/FAST NEWS

tworzyć związki, co sprowadza się głównie do imprezowania i odbijania sobie partnerów. W każdym razie Klaudia dzięki temu programowi została celebrytką i właśnie poinformowała, że szykuje się do wyjazdu na plan piątej już edycji „Hotelu Paradise”. Poza domem ma spędzić aż cztery miesiące, a jest jeszcze całkiem niespakowana i tym właśnie dramatem

postanowiła się podzielić ze światem. – Progres w pakowaniu żaden i w ogóle jakkolwiek progres żaden, w czymkolwiek. Jestem trochę przerażona, bo ten tydzień minie absolutnie błyskawicznie – żaliła się.

– Jestem taką osobą, która pakuje się zdecydowanie za długo i zdecydowanie za dużo bierze rzeczy ze sobą. Tak, o kilka razy za dużo rzeczy – relacjonuje. – Przenieść swoje życie na cztery miesiące to naprawdę jest straszne wyzwanie. Nie wiem, jak to ogarnę... – żali się. Ludzkie dramaty rozgrywają się każdego dnia nie tylko na ulicy. Na Instagramie także.

AHOJ, PRZYGODO!

Agnieszka Włodarczyk, kiedyś aktorka, dziś celebrytka, bo stwierdziła, że to ostatnie bardziej się jej opłaca, relacjonuje właśnie swoje wakacje w Dubaju. Warto przypomnieć, że całkiem niedawno postanowiła zamieszkać w Hiszpanii, bo jest tam cieplej i przyjemniej niż w Polsce, ale wiadomo – Hiszpania Hiszpanią, ale Dubaj brzmi dumnie. I na Insta się lepiej prezentuje. Niestety, wakacje nie spełniły oczekiwań gwiazdy. Dlaczego? Bo kierowcy nie potrafią tam jeździć i ona się ich boi! – Taksówkarze jeżdżą tu jak wariaci, skaczą z pasa na pas [...]. Dla mnie to ogromny stres z dzieckiem. Wybieram komunikację miejską – oznajmiła, zamieszczając zdjęcie z metra. Przejażdżka metrem będzie zapewne najbardziej egzotyczną przygodą jej wakacji!

KTO BOGATEMU ZABRONI?

Prezenterka i dziennikarka sportowa Karolina Szostak, która zasygnęła głównie tym, że mocno schudła, dzięki czemu została gwiazdą show-biznesu, opowiedziała o swojej słabości do luksusowych torebek. Mówi, że właśnie zbiera na swoją wymarzoną, ale marnie jej to idzie, bo nie potrafi oszczędnie żyć. – Nadal jest jedna torebka, której nie mam i na którą cały czas zbieram. Mam założenie, że powinnam odkładać z każdej pensji, ale nie jest to takie łatwe, bo zawsze coś trzeba kupić i na coś wydać czy przeznaczyć pieniądze, a oszczędność to nie jest moja dobra strona, niestety – zdradziła w rozmowie z portalem JastrząbPost. – To jest Chanel 255. Kosztuje tyle, ile mały fajny samochód – przyznała. Po czym dodała, że na zakupach kieruje się rozsądkiem. – Staram się jakoś za bardzo nie szaleć. Nie wydawać za bardzo pieniędzy – stwierdziła. Stara się nie wydawać pieniędzy, dlatego kupiła sobie torebkę w cenie małego samochodu. Czego nie rozumiecie? ©©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, witajcie w nowym roku! Jak tam? Pewnie macie już jakieś noworoczne postanowienia, które następnie przy pierwszej okazji złamiecie, jako iż silna wola to podkarpacki przesąd i zabobon xD Bo my mamy postanowienia, o których informujemy na naszych fejsikach i Instagramach.

Of kors nie dotyczą one takich prymitywnych rzeczy jak odchudzanie, iż aktywnie, własnym przykładem, walczymy z fatshamingiem, ćwiczeń – iż pocenie się jest dobre dla podkarpacia, ani diety – bo i tak mamy ją restrykcyjną do tego stopnia, że czasem sami nie wiemy, co wolno nam jeść, a czego nie, więc bywa, że chodzimy trochę głodni.

Nasze postanowienia dotyczą za to sfery mentalnej.

Otóż chcemy zidentyfikować, a następnie wyeliminować wszelkie możliwe formy dyskryminacji na każdym możliwym tle, które czasem jeszcze u nas, iż pochodzimy w końcu z niewielkiego ośrodka, pozostały i czasem dają nam się we znaki.

Liczymy też w tym zakresie na Was – bo tylko razem, jako społeczeństwo obywatelskie, będziemy w stanie stworzyć taką postępową rzeczywistość, o której zawsze marzyliśmy i w której chcielibyśmy żyć.

Słyszeliśmy, iż coraz bardziej możliwe jest, iż będziemy mieli niedługo wszczepiane czipy z informacją

o statusie zaszczepienia. Jesteśmy fana-
mi nowych technologii, ale też lubimy
demonstrować pozytywne wzorce,
a taki czip ma jedną podstawową wadę:
otóż jest niewidoczny.

Donald Tusk usiłuje wtócić
do metody drażnienia małp przez
przeciąganie prądu po klatce...



Ciekawym pomysłem na manifesto-
wanie statusu zaszczepienia były opaski
na rękaw, ale one jednak nie są odpo-
wiednio technologicznie postępowe.

Dlatego nasza przełomowa propozy-
cja brzmi: kod QR tatuowany na czole.
W ten sposób każdy od razu zobaczy,
czy ma do czynienia z osobą potencjal-
nie uprawnioną do wejścia do teatru,
a czytnik QR kodów znajduje się w każ-
dym telefonie, więc będzie to łatwe do
sprawdzenia.

Problematyczne może stać się tylko
noszenie czapek, ale to najwyższej rządu
zakazą czapek, nakażą używanie nausz-
ników i po problemie.

Kto z Was oglądał w TVP
sylwestra w Zakopanem? No
nie wstydzicie się, pewnie
byliście w małych ośrodkach siłą
przymuszani do oglądania tego
wątpliwej jakości show, picia
wódki ze szklanki po musztardzie
sarepskiej i kolejnego festiwalu
obżarstwa sałatką jarzynową.

W każdym razie sylwester
w Zakopanem się nie udał, a o skali
porażki tego przedsięwzięcia
najlepiej świadczą pełne niepokoju
artykuły zamieszczane w postępo-
wych mediach.

Otóż wyobraźcie sobie, iż we-
dług relacji dziennikarzy piszących
w tych mediach zgromadzona
w Zakopanem publiczność nie
reagowała dość entuzjastycznie na
występy sprowadzonej z Ameryki
gwiazdy – pigmentalnie uposażonego
Jasona Derula. Za to oczywiście janu-
sze i grażyny skakały do utraty tchu
podczas występów Zenka Martyniuka.
Nie wiemy teraz, o co oskarżać publicz-
ność – o rasizm, brak gustu muzycznego,
zaściankowość czy na wszelki wypadek
o wszystko. ©©



**FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ
Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO**

PODSŁUCHANE

Olga wielbłądzia

Piotruś, pytanko mam.
Co tam, Olga?

Moja koleżanka ma kawiarenkę
i zrobiła estymację. I jej wychodzi,
że żeby nie stracić na Polskim
Ładzie, powinna oprócz tej
głównej działalności sprzedawać
wełnę wielbłądzia.

Że co sprzedawać?

No, niekoniecznie wielbłądzia.
Może być z alpaki.
Bo jej księgowa znalazła
takie wyjątki na 218 stronie
ustawy, że tam się jakieś ulgi
wtedy kumulują. I czy ty możesz
mi potwierdzić, że faktycznie tak
będzie?

Myślisz, że ja to znam na pamięć?
Ale sprawdzę, bo przecież
musimy to natychmiast
skasować. Każdy sobie zacznie
wełnę z alpaki sprzedawać.

No dobra, ale co z moją
kumpelą?

To wiesz, co? Wprowadzimy po
cichu taką kombinację, że będzie
78 proc. ulgi dla klasy średniej
dla przedsiębiorcy,
który pomaluje fasadę
na żółto i będzie miał w lokalu
krzesła nie wyższe
niż 56 cm.

Dlaczego 78 i 56?

Nie wiem, tak sobie strzeliłem.
Ale mądrze wygląda, co nie? ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

**„Kręciło się jakichś trzech
włóczęgów ze wschodu,
ale nie wpuściłam”.**

KLAUDIA JACHIRA, poseł KO, na Twitterze
w Święto Trzech Króli

SZCZEPIONKOWA AWANTURA. AUSTRALIA KONTRA DJOKOVIĆ

Numer jeden tenisa na świecie – Novak Djoković – utknął na lotnisku w Melbourne i trafił do ośrodka dla migrantów. Gwiazda sportu została zatrzymana przez straż graniczną.

Awantura ma związek z brakiem szczepienia przeciw COVID-19. Serbski sportowiec zakaził się koronawirusem w czerwcu 2020 r. I nie zamierza szczepić się przeciw tej chorobie. Tymczasem na jednym z czterech wielkoszlemowych tenisowych turniejów – Australian Open – zagrać mogą tylko sportowcy z dowodem przyjęcia szczepień.

Tuż przed ubiegłotygodniowym przylotem do Australii Djoković poinformował w sieci, że ma zaświadczenie, iż z powodów medycznych szczepionki nie może przyjąć – dlatego organizatorzy AO zrobili dla niego wyjątek, by mógł w turnieju wystąpić jako jedyny nieszczepiony.

Taka wiadomość wywołała furję w Australii, na której mieszkańców nakładano najcięższe obostrzenia w związku z COVID-19. W sumie nie mogli wychodzić z domów swobodnie przez 270 dni – dopuszczalne były tylko chwilowe wyjścia na świeże powietrze, by np. poćwiczyć fizycznie. Premier, czując olbrzymią presję w tej sprawie, od razu zapowiedział więc, że dla nikogo nie będzie wyjątków i nie wpuści do kraju nawet supergwiazdy tenisa.

Przed hotelem, w którym przetrzymywany jest Djoković, pojawili się ludzie z transparentami wsparcia dla sportowca. W jego ojczyźnie oficjalnie wsparł go prezydent Serbii. – Powiedziałem Novakowi, że ma poparcie całej Serbii i że robimy wszystko, aby nękanie najlepszego tenisisty na świecie natychmiast skończyć – stwierdził Aleksandar Vučić.

– Novak stał się symbolem i przywódcą libertariańskiego świata, świata biednych i prześladowanych – powiedział z kolei Srdjan Djoković, ojciec tenisisty, cytowany przez serwis internetowy Telegraf.

Sprawę Djokovicia skomentował inny gwiazdor tenisa Rafael Nadal. – Gdyby chciał, mógłby bez problemu wystąpić w Australian Open. Podjął decyzję, ma do niej prawo, ale musi też ponieść konsekwencje – stwierdził.

Do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy” nie było wiadomo, jak zakończy się apelacja prawników Djokovicia w sprawie jego wize. Rozstrzygnięcie tej kwestii zaplanowano na poniedziałek (10 stycznia). Turniej Australian Open rozpoczyna się 17 stycznia. **(luz)** ©©

FOT. JULIAN FINNEY/GETTY IMAGES





Łukasz Warzecha

Polityka klimatyczna będzie kosztować Polaków coraz więcej. Być może przegapiliśmy moment, w którym można było się jeszcze sprzeciwić najgorszym dla nas rozwiązaniom, i teraz nie mamy już żadnego wyjścia

Nie ma chyba dzisiaj w Polsce osoby, która nerwowo nie myślałaby o najbliższej fakturze za prąd, a zwłaszcza za gaz.

Przedsiębiorcy są już nierzadko na krawędzi zawieszenia działalności lub już to uczynili, bo oni nie są objęci ochroną taryfową i dostawali już od miesięcy podwyżki cen gazu o wiele wyższe niż te zapowiedziane nie tak dawno przez Urząd Regulacji Energetyki. Posiadacze mieszkań spółdzielczych mogą gryźć z nerwów paznokcie, ponieważ okazało się, że jeśli spółdzielnia wykorzystuje gaz nie tylko na użytek lokali mieszkalnych – a to się zdarza często, bo spółdzielnie wynajmują również lokale usługowe – to rachunek dla niej będzie liczony po stawkach komercyjnych. Co oczywiście odczuwają lokatorzy. Można założyć, że wiele spółdzielni, aby chronić się przed takim rozwojem wypadków, na gwałt wypowie umowy najmu przedsiębiorcom, którzy i tak mają wystarczająco ciężko z powodu Polskiego Ładu. To oczywiście tylko detal ogólnej sytuacji, ale z takich detali składa się gospodarka.

Wysokość nadchodzącej fali tsunami, niszczącej polską przedsiębiorczość oraz wpędzającej co najmniej setki tysięcy ludzi w ubóstwo energetyczne, dopiero zaczyna Polakom majaczyć. Na razie stoją na brzegu i zastanawiają się zaniepokojeni, co to za narastający szum oraz dlaczego morze się cofnęło. Ściana wody dopiero majaczy w oddali. Jeszcze nie przyszły styczniowe faktury za energię, producenci jeszcze nie dostosowali swoich cen w sklepach do nowych cen gazu, księgowi jeszcze nie zakomunikowali mikroprzedsiębiorcom, jak bardzo stracą na Polskim Ładzie. Pełne uświadomienie sobie powagi sytuacji to

Unia Europejska



FOT. ADAM STOK

wystawiła rachunek



■ kwestia jakichś sześciu miesięcy. Wiele Polaków właśnie wtedy może sobie zdać sprawę, że zwyczajnie nie stać ich już na wakacje albo przynajmniej stać ich na o wiele skromniejsze wyjazdy niż dotąd.

Przy okazji – o ile nie nastąpi jakiś przełom w polityce epidemicznej większości europejskich państw – może do nich także dotrzeć, do jakiego stopnia strefa Schengen, jedna z najwyraźniej odczuwanych korzyści z członkostwa w UE, stała się już fikcją. Tam, gdzie kiedyś można było bez kontroli wjechać albo polecieć za grosze, teraz konieczne będą drogie testy, nawet dla zaszczepionych. Tam, gdzie jeszcze niedawno wystarczało jedno szczepienie, dające covidowy certyfikat, teraz potrzebna będzie trzecia albo i czwarta dawka. To z kolei może przywieść na myśl pytanie i tak już coraz częściej obecne w publicznej debacie: Czy nasza obecność w UE daje nam wciąż korzyści przewyższające koszty?

GAZ, ROSJA, NIEMCY

Nie ma wątpliwości, że horrendalne wzrosty cen prądu i gazu mają swoje źródło w ogromnej mierze właśnie w unijnej polityce klimatycznej. W tej chwili ceny uprawnień do emisji CO₂ to już ponad połowa ceny prądu w Polsce. Z ceną gazu jest nieco inaczej, ale i ona jest pośrednim skutkiem polityki klimatycznej, a także wcześniejszych decyzji politycznych.

Największym pojedynczym dostarczycielem gazu dla Europy jest Rosja. W 2019 r. było to ponad 41 proc. Następna w kolejności Norwegia zapewniała jedynie 16 proc. To daje Moskwie potężne narzędzie gazowego nacisku politycznego. Narzędzie wyjątkowo skuteczne również dlatego, że w ramach Zielonego Ładu gaz został uznany za paliwo przejściowe przy odchodzeniu od źródeł „brudnych” (a w niektórych przypadkach nawet czystych, Niemcy bowiem z powodów ideologicznych zrezygnowały z energetyki jądrowej).

Miało to swoje odbicie także w Polsce, gdy rząd zachęcał obywateli, aby pozbywali się „kopciuchów” i instalowali ekologiczne ogrzewanie gazowe. Ci, którzy posłuchali, mogą sobie dzisiaj pluć w brodę. Nawet jeśli nie prowadzą firmy, ich rachunki robią się astronomiczne. Gaz ma być również jednym z głównych źródeł energii w naszym

kraju w miarę, jak na mocy politycznej decyzji będziemy się pozbywali węgla. Najgłośniejszym zdarzeniem z tym związanym stało się wyburzenie wybudowanych już pylonów elektrowni Ostrołęka C, która miała być zasilana węglem. W miejsce tego projektu ma powstać blok gazowy. Strach myśleć, jakie będą koszty wyprodukowanego tam prądu.

Moskwa uprawia gazowy szantaż, chcąc wymusić na UE zgodę na uruchomienie praktycznie już gotowego gazociągu Nord Stream 2, zbudowanego wspólnie z Niemcami. Sygnały są jednoznaczne: zgódźcie się na uruchomienie naszej rury, a natychmiast odkręcimy kurek z gazem i przestanie wam grozić bunt marzących z niedogrzańcy obywateli. W dalszej perspektywie jest przesyłanie niemiecko-rosyjską rurą wodoru.

Jedno jest pewne: jeszcze nigdy dotąd ceny energii nie były tak bardzo w centrum polskiej polityki. A co za tym idzie – również pytania o ich przyczyny. Tu mamy spór dwóch narracji.

DWIE NARRACJE

Pierwsza, używana głównie przez opozycję, pomija niemal całkowicie rolę Europejskiego Zielonego Ładu, systemu handlu uprawnieniami do emisji CO₂, czyli EU ETS, oraz roli gazu jako paliwa przejściowego, podkreśla natomiast zaniedbania obecnej władzy. Te zaniedbania nie są wymysłem. Obecny rząd dopiero w ostatnich tygodniach zdołał wyznaczyć preferowaną lokalizację dla pierwszego polskiego bloku jądrowego – co nie oznacza jeszcze wyboru miejsca. Nadal nie wiemy, kto dostarczy nam technologię, a pierwotny termin oddania elektrowni do użytku, czyli 2030 r., jest już całkowicie nierealny. To o tyle ważne, że w grudniu 2020 r. premier Mateusz Morawiecki podpisał w imieniu Polski zobowiązanie do podwyższenia właśnie do 2030 r. celu redukcji emisji do 55 proc. wobec 1990 r.

Platforma Obywatelska wyczuła krew i zaczęła grać cenami gazu – faktycznie, to niebywała okazja polityczna. PO wy-

korzystała też zaniedbania rządzących, proponując objęcie ochroną taryfową wszystkich prywatnych odbiorców, nawet jeśli spółdzielnia albo wspólnota, do których należą, są właścicielami lokali użytkowanych przez firmy. Tyle że to obchodzenie, a nie rozwiązywanie problemu. Platforma unika jak ognia krytyki systemu EU ETS, która zresztą ze strony premiera pojawiła się dopiero, kiedy skutki systemu uprawnień do emisji uderzyły bezpośrednio w notowania PiS. Według naszych informacji w wyniku ostrej wewnątrzkoalicyjnej dyskusji na szefie rządu niejako wymuszono podniesienie problemu na unijnym forum. Nie jest tajemnicą, że po stronie jastrzębi ustawił się tutaj Zbigniew Ziobro ze swoją Solidarną Polską.

Druga narracja, obecna właśnie w retoryce polityków SP, a także Konfederacji, wskazuje jako głównego winnego Unię Europejską z jej polityką klimatyczną. W takie tony uderzał również w ostatnich wywiadach Jarosław Kaczyński, flirtując nawet z wariantem jednostronnego zawieszenia uczestnictwa w systemie EU ETS czy z „zawetowaniem” „Fit for 55”.

Tu pojawia się jednak problem. Polska bowiem – a konkretnie rząd Mateusza Morawieckiego – na ogólne założenia „FF55” już się zgodziła. Jak przyznała niedawno w rozmowie w Radiu RMF minister klimatu Anna Moskwa, nie możemy zawetować „FF55” jako całości, bo nie jest to jakaś jedna regulacja, lecz pakiet aż 13 wniosków ustawodawczych. Nie będziemy mogli też zawetować zdecydowanej większości z nich pojedynczo, bo należą one do sfery, w której obowiązują decyzje podejmowane większością głosów. Możemy jedynie negocjować w Radzie UE ich kształt, jednak bez gwarancji, że uda nam się zbudować odpowiednią koalicję i nasze wysiłki przyniosą skutek.

Tymczasem, jeśli dzisiaj mamy problem z generowanymi przez unijny Zielony Ład cenami prądu oraz z będącymi skutkiem pośrednim cenami gazu, to i tak jest to małe piwo w porównaniu z tym, co może przynieść forsowany przez Fransa Timmermansa pakiet regulacji. O nieprawdopodobnych kosztach pakietu dla całej UE, ale głównie dla Polski, pisałem już w „Do Rzeczy”. Podsumowywał je Polski Instytut Ekonomiczny w raporcie z czerwca 2021 r. PIE szacował, że z powodu wdrożenia systemu handlu emisjami w budownic-

108 proc.

O TYLE WEDŁUG PIE WZROSŁA WYDATKI NA ENERGIĘ NAJBIEDNIEJSZYCH POLAKÓW

twie oraz transporcie całkowity koszt dla unijnych gospodarstw domowych w latach 2025–2040 to – uwaga! – 1,1 bln euro. Roczny koszt systemu uprawnień w transporcie dla przeciętnego unijnego gospodarstwa domowego ma wynieść 373 euro oraz aż 427 euro w związku z objęciem systemem budynków mieszkalnych. Razem to 800 euro, czyli ok. ponad 3,6 tys. zł! A pamiętajmy, że są to wyliczenia średnie. W kraju takim jak Polska koszt będzie zapewne wyższy.

PIE szacuje również, że wydatki na energię pierwszego kwintyla (czyli najuboższych 20 proc.) gospodarstw domowych w UE w związku z wprowadzeniem ETS w transporcie wzrosną o 44 proc., a w budownictwie – o 50 proc., w Polsce zaś będzie to aż 108 proc.! Innymi słowy – najuboższa jedna piąta polskich gospodarstw domowych zapłaci za energię tylko z powodu poszerzenia systemu ETS o jeden sektor ponad dwa razy więcej niż obecnie. Te szacunki sprawiają, że włosy stają dęba na głowie, a przecież nie uwzględniały one jeszcze obecnego poziomu cen, który wciąż nie jest skutkiem pakietu. Ten bowiem nie wszedł jeszcze w życie.

Według przecieków rząd dysponuje analizami skutków „FF55” dla polskiej gospodarki, które są porażające jeszcze bardziej niż raport PIE. Wszystko to prowadzi do pytania: Ile kosztuje nas dzisiaj bycie w UE i ile jeszcze będzie nas kosztować obłędna polityka klimatyczna? Obłędna, dodajmy, z polskiego punktu widzenia, ale już niekoniecznie z punktu widzenia Berlina. Wiele wskazuje bowiem na to, że choć niemieckie gospodarstwa domowe ponoszą wysokie koszty w związku z wdrażaną z wielkimi problemami od lat *Energiewende* (transformacją energetyczną), wykluczając atom, to zamysł stojący za „FF55” jest dla państwa niemieckiego korzystny. Szczególnie w perspektywie wykorzystywania w przyszłości połączeń z Rosją do przesyłania wodoru, uznawanego za paliwo najbardziej perspektywiczne.

CZY JEDYNE WYJŚCIE TO WYJŚCIE Z UE?

W polskiej polityce ściera się wobec tego znów kilka narracji. Najbardziej ekstremalna, ale obecna już w głównym nurcie debaty (i słusznie), to propozycja opuszczenia UE. Koszty związane

Taksonomia według europarlamentu

Taksonomia to kolokwialne określenie wspólnego rozporządzenia Parlamentu Europejskiego i Rady UE nr 2020/852 z 18 czerwca 2020 r. w sprawie ustanowienia ram ułatwiających zrównoważone inwestycje. Chodzi o to, aby inwestycje, spełniające warunki ekologiczności, otrzymały od UE preferencyjne warunki (w tym finansowania), których nie będą mieć inwestycje „brudne” (czyli przede wszystkim w węgiel).

Formalnie do „czystych” inwestycji mogą się zaliczać te, które spełniają łącznie cztery warunki: wnoszą istotny wkład w realizację co najmniej jednego z sześciu celów środowiskowych, nie wyrządzają poważnych szkód w żadnym z celów środowiskowych, są prowadzone zgodnie z minimalnymi gwarancjami oraz spełniają techniczne kryteria kwalifikacji.

Rozporządzenie określa warunki zaliczenia do taksonomii, ale nie wymienia konkretnych rodzajów energetyki. O ile jasne jest, że nie wlicza się tu energetyka węglowa, o tyle już gaz i atom są przedmiotem politycznego sporu, trwającego od wielu miesięcy, i decyzja w ich sprawie będzie mieć charakter ściśle polityczny.

z transformacją energetyczną nie są tu jedynym argumentem. Ważną rolę odgrywają też sprawy ideologiczne, ale znaczenie twardego bilansu finansowego rośnie. Pośrednia koncepcja mówi o wywalczeniu sobie akceptowalnych warunków uczestnictwa w polityce klimatycznej UE i wydaje się, że taką drogą próbuje – na razie głównie retorycznie – podążać PiS. Tyle że to obecnie rządząca partia akceptowała przez lata wszystkie

do różnych państw UE) takich szans nie widać. Bylibyśmy zdecydowanie klientem tych, którzy dostarczaliby nam nie tylko technologie, lecz także „zieloną energię” – tak, abyśmy mogli wywiązać się z narzuconej nam konstrukcji miksu energetycznego.

Polska złożyła właśnie w Komisji Europejskiej wniosek o kompleksową reformę systemu EU ETS, ale szanse na jego uwzględnienie nie są duże, bo KE twierdzi, że Warszawa nie ma racji, mówiąc o tym, że ceny szybują z powodu spekulacji. Bruksela powołuje się tutaj na raport ACER (unijna Agencja ds. Współpracy Regulatorów Energetycznych), według którego spekulacja uprawnieniami odbywa się obecnie na zbyt małą skalę, aby wpływać na ich cenę – a właśnie spekulacja jest głównym argumentem wysuwany przez Polskę. Frans Timmermans odbija zresztą częściowo celnie piłeczkę, stwierdzając, że przecież większość pieniędzy ze sprzedaży uprawnień z puli przyznanych polskiemu rządowi wpływała do polskiego budżetu i można z nich było wspierać transformację energetyczną. Można było, ale część wpływów po prostu rozplywała się w budżecie państwa. Wygląda więc na to, że sytuacja była po prostu dla rządu na tyle komfortowa, że nie zajmował się możliwym wzrostem cen uprawnień dopóty, dopóki nie zaczęło to stanowić problemu widocznego w sondażach.

Timmermans uważa również, że ceny uprawnień muszą być wysokie, ponieważ tylko to wymusi przeskok na „zieloną energię”. Problem w tym, że przy cenach drenujących konta firm nie zostaje już nic na inwestycje – a więc także w czyste źródła energii.

Wiele wskazuje na to, że zamysł stojący za „Fit for 55” jest dla państwa niemieckiego korzystny

klimatyczne wymysły Brukseli. Jest też koncepcja radosnej akceptacji Zielonego Łądu, której zwolennicy twierdzą, że Polska może na tym zarobić. Tę ostatnią reprezentuje przede wszystkim twarda opozycja.

Problem w tym, że Polacy zaczynają bardzo dotkliwie odczuwać skutki unijnej polityki klimatycznej, niezależnie od przewin rządu, więc ekologiczna narracja do ogromnej części z nich nie będzie przemawiać. Zarazem nikt jak dotąd – z niepartyjnymi ekspertami włącznie – nie był w stanie przedstawić pomysłu na to, kto i jak miałby w Polsce na Zielonym Ładzie zarabiać. Poza odosobnionymi i stanowiącymi raczej wyjątek przedsięwzięciami (np. Ekoenergetyka z Zielonej Góry, z sukcesem eksportująca ładowarki do aut elektrycznych

■ Szansa na to, że uda nam się w jakiś sposób wyłączyć z niektórych elementów unijnej polityki klimatycznej, nie jest wielka. Moglibyśmy próbować zawieszenia uczestnictwa w systemie EU ETS, ale musielibyśmy mieć po swojej stronie bardzo mocne, konkretne argumenty prawne. Jeszcze słabiej wygląda sprawa w przypadku „FF55” – chyba że do czasu, gdy miałyby on wejść w życie, nastąpiłby polityczny bunt w większości państw Unii, owocujący odejściem od radykalizmu zawartego w pakiecie. Trudno jednak traktować to jako realistyczny wariant, który uratuje polską gospodarkę przed zapaścią, a polskie gospodarstwa domowe przed ubóstwem – nie tylko energetycznym.

Czy w takim razie optymalnym wyjściem nie byłoby po prostu wystąpienie z UE? Mogłoby się wydawać, że nic prostszego: wychodzimy ze wspólnoty, a tym samym odrzucamy unijną politykę klimatyczną, a więc termin osiągnięcia neutralności klimatycznej, obowiązkowy skład miks energetycznego i szaleństwo „FF55”. Nie jest to jednak takie łatwe. Pomijając już względy polityczne i strategiczne – także przecież istotne – musielibyśmy dysponować względnie pełną wiedzą o kosztach i ewentualnych korzyściach wystąpienia. Tych zaś na razie nie znamy.

„FF55” jest na etapie propozycji KE, a więc nie wiemy, jaki ostatecznie kształt przybiorą regulacje, a od tego w dużej mierze zależą konkretne obciążenia. Nie sposób znaleźć dzisiaj szacunków mówiących o tym, o ile na przykład wprowadzenie „FF55” obniżyłoby polski PKB. Można się zastanawiać, czy takie oceny ma polski rząd. We wspomnianym raporcie PIE znajdziemy cztery dość oczywiste scenariusze wpływu regulacji z „FF55” na unijny PKB i sytuację społeczną, ale bez konkretnych liczb.

W dodatku pamiętać trzeba, że pakietowi „FF55” towarzyszy propozycja protekcyjnego cła CBAM, które miałyby obciążać produkty importowane spoza UE proporcjonalnie do emitowanego przy ich produkcji dwutlenku węgla. W zamyśle CBAM ma zapobiegać przenoszeniu produkcji poza UE. Oznaczałoby to, że gdyby Polska znalazła się całkowicie poza europejskim mechanizmem gospodarczym – a więc opuszczając UE, nie weszłaby do Europejskiego Obszaru Gospodarczego – nasz handel

z krajami UE mógłby znacząco ucierpieć z powodu ochronnego cła klimatycznego. Nie mówiąc już o tym, że generalnie stracilibyśmy dostęp do wspólnego rynku. Te straty również trzeba by policzyć, gdyby chcieć na serio rozważać opcję opuszczenia wspólnoty.

Wiemy mniej więcej, ile kosztuje nas uczestnictwo w systemie EU ETS, bo jesteśmy w stanie policzyć, ile polskie podmioty wydają na zakup samych uprawnień oraz ile kosztuje je ten system w cenach kupowanej energii. Poseł Janusz Kowalski – przy cenie uprawnień sięgającej „zaledwie” ok. 50 euro za tonę – wyliczał lukę ETS, czyli szacował, ile netto polska gospodarka musi dopłacić, aby dokupić z zagranicy brakujące uprawnienia ponad pulę, którą dysponuje polski rząd. To pieniądze, które bezpowrotnie zniknęły z naszego kraju. Według wyliczeń Kowalskiego w latach 2013–2020 luka wyniosła

25 mld zł

TYLE W LATACH 2021–2023 POLACY BĘDĄ DOPLACAĆ, KUPUJĄC UPRAWNIENIA DO EMISJI

ok. 41 mln ton CO₂ rocznie. W latach 2021–2023 ma być większa i wynieść 65 mln ton. Biorąc pod uwagę obecne ceny uprawnień (ok. 85 euro za tonę), oznacza to rocznie ok. 5,5 mld euro, czyli przy obecnym kursie ponad 25 mld zł rocznie. A mówimy tylko o pieniądzach znikających z polskiego systemu, co nie oddaje całości problemu. Nie jest przecież tak, że jeśli uprawnienia pochodzą z puli przekazywanej Polsce, to są potem rozdawane darmo (choć, nie wnikając w szczegóły, było tak do pewnego momentu w stosunku do firm elektroenergetycznych). Podmioty – firmy czy choćby komunalne elektrociepłownie – muszą je kupować, drenując własne budżety, tyle że te pieniądze zostają w Polsce. Ale to nie przełoży się w automatyczny sposób na długoterminową korzyść z zielonej rewolucji.

Temat podziału pieniędzy, które przypadają Polsce ze sprzedaży uprawnień do emisji, to odrębny i skomplikowany rozdział tej opowieści. Sposób, w który dotychczas rząd rozdysponowywał wpływający do budżetu z tego

powodu miliardy, może budzić wątpliwości. Teraz toczą się spory o to, jaka część pieniędzy ze sprzedaży polskiej puli uprawnień powinna trafić do nowo powoływanego Funduszu Transformacji Energetyki. Ministerstwo Klimatu zapowiadało, że będzie to ok. 80 mld zł. Walka toczy się m.in. o to, kto z tych pieniędzy miałby korzystać.

Koszt związany z systemem ETS faktycznie moglibyśmy odrzucić, występując z UE. Nie da się tego jednak rozpatrywać w oderwaniu od utraty korzyści z dostępu do wspólnego rynku. Można zaś spokojnie zakładać – pamiętając negocjacje brytyjsko-brukselskie oraz obserwując obecne relacje między najsilniejszym krajem UE, Niemcami z nowym rządem, a Polską – że oferowane nam warunki wyjścia byłyby najgorsze z możliwych.

WYNISZCZAJĄCA BITWA

Przed nami jest kolejna potencjalnie wyniszczająca dla Polski bitwa: rozpoczęty już spór o taksonomię. Chodzi o to, jakie rodzaje energii będą przez UE uznawane za wystarczająco zielone, żeby można je było finansować w ramach europejskiego systemu wspierania Zielonego Ładu. Berlin z nową koalicją SPD-FDP-Zieloni stoi na stanowisku, że w taksonomii nie powinna się znaleźć tylko energetyka jądrowa (tu Polska ma w swoim sprzeciwie potężnego sojusznika w postaci Francji), lecz także nawet gazowa. Aczkolwiek w samej niemieckiej koalicji toczą się na ten temat spory.

Jedno jest pewne: czas, gdy bycie w UE można było prezentować jako przynależność do klubu rozdającego pieniądze przy niewielkich ponoszonych przez nas kosztach, minął wraz z wejściem na drogę klimatycznego szaleństwa. Na jego realizacji rzeczywiście niektórzy w UE mogą skorzystać, ale na pewno nie będzie to Polska. Tyle że wystąpienie z UE także nie wydaje się – przynajmniej na razie – sensowną możliwością. Być może przegapiliśmy moment, w którym można było się jeszcze sprzeciwić najgorszym dla nas rozwiązaniom, i teraz nie mamy już żadnego wyjścia – tak czy owak pędzimy na ścianę. Być może możliwości manewru zaprzepaściliśmy jeszcze w 2007 r., kiedy Polska zgodziła się na odejście od nicejskiego systemu głosowania w Radzie UE.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Skończyć z unijną bezkarnością



Paweł Szalamacha

Należy zlikwidować lukę w prawie i wprowadzić odpowiedzialność karną funkcjonariuszy unijnych

W większości krajów politycy lub urzędnicy mogą odpowiadać karnie za swoje przewinienia. W Polsce takimi przestępstwami są łapownictwo, płaćta protekcja, nadużycie uprawnień. Ściganie takich przestępstw nie jest łatwe, a skazania nieliczne, niemniej bezkarność rządzących nie jest zasadą. Zwykłą obroną podejrzanych o takie czyny jest odwrócenie sytuacji – oskarżanie prokuratury o niegodziwą motywację. Kilka tygodni temu francuski dziennik „Libération” opisał system powiązań pomiędzy politykami europejskiej chadecji, urzędnikami i sędziami. To wydarzenie ujawniło lukę prawną polegającą na tym, że o ile osoby sprawujące władzę w państwach członkowskich mogą odpowiadać karnie za swoje przewinienia, o tyle za takie same zachowania funk-

cjonariusze unijni nie ponoszą odpowiedzialności.

PRZEKRACZANIE UPRAWNIEŃ

Ustawodawca polski powinien rozważyć zlikwidowanie tej luki. W pierwszej kolejności uregulować tak częste obecnie nadużywanie uprawnień, które prowadzi do zatrucia atmosfery współpracy w Unii.

W naszym Kodeksie karnym zdefiniowane jest przestępstwo nadużycia uprawnień przez funkcjonariusza publicznego. Artykuł 231 brzmi: „Funkcjonariusz publiczny, który, przekraczając swoje uprawnienia lub nie dopełniając obowiązków, działa na szkodę interesu publicznego lub prywatnego, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3”. Należy wprowadzić jego odpowiednik, dotyczący podobnych czynów dokony-

wanych przez osoby piastujące stanowiska w organach Unii Europejskiej – Radzie, Komisji, Parlamencie oraz Trybunale. Proponowane brzmienie:

„Funkcjonariusz organów UE, który, przekraczając swoje uprawnienia lub nie dopełniając obowiązków, działa na szkodę interesu Rzeczypospolitej Polskiej, Unii Europejskiej lub państwa do niej należącego, podlega karze pozbawienia wolności od roku do lat 3”.

Proponuję takie same górne zagrożenie karą jak w przypadku „krajowego” przestępstwa, ale wprowadzenie dolnej minimalnej kary, a to ze względu na wysoką szkodliwość takich działań, które w istocie niszczą dobre relacje w Europie i rozsadzają ją od wewnątrz. Dodatkową sankcją mogłaby być grzywna. Czyny te powinny być ścigane przez prokuraturę polską oraz podlegać jurysdykcji sądów polskich.

UNIA SAMA SIĘ NIE OBRONI

Można mieć oczywiście pytania co do skuteczności takich przepisów w przypadku przestępstw popełnianych poza granicami RP. Niemniej

już obecnie w kodeksie istnieje rozdział dotyczący odpowiedzialności za czyny popełnione za granicą, tj. rozdział XIII, wystarczy go odpowiednio zmodyfikować, rozszerzając zakres odpowiedzialności cudzoziemca. Do słowniczka stanowiącego rozdział XIV kodeksu należy także dodać definicję funkcjonariusza UE.

Kolejne wątpliwości mogą dotyczyć tego, czy przepis powinien obejmować tylko działanie na szkodę RP czy także innego państwa należącego do UE i całej Unii. Być może można zrezygnować z ochrony interesu innych krajów – niech robią to same. Natomiast, jak widzimy w ostatnich latach, Unia nie jest w stanie obronić się sama przed patologiami nadużycia władzy, potrzebna jest decyzja gospodarzy traktatów, czyli państw ją tworzących. Konieczny jest pierwszy krok, a w dalszej kolejności rozważyć należy modyfikację innych przepisów, tak aby uniemożliwić ingerencję w wybory w państwach członkowskich.

Gdy sól traci smak



Piotr Semka

Wszyscy do znudzenia powtarzają, że jest miejsce na jakiś blok centrowy w sytuacji, gdy ludzie są rzekomo znudzeni wojenką PiS z PO, lecz nie przekłada się to na wzrost popularności ugrupowań centrowych. Jak w tej sytuacji odnajdzie się Jarosław Gowin?

Jarosław Gowin szykuje polityczny powrót. Ta informacja, która pojawiła się tuż przed świętami, uspokoiła wszystkich tych, którzy martwili się o stan zdrowia znanego polityka. Dziennikarze penetrujący polityczne kuluary powrócili do rozważań na temat budowy centrowej koalicji. W informa-

cjach o rozmowach pojawia się tradycyjnie Władysław Kosiniak-Kamysz, ale i Szymon Hołownia, który typowany jest ponoć na lidera takiej formacji.

Kolejne poruszenie wywołała informacja o samorządowej koalicji „Tak dla Polski” jako ważnym elemencie centrowego bloku. Wszystkie te polityczne

plotki każą przyjrzeć się specyfice tych konserwatystów, którzy albo zostali wygnani z PiS, albo usunięci z PO. Dlaczego ich polityczna oferta od 15 lat nie znajduje szerszego odzewu? Czy wina tkwi we wszechwładzy duopolu PO-PiS czy też coś jest nie tak z wiecznymi politykami prawicy podkreślającymi swój umiar i racjonalność?

JAROSŁAW NIEUŚTĘPLIWY

„Jarosław Gowin odzyskuje siły po pobycie w szpitalu. W najbliższym czasie nie planuje aktywności medialnych, ale równocześnie prowadzi serię spotkań i rozmów politycznych” – tak obecną sytuację byłego wicepremiera w rządzie PiS opisuje Wirtualna Polska. Krakowski konserwatysta w połowie listopada



FOT. MACIEJ KULCZAK/VEPIA

wyborom kopertowym w maju 2020 r. rozpoczęło proces przygotowań lidera PiS do pozbycia się Gowina. Kontrakcja ze strony Adama Bielana i działania na rzecz zapełnienia luki po Gowinie w Zjednoczonej Prawicy przyniosły efekt. Spośród 18 posłów Porozumienia przy Gowinie pozostało tylko czterech. Nawet najwięksi pesymiści w otoczeniu krakowskiego polityka nie przewidywali, że skuteczność Jarosława Kaczyńskiego będzie aż tak duża.

Kolejny problem zaczął się po zdemisjonowaniu Gowina przez Mateusza Morawieckiego. Już sam fakt, że nie odszedł sam, ale go zwolniono, nie najlepiej świadczył o krakowskim polityku jako strategu. Jednak zaskakujące były też dalsze posunięcia. Oto Gowin wpisał się w dobrze znaną prawicowym wyborcom ścieżkę zachowania wygnańców PiS-owskiego dworu. Podobnie jak kiedyś Kazimierz Marcinkiewicz, a potem Ludwik Dorn i Roman Giertych, Gowin nie powstrzymał się od pielgrzymowania do „Gazety Wyborczej”, programu Moniki Olejnik czy od udzielania wywiadów w TVN. Powtórzył też manierę występów telewizyjnych Marcinkiewicza, Dorna i Giertycha, którzy starali się przyciągnąć uwagę widzów opowieściami o swoich rozmowach z Jarosławem Kaczyńskim.

Polityczna jesień 2021 r. była zimnym prysznicem. Już 27 sierpnia tygodnik „Polityka” napisał: „Porozumienie jest w rozsypce, działacze odeszli, elektoratu nie ma”. Wystarczyła pobieżna obserwacja sytuacji w największych ośrodkach Polski, by stwierdzić, jak bardzo osłabła pozycja Porozumienia. Przy Gowinie pozostało paru młodych polityków, takich jak Michał Wypij czy Jan Strzeżek. Gowina poparła też młodzieżówka Porozumienia – Stowarzyszenie Młoda Prawica, którego dyrektor biura krajowego Jakub Lewandowski szybko wcielił się w rolę kłopotliwego partnera dla ministra Przemysława Czarńka w Radzie Dzieci i Młodzieży RP.

Gowin uznał, że na nowym, „opozycyjnym” etapie swojej kariery odniesie sukces, jeśli postawi na trzy tematy: obronę samorządu przed rządem Morawieckiego, walkę z Polskim Łądem i wreszcie obronę pozostania Polski w Unii Europejskiej. W ramach ukłonów wobec samorządowców spotykał się z takimi liderami tego środowiska jak były prezydent Gliwic Zygmunt Frankiewicz czy prezydent Sopotu Jacek Karnowski.

W kwestii walki z Polskim Łądem nawiązał do swej krytyki jeszcze z czasów obecności w rządzie, ale jednocześnie specjalnie się tym nie wyróżniał, bo cała opozycja odsądzała gromko nowy plan PiS od czci i wiary.

Tak samo zresztą było z ostrzeżeniami Gowina przed polexitem. I tutaj wchodził on wprost w koleiny haseł Platformy. 7 października 2021 r. napisał: „Konstytucja to najwyższy akt prawa. Ale podpisując traktat lizboński, Polska uznała, że między nim [traktatem] a konstytucją RP nie ma sprzeczności. Wyrok TK wyprowadza nas na pole minowe. Albo dostosujemy konstytucję do traktatu, albo polexit. Liderzy PiS wpadli w pułapkę, którą sami zastawili”. Gowin, wydając takie sądy, ignorował swoje wcześniejsze wypowiedzi, w których wskazywał, że TSUE przekracza swe kompetencje, wypowiadając się w kwestiach, które nie są regulowane przez traktat. Teraz jednak wchodził w retorykę typową dla „Gazety Wyborczej” czy „Newsweeka”.

Najprawdopodobniej październik i połowa listopada musiały przynieść kumulację kłopotów lidera Porozumienia. Do Gowina mogło dotrzeć, że jego partia jest już cieniem dawnej wielkości, a rozmowy sondażowe z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem zapewne wykazały limity zainteresowania PSL współpracą z Porozumieniem. Owszem, są tacy, którzy zwracają jeszcze uwagę na Gowina, ale czynią to czysto instrumentalnie. Taką postawę najlepiej ubrał w słowa Jacek Żakowski, mówiąc: „Warto było mieć Kiszczaka w rządzie Mazowieckiego, żeby zmienić system, warto będzie mieć Gowina, żeby zmienić system”. Tyle że status takiego destruktora, łaskawie tolerowanego przez część salonu, nie jest czymś, co odpowiada ambicjom Gowina. A nic nie wskazuje na to, by jego pozycja przetargowa miała się wzmocnić. Były marszałek Senatu Stanisław Karczewski już sugeruje kolejne „zakupy transferowe” PiS do swego klubu. Pozycję Gowina potwierdza też wypowiedź jednego z polityków opozycji dla Wirtualnej Polski: „Żeby wrócić, Gowin musi pokazać, że jest wartością dodaną. Wszystko jest w rękach Jarka. Zobaczmy, czy po resecie będzie umiał wnieść wartość dodaną”.

ROZBITKOWIE

Jednak problemy, przed którymi staje Gowin, spędzają sen z powiek także innym politycznym podróżnikom z obozu

trafił do szpitala w konsekwencji, jak to opisywały media, groźnych dla życia powikłań pocovidowych i zagrożenia dla zdrowia psychicznego. Nikt w mediach nie zgłębiał powodów towarzyszących trafieniu do placówki leczniczej. Gdy tygodnik „Sieci” opisał splot politycznych okoliczności, które podcięły nogi Gowinowi, posypały się na niego gromy.

Z perspektywy czasu trudno nie przypomnieć politycznego korkociągu, w który w zeszłym roku wpadł lider Porozumienia. Gowin przecenił siłę swojego ugrupowania i jego sejmowej reprezentacji. Osiemnastoosobowa grupa posłów wydawała się gwarancją silnej pozycji krakowskiego polityka. A jednak dziś widać, że występowanie mniejszościowego koalicjanta przeciwko

■ opozycji. Dobrym przykładem perypetii tego typu jest Kazimierz Michał Ujazdowski, który pod względem podróży po partiach mógłby uznać się za weterana. Wywodzący się z opozycyjnego ruchu Młodej Polski polityk rozpoczął swoją epopeję po 1989 r., współtworzył Forum Prawicy Demokratycznej kierowane przez Aleksandra Halla. Wraz z Hallem przystąpił do Unii Demokratycznej Tadeusza Mazowieckiego. Ale już w 1993 r. też wraz z Hallem odszedł z UD, współtworząc partię konserwatywną. Przez kolejne lata tworzył koalicję konserwatywną, która weszła w skład zapomnianej już Akcji Wyborczej Solidarność. Potem trafił do Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego, a gdy w partii tej zaplanował rozłam, zasilił Przymierze Prawicy. W 2001 r. startował do Sejmu z list PiS jako członek kierownictwa Przymierza Prawicy. W 2014 r. znów startował pod sztandarami PiS do Parlamentu Europejskiego. W 2017 r. wystąpił z PiS i wszedł do gabinetu cieni Platformy Obywatelskiej. W 2019 r. przeszedł pod sztandary Platformy i miał startować na prezydenta Wrocławia z poparciem tej partii. PO potraktowała go bardzo brutalnie, bo po paru tygodniach jego kampanii wymieniła go na samorządowca Jacka Sutryka. Na pocieszenie Platforma poparła go w wyborach do Senatu, ale wtedy Ujazdowski zaczął kręcić nosem na partię Grzegorza Schetyny. W czerwcu 2021 r. przeszedł w Senacie z klubu Koalicji Obywatelskiej do koła senatorów Koalicji Polskiej.

Przepraszam czytelników za ten długaśny rejestr politycznych zygzaków, ale tylko takie drobiazgowo wyliczenie kolejnych ugrupowań, w których działał Ujazdowski, pokazuje, jak trudno jest takim ludziom utworzyć trwałe i silne partie. Nieprzypadkowo w klubie parlamentarnym Koalicji Polskiej, czyli PSL, znalazł się też Marek Biernacki, inny uciekinier z PO.

Kolejnym przykładem politycznych wagabundów jest Paweł Kowal, który przeszedł do Platformy z obozu PiS. Niedawno Kowal otrzymał lekkiego szturchańca od PO. Razem z Pawłem Poncyliuszem, także ekspisowcem, zadeklarował, że napiszą ustawę o związkach partnerskich w myśl zasady: lepiej, żeby zrobiła to prawica, zanim zabiorą się do tego skrajni progresiści. Nowo mianowany szef PO Donald Tusk w Nielitościwy sposób odciął się od tej inicjatywy, zastrzegając, że ani o nią nie prosił, ani nie

Długie wywody politologów, że PiS powinien mieć konkurencję w postaci konserwatystów szanujących instytucje, niewiele znaczą w sytuacji, gdy wybuchają ostre konflikty o podłożu ideologicznym

jest mu ona potrzebna. Kowal z Poncyliuszem mogli uznać to za zimny prysznic.

KTO TU DOWODZI

Los „konserwatystów środka” wyjaśnia, dlaczego Jarosław Kaczyński przez lata marzył o jednej silnej partii prawicy. W latach 90. Kaczyński wielokrotnie obserwował efekty słabości partii prawicy powstałych po upadku komunizmu. Wszelkie koalicje pięciu, sześciu czy siedmiu partyjek nawiązujących do przedwojennych zaszczytnych tradycji najczęściej bywały polityczną katastrofą. Ambicje liderów były większe niż ich realna siła, co wykorzystywali gracze tacy jak ówczesny prezydent Lech Wałęsa czy gdańscy liberałowie do zbijania sceny politycznej w wygodny dla nich sposób. Co rusz Ujazdowski czy Gowin stawiali wobec wyboru – zachować pryncypia czy współrządzić. Im słabsi byli, tym na większe kompromisy musieli chodzić i tym łatwiej było ich zdyskredytować jako koniunkturalistów. A gdy już odchodzili z PiS czy z PO, uzyskiwali jedynie krótkotrwałe zainteresowanie mediów.

Teraz sytuacja jest równie skomplikowana. Po pierwsze, Donald Tusk bardzo wyraźnie mówi: wspólny blok opozycji, ale tylko z wiodącą rolą Platformy. A Tusk znany jest z osobistej niechęci do Jarosława Gowina i z przekonania, że i tak ma najsilniejsze karty w ręku. Rywalem szefa PO jest na opozycyjnym boisku Szymon Hołownia, który w sensie politycznym wciąż jest znakiem zapytania. Plotki, że Gowin byłby w stanie poprzeć Hołownię jako lidera bloku centroprawicowego, mogą wskazywać, że ambitny krakus gotów jest kupować bardzo niejasną formułę ideową w ciemno. Z kolei PSL, które było nadzieją dla Gowina, w sondażach zazwyczaj oscyluje wokół 5 proc. i nic nie wskazuje, by to ono decydowało o wszystkim. Skoro więc

Gowin widział się jako słabszy partner PSL, a teraz PSL wykazało swą strukturalną słabość, to tym samym pozycja Gowina jest już bardzo słaba.

Problem w tym, że konserwatyści i ludowcy nie zbudowali na razie żadnej siły, która potrafiłaby przykuć zbiorową wyobraźnię jakimś sporem czy hasłem. Wszyscy do znudzenia powtarzają, że jest miejsce na jakiś blok centrowy w sytuacji, gdy ludzie są rzekomo znudzeni wojenką PiS z PO, jednak nie przekłada się to na wzrost popularności ugrupowań centrowych. Jedynym, który jakoś w tym rozgardiaszu utrzymuje swoją pozycję, jest Szymon Hołownia, mogący bez kompleksów może patrzeć na Donalda Tuska. Ale nawet Hołownia nie wypowie się jasno na temat idei jednej listy całej opozycji dopóty, dopóki nie oceni swojej realnej siły na parę miesięcy przed wyborami. A gdy wtedy będą prowadzone targi polityczne, to tacy politycy jak Ujazdowski czy Gowin będą mieli w kolejce do gabinetu Tuska przed sobą Szymona Hołownię, Włodzimierza Czarzastego czy wreszcie Władysława Kosiniaka-Kamysza.

Trochę przypomina to sytuację sprzed II wojny światowej, kiedy goście z Zachodu znający sukcesy chrześcijańskiej demokracji w takich krajach jak Niemcy, Belgia czy Holandia dziwili się, że w katolickiej Polsce tradycja ja jest słaba. Owszem, była słaba, gdyż elektorat katolicki albo głosował na endeków, albo ulegał propanstwowym hasłom sanacji. Jeśli gdzieś tradycja była silna, to na Górnym Śląsku i wynikało to z osobistej popularności Wojciecha Korfatego, a także z przedwojennej mocnej pozycji niemieckiej partii katolików Zentrum.

Dlatego dziś temat nowej, rzeczowej, spokojnej prawicy albo jest okazją do całowania dłoni przez publicystów „Wyborczej”, albo bywa marzeniem takich think tanków jak Klub Jagielloński czy Nowa Konfederacja. Długie wywody politologów, że PiS powinien mieć konkurencję w postaci konserwatystów szanujących instytucje, niewiele znaczą w sytuacji, gdy wybuchają ostre konflikty o podłożu ideologicznym. I PiS w takich rozgrywkach może zawsze liczyć na ludzi, którzy teoretycznie powinni być bliżej Ujazdowskiego czy Gowina. W teorii powinni oni głosować na konserwatystów rozsądku i umiaru, a w praktyce głosują na PiS. Dopóki rządząca partia przoduje w sondażach, dopóty trudno będzie to zmienić. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

DOMY

**76 – 161 m²
W ZABUDOWIE
SZEREGOWEJ**

ceny od 7 190 zł / m²



WIENIAWA

URSUS
GOŁĘBKİ

**OSIEDLE WIENIAWA – URSUS
ul. Leszczyńskiego**



www.ursuswieniawa.pl



604 751 400

Trzeci rok kadencji to dla partii rządzącej czas decydujący. Jeśli utrzyma teraz poparcie, to doniesie je do wyborów – jeśli je straci, to do wyborów już go nie odbuduje. W ten krytyczny moment swych rządów PiS i nadbudowana na nim Zjednoczona Prawica wchodzą fatalnie: fala drożyzny, umęczenie COVID, kłopoty z chwiejną większością sejmową i jej rozpaczliwym łataniem, którego niechlubnym symbolem stał się nabytek z PSL Łukasz Mejza, bałagan towarzyszący wprowadzaniu Polskiego Ładu, coraz bardziej irytujący brak skuteczności, podkreślona niezrozumiałym przegłosowaniem w Sejmie i natychmiastowym zawetowaniem przez prezydenta poprawka w ustawie medialnej. A do tego jeszcze gnienie wymiaru sprawiedliwości oraz kolejne, coraz bardziej bezceremonialne ciosy wymierzane przez Brukselę i TSUE, wynikające z przyjęcia przez Unię kursu na pozatraktatową federalizację, czyli na pozbawienie Polski suwerenności i wepchnięcie jej w nędzę przerzucaniem z państw bogatszych kosztów Zielonego Ładu i „Fit for 55” – czego zresztą rządzący nie mają wciąż odwagi otwarcie powiedzieć nawet samym sobie.

W porównaniu z tymi problemami sprawy, którymi żyje i w których upatruje nadziei obóz lewicowo-liberalny – w rodzaju sensacji o używaniu systemu Pegasus – mają niewielkie znaczenie. Tego typu „afery” ogłaszane są przez media opozycji od sześciu lat niemal co drugi dzień i nieustające oburzenie, którego podtrzymaniu służą, nie wychodzi poza medialną bańkę antypisu. Oczywiście bywało już w naszej polityce tak, że po latach „tefonowej” odporności rządzących jakaś, wydawałoby się, marginalna sprawa wywoływała nagle społeczne skutki, których nie wywołały wcześniej prawdziwe, grube afery.

I opozycja, nieustraszenie histeryzując nad kolejnymi „największymi skandalami od początków III RP” i stale zaostrzając ton tej hysterii (acz po ogłoszeniu Polski „państwem zbrodniczym”, a rządu ZP „winnym zamordowania setek tysięcy obywateli” i po złożeniu formalnego wniosku o postawienie Kaczyńskiego przed trybunałem w Hadze, tak jak Miloševicia, trudno już chyba będzie wymyślić coś więcej), wciąż na taki przełom liczy.

TUŻ PRZED OŚMIORNICZKAMI

Tylko że ani firanki zapomnianego już pośta Pęcza, ani ośmiorniczki spo-



Czas na nowy PiS



Rafał A. Ziemkiewicz

Czy PiS i anty-PiS, żadne niezdolne do stworzenia stabilnej i skutecznej większości, zablokują się nawzajem ze skutkiem podobnym, jak zablokował się polski parlamentaryzm w wieku XVIII? Jest to bez wątpienia scenariusz, na który stawiają obecnie wobec nas i UE, i Rosja, i USA. Jak rządzący mogą go uniknąć?

żywane przez totumfackich Tuska nie były przyczyną, lecz skutkiem. Dlatego właśnie kryzysy władzy przyszły wtedy niespodziewanie, nie po jakimś grubszym przekręcie, a wskutek drobiazgu. Przychodziły one, kiedy społeczeństwo nie tylko miało już rządzących dość i przestawało wierzyć, że jeszcze są oni w stanie zrobić coś dobrego – ten nastrój panował już wcześniej. Wyborcy odwrócili się, kiedy zaczęli mieć wrażenie, że mają się do kogo odwrócić, że jest ktoś, kto będzie rządzić lepiej.

PiS jest obecnie w takim właśnie momencie „tuż przed ośmiorniczkami”. Deli-

katnie mówiąc, nie budzi już entuzjazmu wyborców, nawet tych, którzy identyfikują się z nim ze względów tożsamościowych. Owszem, wciąż rozdaje pieniądze i w ten sposób łagodzi zniechęcenie, ale przecież nawet najbardziej zapalony zwolennik wie, że z samego mnożenia „tarcz” i „osłonowych dodatków” nic na przyszłość nie wyniknie, że to tylko doraźna łatanina.

Ratunkiem dla PiS jest fakt, że opozycja od sześciu lat gra wyłącznie na podział tożsamościowy. Polska polityka faktycznie się na tym podziale opiera: nasza scena polityczna nie dzieli się na prawicę

nigdy niczego takiego nie zrobili. Przyjęli oni narrację „wszystko robiliśmy dobrze, w ogóle to wcale nie przegraliśmy, a jeśli przegraliśmy, to niesłusznie”. W dziedzinie politycznej strategii skutkiem tego jest mit, że „demokratyczna opozycja” wciąż ma za sobą większość i wygra, kiedy się zjednoczy – tym łatwiejszy do kultuwowania, że gołym okiem widać, iż nie zjednoczy się nigdy. W dziedzinie politycznej wizji zaś dojmujący brak takowej. Obóz kreolski poprzestaje na obietnicy, że jeśli Polacy pozwolą mu wrócić do władzy, to „będzie tak jak na Zachodzie”, a będzie tak, bo on rządząc Polską, nie będzie Zachodowi „podskakiwał”.

Nie zauważa on przy tym, że „Zachód”, cokolwiek pod tym słowem rozumieć, nie jest już dla Polaków tak atrakcyjny jak w czasie zwycięskich kampanii Tuska w latach 2007 i 2011, raczej przeciwnie. A jeśli zauważa, to w sposób kuriozalny: wściekając się na społeczeństwo i złorzecząc mu – jak choćby po ostatnim sondażu w OKO.press – że nawet kiedy odwraca się od PiS, to tylko po to, by albo przenieść poparcie na równie znienawidzoną wśród „kreoli” Konfederację, albo deklarować wyborczą absencję.

W istocie porównanie wyników przełomowych wyborów 2015 r. z obecnymi sondażami pokazuje, że wszystkie polityczne boje ostatnich sześciu lat praktycznie nic nie zmieniły. O kilka procent wzrosło poparcie Konfederacji, o tyleż zmalało PiS, a po przeciwnej stronie tożsamościowego podziału PO zjadła Nowoczesną, potem straciła głosy na rzecz Hołowni, a potem część z nich odzyskała.

Co zrobić, aby przełamać tę fatalność? Wszyscy odpowiadają na to: „Stworzyć trzecią siłę”. Wielokrotnie już rzeczywistość udowodniła, że to mit tak samo fałszywy jak bajka o „zjednoczeniu wszystkich sił demokratycznych” (tzn. lewicowych i liberalnych). Kolejne „trzęcie siły” albo kończą marnie i szybko, albo okazują się „rezerwą” któregoś z tożsamościowych obozów.

Odpowiedzi szukać trzeba gdzie indziej: w dopełnieniu przez jedną z głównych partii wspomnianego wyżej rytuału „zmieniamy się dla ciebie”. Tkwiąc w okopach pozycyjnej wojny polsko-polskiej i przerzucając się w kółko tymi samymi hasłami, trafiającymi tylko do „żelaznych elektoratów”, partie nic już nie ugrają.

Można oczywiście uznać, że ta sytuacja sprzyja PiS, bo to on jest obecnie na

pozycjach władzy i nawet przy postępującej erozji może na nich trwać, choćby z rządem mniejszościowym. Ale to doprowadzić musi do sytuacji, w której rządzić Polską nie będzie nikt. PiS i anti-PiS, żadne niezdolne do stworzenia stabilnej i skutecznej większości, zablokują się nawzajem, ze skutkiem podobnym, jak zablokował się polski parlamentaryzm w wieku XVIII. Jest to bez wątpienia scenariusz, na który stawiają obecnie wobec nas i UE, i Rosja, i USA.

CZY PIS CHCE WYGRAĆ?

Natomiast jeśli któraś z dużych partii zdobędzie się na przeprowadzenie przed przyszłorocznymi wyborami operacji, którą w demokracjach normalnych (tzn. niepostkolonialnych i nieperyferyjnych) zwykle przeprowadza się po przegraniu wyborów, to ona właśnie wybory te wygra. Ze względu na Polskę byłoby wskazane, aby była to Zjednoczona Prawica, a nie obóz całkowicie nastawiony na wyrzeczenie się suwerenności i oddanie polskich interesów Berlinowi i Brukseli.

Pytanie o przyszłość Polski sprowadza się więc do pytania, czy PiS jest w stanie się zmienić w sposób wiarygodny dla tych wyborców, którzy zniechęcili się doń w ostatnich latach, i dla tych, którzy wtedy jeszcze nie głosowali.

A to z kolei do pytania, czy PiS chce wygrać. Podobnie bowiem, jak zasiadła „wierchuszka” obozu lewicowo-liberalnego stworzyła dla swej wygody fantom „zjednoczenia opozycji”, tak stworzyła swój mit usprawiedliwiający trwanie w stanie obecnym również „wierchuszka” władzy. W jej wypadku mit ten oparty jest na fałszywie interpretowanym sukcesie „500+”, a mówi tyle, że poza żelaznym elektoratem własnym, który mamy i tak, oraz antypisowskim, którego i tak do siebie nie przekonamy, resztę kupi się po prostu rozdawaniem pieniędzy.

To może się okazać – właściwie już się okazało w wyborach w 2019 r. – wielkim błędem. Wyborca nie kieruje się wyłącznie wdzięcznością za dostawane zasiłki i nadzieją na kolejne. Jedynym sposobem na odzyskanie go jest nowe przywództwo, nowa, zrewidowana i uaktualniona, wizja polityczna, nowy program. To też może do utrzymania Polski przez „tubylców” nie wystarczyć, ale bez tego szans na dobrą przyszłość nie będzie na pewno.

i lewicę, na etatystów i wolnorynkowców czy cokolwiek w tym stylu. Dzieli się, jak w każdym kraju postkolonialnym i peryferyjnym, na stronnictwo tubylcze i stronnictwo kreolskie, zbierające głosy identyfikujących się z miejscową tradycją i tych, dla których stanowi ona stygmat zacofania i gorszości.

Oczywiście poza tymi emocjami jest jeszcze miejsce na elektorat „nie-tożsamościowy”, ale sprawy, umownie mówiąc, „portfela”, które w demokracjach zachodnich przez lata rozstrzygały, u nas najważniejsze są tylko dla pewnej grupy. Mniej licznej, ale zdolnej odgrywać rolę jęczyczka u wagi. To ona właśnie dała kiedyś na dwie kadencje władzę PO i ona po roku 2015 jej ją odebrała. A obóz liberalnej lewicy nie zrobił nic, by tę grupę odzyskać, uznawszy beztrąsko, że nie trzeba, bo wróci ona do poprzednich elit sama, i to na kolanach.

WYJŚCIE Z OKOPÓW

Aby demokracja działała, to znaczy, aby opozycja i władza co jakiś czas się wymieniały, dając społeczeństwu nową nadzieję, nową energię i korygując przyjęty przez poprzedników kurs, partie muszą regularnie dokonywać pewnego, nazwijmy go, higienicznego rytuału. Ten, kto przegrywa wybory, bije się w pierś i daje wyborcom jasny sygnał: macie rację (bo wyborcy nie mogą się mylić, a w każdym razie nie wolno im tego sugerować), zblądziliśmy, nawaliliśmy, słusznie nas ukaraliście, ale wyciągamy z tego wnioski, znajdujemy nowych przywódców, mamy nowy program, jesteśmy od teraz „partią tą samą, ale nie taką samą”.

Nie tylko PO jako partia, lecz także cały lewicowo-liberalny, „kreolski” obóz

Z polityką jest tak jak z dożywociem, nigdy nie można się z niej wypisać – to słowa Waldemara Pawlaka z 22 listopada 2021 r. z wywiadu w „Fakcie”. Tydzień później były premier i były prezes PSL ogłosił wielki powrót do krajowej polityki i start w wewnątrzpartyjnych wyborach na szefa Rady Naczelnej PSL. 4 grudnia okazało się, że wygrał, co dla wszystkich – także w samym PSL – było dużym zaskoczeniem.

Władysław Kosiniak-Kamysz, który na tym samym kongresie po raz kolejny został wybrany na prezesa partii, liczył na to, że na czele Rady, najważniejszego organu partyjnego, stanie jego człowiek – albo zaufany współpracownik Dariusz Klimczak, albo Piotr Zgorzelski, z którym Kosiniak-Kamysz pozostaje w bardzo dobrych relacjach. Już sam fakt, że Pawlak w ogóle wystartował (miał zebrać 50 podpisów wśród członków partii), powinien wzbudzić u prezesa czujność. Mimo to, jak słyszemy, Kosiniak-Kamysz i jego otoczenie byli do końca pewni, że Pawlak przepadnie.

Stało się inaczej, a wraz z wygraną Pawlaka skomplikowała się nie tylko sytuacja w PSL, lecz także po całej stronie opozycyjnej. – Pawlak jest do bólu racjonalny, to typowy, stary PSL-owiec. Ma charakter i coś, co można nazwać politycznym cwaniactwem, co w polityce jest bardzo przydatną cechą – te słowa jednego z polityków dość dobrze oddają to, co mówią i myślą o Pawlaku zarówno w PSL, jak i w innych partiach.

BARDZIEJ NOWOCZEŚNI

To właśnie Pawlak jest autorem słów, które od lat definiują ludowców jako partię obrotową, która – za odpowiednią cenę – jest w stanie dogadać się z każdym. Na pytanie o to, kto wygra wybory, miał kiedyś odpowiedzieć, że na pewno będzie to „nasz koalicjant”.

Z tym wizerunkiem od lat próbuje walczyć Kosiniak-Kamysz, usiłując jednocześnie przestawić partię na inne tory i unowocześnić ją tak, by stała się atrakcyjna nie tylko dla wiejskich wyborców. – Chcemy być partią ludową, centrową z mocnymi chadeckimi korzeniami, stroniącą od radykalizmów, zajmującą się nie tylko sprawami rolników, lecz także innych grup, np. przedsiębiorców, ludzi młodych i seniorów – zapowiadał w „Do Rzeczy”, jeszcze przed wyborami parlamentarnymi.

PSL miało mocniej pójść w tematykę „zieloną”: ekologię, zdrową żywność, odnawialną energię. Dziś tym, który zarzuca,



Prezesem PSL jest Władysław Kosiniak-Kamysz, ale szefem Rady Naczelnej, która może odwołać prezesa, został teraz Waldemar Pawlak. FOT. PAWEŁ SUPERNAK/PAP

Powrót Pawlaka



Kamila Baranowska

Waldemar Pawlak swoim nieoczekiwanym powrotem może mocno namieszać. Nie tylko w samym PSL, lecz także w planach i scenariuszach opozycji

że tematy te leżą niezagospodarowane, jest... Waldemar Pawlak. „Jeżeli mówimy o terenach poza wielkimi miastami, to są trzy naturalne obszary, w których PSL powinno aktywnie działać. To zdrowa żywność, czysta energia i zdrowy styl życia. PSL powinno przyczyniać się do tego,

że idziemy w kierunku zdrowej żywności, o jak najlepszej jakości i walerach, a nie w stronę bardzo przemysłowej produkcji” – mówił Pawlak w niedawnym wywiadzie dla „Faktu”. – „PSL potrzebuje się zmieniać i należałoby mu życzyć zainteresowania tymi, którzy prowadzą działalność

gospodarczą, płacą podatki, są gospodarzami w szerokim znaczeniu, od rolników aż do przedsiębiorców. Wydaje mi się, że to jest wielki obszar do działania. Kiedyś mówiłem, że tradycyjne »żywią i bronią« trzeba uzupełnić o słowo »gospodarują«. Życzyłbym Kosiniakowi-Kamyszowi, żeby potrafił w tym obszarze działać» – dodał, wbijając szpilkę obecnemu prezesowi. O jego polityce mówi zaś, że »to jest nowy styl, nowe podejście, otwarte też na inne środowiska niż wiejskie«. I dodaje: »Zobaczmy, jak będzie to działało w długim horyzoncie czasu».

USUNĄĆ PREZESA?

Sami ludowcy są podzieleni w ocenie powrotu byłego prezesa PSL do władzy w partii. Współpracownicy Kosiniaka-Kamysza i ci, którzy od dawna się na niego orientują, nie bardzo wiedzą, czego mają się teraz spodziewać. Ci, którzy od lat krytycznie odnosili się do polityki »młodzieży«, jak nazywają Kosiniaka-Kamysza i jego najbliższe otoczenie, teraz po tym, jak Pawlak na kongresie pokazał siłę, będą mogli odważniej występować przeciwko pomysłom, które im się nie podobają – jak na przykład zbyt bliska współpraca z Platformą.

Po tym, jak Pawlak wygrał wybory na przewodniczącego Rady Naczelnej, media skupiły się na tym, że będzie mógł w każdej chwili odwołać Kosiniaka-Kamysza ze stanowiska. Choć formalnie Rada Naczelna ma takie uprawnienia, to jest to mało prawdopodobne.

Wedle statutu PSL Rada Naczelna jest najwyższą władzą w partii między zwołanymi co cztery lata Kongresami. Rada sprawuje nadzór nad Nacelnym Komiteciem Wykonawczym, na czele którego stoi prezes, i ma dość szerokie uprawnienia, m.in. ocenia i kontroluje prace NKW, a także powołuje i odwołuje jego członków, w tym także prezesa (bezwzględna większością głosów).

Marek Sawicki, który sam jest wiceprzewodniczącym Rady Naczelnej i któremu daleko do sympatyków obecnego prezesa, nie krył w pewnym momencie irytacji, że wszyscy mówią tylko o tym. »Nie wiem, dlaczego to jest podnoszone, skoro ciągle przypominam, że Kosiniak-Kamysz jest dzieckiem politycznym Waldemara Pawlaka. Więc niby dlaczego Waldemar Pawlak teraz, po kilkunastu latach, miałby detronizować Władysława Kosiniaka-Kamysza i skrócić jego prezesurę? To jest dla mnie kompletnie

W ostatnich miesiącach Waldemar Pawlak przynajmniej kilka razy spotykał się z Jarosławem Kaczyńskim

niezrozumiałe myślenie» – mówił w rozmowie z PAP. – »Mamy piękne połączenie 40-latków w Nacelnym Komitecie Wykonawczym i większość 60-latków siwogłowych w Radzie Naczelnej [...]. Mogą służyć doświadczeniem, radą, propozycjami, podpowiedziami, ale z pewnością nie oczekuję od grupy moich rówieśników jakichkolwiek awantur czy procesów destrukcyjnych» – dodawał.

BYŁE NIE Z PLATFORMĄ

Sawicki ma rację. Pawlakowi awantury nie są wcale potrzebne. Potrzebne są mu wpływy, by móc korygować dotychczasową politykę PSL wedle własnego uznania, ale bez ostentacyjnego podważania roli Kosiniaka-Kamysza, który – jak pokazują badania – wizerunkowo jest dziś jednym z największych atutów partii.

Jednak właśnie tego, co może stać za chęcią korekty polityki partii, otoczenie obecnego prezesa boi się najbardziej.

Kosiniak-Kamysz jest w PSL postrzegany jako ten, który nie będzie potrafił się przeciwstawić Donaldowi Tuskowi i prędzej czy później – mimo obecnych zapewnień – ulegnie jego namowom na wspólny start w wyborach parlamentarnych.

Plan Tuska zakłada zbudowanie jednego obozu opozycyjnego, który wystąpi przeciwko PiS. Duże nadzieje na współpracę Tusk pokłada właśnie w Kosiniaku-Kamyszu i Szymonie Hołowni. Prezes PSL na razie upiera się przy budowie centrowprawicowego bloku, bez Platformy, ale za to z Jarosławem Gowinem oraz być może z Szymonem Hołownią. Ten dzisiejszy upór nie przekonuje części ludowców, którzy uważają, że Tusk go »urobi«. Z Pawlakiem w Radzie Naczelnej takie »urobienie» na pewno będzie dużo trudniejsze, o ile w ogóle możliwe.

– Tusk nie ma teraz takiej możliwości kontrolowania PSL, bo Władek musi się liczyć z Waldkiem i tym, co ma wewnątrz partii – odpowiada nasz rozmówca z PiS, nie kryjąc zadowolenia. – Pawlak nie kieruje się emocjami, ale patrzy, co się bardziej opłaca i jemu samemu, i partii. A Władek

chce być przez wszystkich lubiany, dlatego musi być antypisowski, bo inaczej media go zjedzą – kwituje nasz rozmówca.

WŁASNA DROGA

– My mamy własną drogę, wybraną w 2019 r. – Koalicja Polska, umiarkowane centrum. I naprawdę nie będziemy drepnąć za Donaldem Tuskiem. Niech on sobie myśli o swoim projekcie, my robimy własny – powiedział parę dni temu Marek Sawicki w Polskim Radiu.

Sawicki był jednym z ośmiu (na 86) delegatów Rady Naczelnej, którzy przed wyborami europejskimi w 2019 r. byli przeciwko wejściu PSL do Koalicji Europejskiej. W tej ósemce był też Waldemar Pawlak. Sawicki i Pawlak już wtedy tłumaczyli, że sojusz z Platformą to dla PSL więcej strat niż korzyści, bo elektorat ludowców Platformy nie toleruje i ma z nią złe skojarzenia. A od powrotu Tuska nie lubi i nie ufa jej jeszcze bardziej.

– Ludowcy w regionach chętnie dogadaliby się z PiS, bo tu, na dole, im do PiS bliżej niż do Platformy. Znam przynajmniej kilka takich historii, że w sejmikach było o włos od dogadania się i powstania koalicji PiS z PSL. W jednym z sejmików PiS oferował ludowcom stanowisko marszałka i dwóch członków zarządu. Gdyby nie naciski ludzi od Kosiniaka-Kamysza, że z PiS nie wolno, to byłaby ta koalicja i PSL mogłoby współrządzić – opowiada nam jeden z lokalnych działaczy PiS. I dodaje, że Pawlak z punktu widzenia Prawa i Sprawiedliwości jest »światłem w tunelu».

Zwłaszcza że – jak dowiedzieliśmy się »Do Rzeczy» – w ostatnich kilku miesiącach Waldemar Pawlak przynajmniej kilka razy spotykał się z prezesem Jarosławem Kaczyńskim. Po co i o czym rozmawiali? A może się jakoś dogadali? Czy to prezes PiS namówił go do powrotu? Te pytania zadają sobie także w PSL, bo i tam informacje o tych spotkaniach dotarły.

Część ludowców ma obawy, że Pawlak – wsłuchując się w głos działaczy PSL na dole – może chcieć w przyszłości zbliżenia ludowców z PiS. Jeśli PiS wygrałby wybory w 2023 r., to będzie zmuszony szukać koalicjanta, a z punktu widzenia Kaczyńskiego PSL jest bezpieczniejszym sojusznikiem niż np. Konfederacja. Dla PiS byłby to wymarzony scenariusz.

Pawlak w swoich publicznych wypowiedziach nie stroni od krytyki obecnego rządu i – szerzej – polityki PiS. Ale robi to tak, by nie zamykać sobie żadnej furtki. Czyli jak zawsze.



Niemiecka



Tomasz Rowiński

Chociaż Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego wkłada wiele wysiłku w to, by Polska odzyskała dobra zagrabione w czasie drugiej wojny światowej, to proces ten napotyka czasem zupełnie zaskakujące polityczne przeszkody

Wyniku drugiej wojny światowej polskie dziedzictwo kulturowe poniosło ogromne straty, szczególnie w zakresie zagrabionych i zniszczonych dzieł sztuki. Szacuje się, że Polska w tym czasie utraciła 70 proc. materialnego dorobku kulturowego. W związku z tym nie ustajemy w wysiłkach na rzecz poszukiwania i odzyskiwania polskich strat wojennych – mówił w połowie grudnia 2021 r. wiceminister kultury Jarosław Sellin, odpowiadając w Sejmie na pytania posłów dotyczące postępów w odzyskiwaniu zrabowanych nam dóbr.

Resort kultury został wzmocniony od 1 stycznia 2022 r. Departamentem

Dziedzictwa Kulturowego za Granicą i Strat Wojennych. – W Departamencie pracuje ponad 30 osób, jest tam specjalny wydział, który zajmuje się tylko stratami wojennymi. Można powiedzieć, że jest to nasz wydział detektywistyczny, który tropi ślady dzieł, które są gdzieś w świecie, a pochodzą z polskich zbiorów – tłumaczył w Sejmie Sellin. – Rozdzielamy ten departament na dwa i będzie Departament Restytucji Dóbr Kultury, który wyłącznie tą sprawą będzie się zajmował. Będzie liczył ok. 20 wyspecjalizowanych pracowników, a osobno będzie Departament Dziedzictwa Kulturowego za Granicą, który, tak jak dotychczas, będzie się zajmował polskimi instytucjami na świecie, a także grobami i cmentarzami

wojennymi rozszanymi po świecie – zapowiadał.

Straty wojenne, pomimo podejmowanych – szczególnie w ostatnich latach – wysiłków, wciąż są ogromne. Z jakimi trudnościami boryka się polskie państwo w procesie restytucji, informuje na swojej stronie MSZ.

„Straty wojenne poniesione przez Polskę w dziedzinie dóbr kultury są ogromne, a jednocześnie trudne do precyzyjnego oszacowania – czytamy w komunikacie resortu. – Przyczyną tych trudności jest brak bazy dokumentacyjnej. Nie można także zapomnieć, że większa część oryginalnej dokumentacji źródłowej, np. muzealnej, jak księgi inwentarzowe czy spisy, została wywieziona lub świadomie zniszczona przez okupanta niemieckiego lub wojska radzieckie. W obecnym stanie badań wielokrotnie cytowana liczba 516 tys. pojedynczych utraconych dzieł sztuki, choć oparta na źródłach archiwalnych, nie oddaje ogromu strat. Obejmuje ona bowiem tylko te obiekty, które zostały zarejestrowane w latach powojennych, przy czym skupiono się wówczas



W grudniu ubiegłego roku wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego Piotr Gliński przekazał do zbiorów Zamku Królewskiego na Wawelu odzyskany obraz Leona Wyczółkowskiego „Góralka/Wiejska dziewczyna w żółtej chustce”

FOT. DANUTA MATLOCH/MKIDN

obstrukcja

głównie na dziełach sztuki dawnej. Jeśli chodzi o biblioteki i zbiory domowe, to straty szacuje się na ponad 22 mln woluminów z 37,5 tys. bibliotek”.

NIE TYLKO PIENIĄDZE

Profesor Jan Pruszyński, specjalista w dziedzinie ochrony zabytków i autor fundamentalnej monografii „Dziedzictwo kultury Polski, jego straty i ochrona prawna”, oszacował, że wartość zagrabionego przez Niemców i Rosjan w latach wojennych mienia mogła wynosić nawet ok. 30 mld dol. Jest oczywiste, że wartości utraconych dóbr nie da się sprowadzić jedynie do abstrakcyjnej kwoty. Wszystkie one razem wzięte stanowiły swoisty pejzaż kulturowy Polski rozwijany i wzbogacany przez stulecia. Kultura narodowa to także świat przedmiotów, często bezcennych poprzez swoje znaczenie symboliczne. Bezcennych również dzięki roli, którą odgrywały w kształtowaniu narodowej tradycji – jej wyobraźni i form życia. Nie da się także zlekceważyć szkód spowodowanych zniknięciem konkretnych dzieł sztuki z muzeów czy konkretnych książek z bibliotek. Ubytki

te przyczyniły się do powstania braków w obszarze kształtowania umysłowego Polaków, a w konsekwencji zubożenia sposobów myślenia, mentalności i wrażliwości. Wojenne grabieże zatem bezpośrednio przekładają się na kondycję współczesnej Polski.

Aby zdać sobie sprawę, jak wiele pracy zostało jeszcze przed polskim państwem, wystarczy podać, że do tej pory Wydział Restytucji Dóbr Departamentu Dziedzictwa Kulturowego za Granicą i Strat Wojennych w swoim elektronicznym rejestrze dóbr utraconych, będącym podstawą dla działań restytucyjnych, zgromadził 63 tys. rekordów. Odzyskanie każdego pojedynczego przedmiotu wymaga przygotowania obszernej dokumentacji, która może stać się narzędziem restytucji. To po stronie Polski leży bowiem obowiązek udowodnienia, że dane dzieło należało do polskich zbiorów, ale zostało zagrabione.

Minister Sellin wskazał, że obecnie prowadzonych jest ok. 80 spraw restytucyjnych na całym świecie. To znaczy, że w każdym przypadku przedmiot został zlokalizowany w zbiorach gdzieś na świecie, a strona polska zgromadziła

potrzebne materiały – zwykle ok. 100 stron informacji. Teraz wyobraźmy sobie zakres prac potrzebnych do odzyskania 63 tys., 516 tys. czy wreszcie 22 mln utraconych przedmiotów. Zapewne większość strat jest nie do odzyskania, szczególnie dotyczy to mniej wartościowych czy mniej specyficznych dóbr; jednocześnie ta syzyfowa praca musi trwać. W ciągu ostatnich sześciu lat do Polski wróciło 512 obiektów, takich jak dzieła Gierymskiego, Axentowicza czy eksponaty z Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi.

ROSJA MILCZY, A NIEMCY...

Restytucja jest oczywiście uwarunkowana dobrą wolą dawnych grabieżców. MKiDN złożyło np. ok. 20 wniosków o restytucję dóbr, które znajdują się w Rosji. „Niestety, strona rosyjska nie uwzględniła polskich roszczeń, pozostawiając je bez odpowiedzi. [...] Rosja przyjęła kilkanaście lat temu ustawę o dziełach, które w czasie drugiej wojny światowej w różny sposób zdobyła, właściwie jako łup wojenny, nie jest otwarta na rozmowy o zwrocie dóbr kultury” – poinformował wiceminister Sellin.

PAP zapytała na początku grudnia 2020 r. niemieckie MSZ o stan spraw repatriacyjnych związanych z grabieżami z czasów hitlerowskiej okupacji. Odpowiedzi brzmiały dyplomatycznie pozytywnie. „Postępowanie w sprawie kradzieży dóbr kultury przez narodowych socjalistów jest ważnym problemem dla rządu federalnego”; „Istnieje polsko-niemiecka wymiana zdań na tematy związane ze zwrotem dóbr kultury na różnych poziomach, zwłaszcza w sferze kościelnej i prywatnej. W tym kontekście doszło do licznych repatriacji od czasu podpisania polsko-niemieckiego porozumienia sąsiedzkiego”; „Rząd federalny jest bardzo otwarty na kontynuację rozmów, które odbyły się ostatnio w 2014 r. na podstawie polsko-niemieckiego traktatu o dobrym sąsiedztwie”. Niemieckie ministerstwo przypominało także o głośnych przypadkach restytucji, takich jak powrót do Polski obrazu Francesca Guardiiego „Schody pałacowe” czy zwrot przez berlińską parafię z Tiergarten fragmentów ołtarza z bazyliki Mariackiej w Gdańsku.

Jednak współpraca z państwem niemieckim wcale nie przebiega tak bezproblemowo. Dyplomatyczne i wymijające w gruncie rzeczy odpowiedzi, które uzyskała PAP, nie są przypadkiem. Wróćmy jeszcze na chwilę do odpowiedzi

■ Jarosława Sellina z Sejmu. „[...] podczas polsko-niemieckich konsultacji sprzed trzech lat w Warszawie z inicjatywą wspólnego apelu do obywateli niemieckich o zwrot zagrabionych dóbr kultury podczas drugiej wojny światowej wystąpiła ówczesna minister kultury Monika Grütters, niestety potem się okazało, że jakaś blokada wewnątrz Niemiec nastąpiła i do takiego apelu nie doszło”. Wiceszef MKiDN zapowiedział, że po uformowaniu się nowego rządu w Berlinie strona polska zamierza do tematu wrócić.

Z informacji, które uzyskaliśmy na temat niedosłusznego apelu, wynika, że zachowanie niemieckiego resortu kultury od jesieni 2018 r., czyli od momentu, gdy pomysł się pojawił, stało się – mówiąc delikatnie – dziwne. Z naszych informacji wynika, że wicepremier Piotr Gliński zaproponował niemieckiej minister kultury podjęcie wspólnych działań mających na celu dotarcie do niemieckich obywateli z tematem mienia polskiego zagrabionego w czasie drugiej wojny światowej. Minister Grütters miała na nią chętnie przystać i równocześnie zaproponować konkretną formułę działania. Miała składać się ona z dwóch elementów – publikacji wspólnego tekstu dwóch ministrów w jednym z ważnych niemieckich dzienników oraz konferencji prasowej powiązanej z otwartym apelem.

Mogło się wydawać, że pojawiła się możliwość, by w krótkim czasie doprowadzić do jednego z najważniejszych wydarzeń w historii polskich zabiegów o restytucję utraconych dóbr. Pomysł wspólnej polsko-niemieckiej inicjatywy skierowanej do publiczności w Niemczech wynikł z pojawiających się przypadków, gdy niemieccy obywatele w swoich zbiorach identyfikowali obiekty utracone przez Polskę w czasie wojny i zwracali je prawowitym właścicielom. Można było mieć nadzieję, że przebadanie zbiorów prywatnych i publicznych przez ich właścicieli i zarządców pozwoli odnaleźć wiele obiektów, których odnalezienie w inny sposób nie byłoby możliwe.

Jednak nic w tej sprawie nie przebiegło w późniejszym czasie według oczekiwań, jakie można było mieć dzięki wstępnie deklarowanej woli współpracy rządu niemieckiego. Pomimo tego, że polska strona – MKiDN – od początku podtrzymywała korespondencyjnie chęć przeprowadzenia projektu, aż do wiosny 2019 r. niemiecka minister kultury nie przesłała odpowie-

dzi na pisma inicjujące. Gdy ta w końcu nadeszła, zawierała – owszem – zachętę do dalszej współpracy, ale brakowało w niej jednak jakichkolwiek konkretów poza prośbą, by to polska strona przygotowała propozycje tekstów, które posłużą do dalszych działań. Choć można było oczekiwać, że to pomysłodawca formuły działania przedstawi robocze materiały, MKiDN niedługo potem przekazało Berlinowi zarówno propozycję artykułu, jak i treści apelu.

Trzy miesiące później, na początku lata, z minister Grütters rozmawiała podczas spotkania Trójkąta Weimarskiego Kobiety wiceminister kultury Magdalena Gawin. Nie przyniosło to, tak jak poprzednie kontakty, żadnych konkretów ze strony niemieckiej – przynajmniej w sprawie apelu. Na niczym także spełzły działania, które miał podejmować ambasador Polski w Niemczech Andrzej Przyłębski, który – jak usłyszeliśmy – został zaangażowany w próbę przygotowania roboczego spotkania premiera Glińskiego i minister Grütters. Z naszych informacji wynika, że zapewniano go, iż niemieckie ministerstwo kultury wciąż pracuje nad artykułem. Do spotkania nie doszło.

Niemcy deklarowali ogłoszenie apelu o zwrot zrabowanych Polsce dzieł kultury, ale takiego apelu do dziś nie opublikowali

Nie doszło także do spotkania pomiędzy premierem Glińskim a minister Grütters podczas otwarcia berlińskiej wystawy „Ochotnik. Witold Pilecki i jego misja w Auschwitz”. W zaproszeniu skierowanym do szefowej niemieckiej kultury prof. Gliński miał wspomnieć, że chciałby porozmawiać przy okazji także o projekcie wspólnego apelu. Szybko okazało się, że zaproponowany termin – wystawa ruszała 16 września 2019 r. – koliduje z wcześniej zaplanowanymi zobowiązaniami minister Moniki Grütters. Rok po wstępnych, pozytywnych ustaleniach strona niemiecka w dalszym ciągu zводziła stronę polską, informując, że prace nad tekstem trwają. Miał się też pojawić ze strony niemieckiej kolejny unik polegający na stworzeniu zespołu

ekspertów, którzy zajęliby się pracą nad listem i apelem.

SAME UNIKI

Właściwie od listopada 2019 r. aż do wygaśnięcia kadencji rządu kanclerz Merkel i odejścia z urzędu Moniki Grütters można by śledzić okoliczności, w których niemieckiej minister kultury nie udało się spotkać z polskim odpowiednikiem. Przypadek taki – jak usłyszeliśmy – miał miejsce choćby podczas inauguracji Forum Humboldtów w Berlinie 14 września 2020 r. Grütters miała zignorować prośbę premiera Glińskiego o bilateralne spotkanie w sprawie apelu restytucyjnego. Kolejne miesiące upływały już w cieniu pandemii COVID-19, który to wątek także miał się pojawiać jako kolejne niemieckie usprawiedliwienie zwłoki w pracach nad apelem. Co było potem? Według naszych informacji po prawie dwóch latach korespondencji, jesienią 2020 r., niemieckie ministerstwo kultury poinformowało stronę polską, że takie inicjatywy jak polsko-niemiecki apel w sprawie dóbr zagrabionych w czasie drugiej wojny światowej... znajdują się w gestii MSZ.

Zimą 2021 r. strona niemiecka – dokładnie ministerstwo kultury wciąż kierowane przez minister Grütters – przedstawiło MKiDN propozycję artykułu, który miał się ukazać z okazji 30-lecia Traktatu o polsko-niemieckim dobrym sąsiedztwie. Nie znalazło się w nim żadne odniesienie do propozycji apelu, a premier Gliński wobec tej sytuacji przekierował dalsze prace nad artykułem do polskiego MSZ, który pracował wtedy nad formą upamiętnienia traktatu ze swoim niemieckim odpowiednikiem. Jako podsumowanie tej sprawy można dodać, że w efekcie polsko-niemieckie międzyrządowe rozmowy o zwrotach właściwie zamarły.

Co mogło powodować stroną niemiecką w takim prowadzeniu sprawy? Czy niemieckie władze wystraszyły się dużej liczby zgłoszeń i przypomnienia na forum wewnętrznym i międzynarodowym, jak powszechnie ich naród był zaangażowany w hitleryzm, a także że „zwykli Niemcy” uczestniczyli w grabieżach? Czy wystraszyły się tego, że inne kraje europejskie będą chciały również wciągnąć Niemcy w podobne akcje i koszty restytucji okazać się zbyt wysokie? Niezależnie od tego, jaka jest odpowiedź, za niemal pewne można uznać, że rząd niemiecki ponad sprawiedliwość, która się Polakom należy, postawił niemieckie dobre samopoczucie.



+48 728 747 600 | biuro@solnyresort.pl
www.grupasolny.pl

Apartamenty Inwestycyjne i Prywatne Kołobrzeg i Ustronie Morskie

50m od morza

Bezwarunkowy roczny czynsz

Kup dla siebie,
korzystaj z **auta**
przez **1 rok** za **1 zł**



Inwestycja zakończona



LECZENIE I REHABILITACJA

POBYTY: Po COVID-19, Zdrowy Kręgosłup, Antystresowy,
Kardiologiczny z diagnostyką.

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie* *możliwa dopłata



tel. 54 416 70 00

Pobyty: 09.01 - 27.02 oraz 27.02 - 27.03.2022r.

www.podtezniami.pl

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami” im. Jana Pawła II, ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek

Pierwsza wojna squatowa

Wieczorem 5 grudnia za łby wzięli się mieszkańcy dwóch sąsiadujących i dotychczas ze sobą współpracujących warszawskich squatów – anarchiści ze squatu Przychodnia wdarli się na teren squatu Syrena, z czego wywiązała się wielka bijatyka. Ten incydent zapoczątkował spektakularny rozłam w polskim ruchu anarchistycznym.

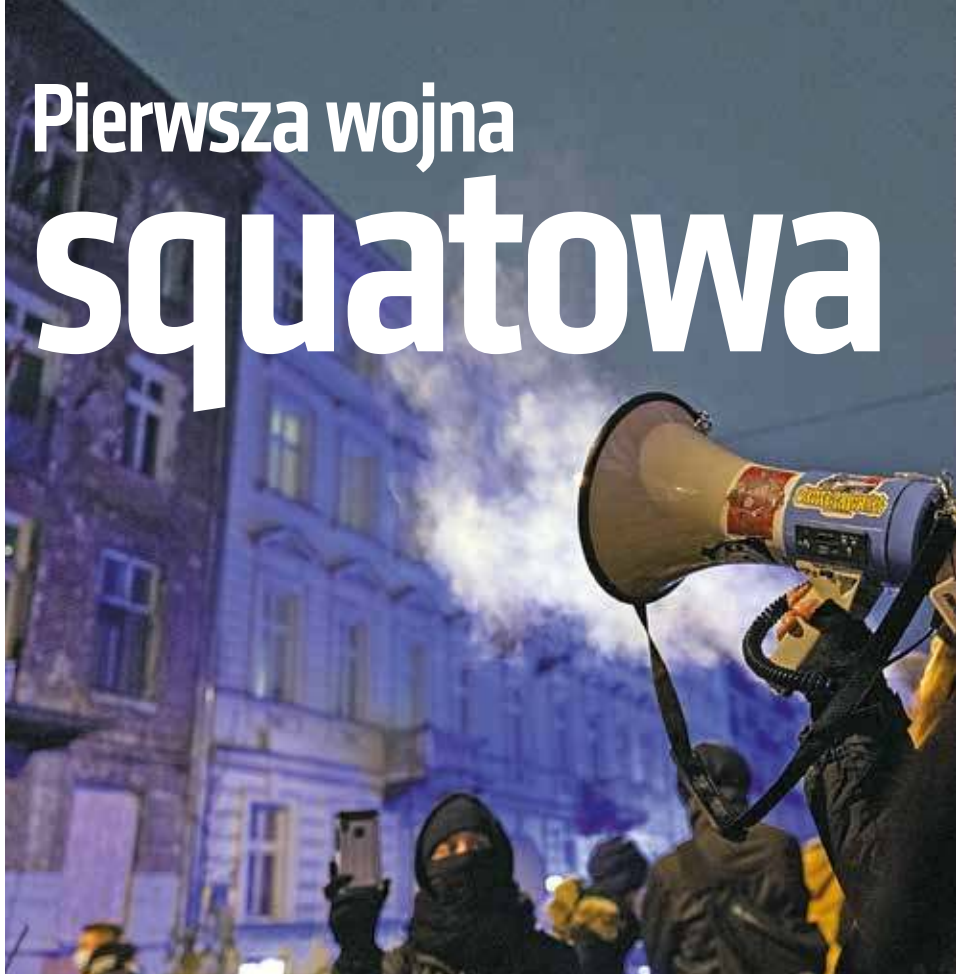
TRANSFOBICZNY UCHODŹCA

Przyczyną zajścia miała być eksmisja jednego z lokatorów białoruskiego pochodzenia (nazywanego w oświadczeniach Di), która jednak rzekomo odbyła się w bardzo pokojowy sposób, a wydalonemu wręczono nawet na drogę grubą kurtkę i zimowe obuwie. Deklarowanym powodem pożegnania się z Di było jego agresywne zachowanie, szczególnie wobec osób transpłciowych zamieszkujących squat. Źródłem tych rewelacji jest facebookowa strona Syreny.

Przychodnia wielokrotnie sugerowała, że jest to stek bzdur, a stroną Syreny kieruje dobrze nam już znany kolektyw Stop Bzdurom z Michałem Sz., kojarzonym jako Margot, na czele. Przychodnia twierdzi, że przedstawienie sprawy jako konfliktu ich grupy z Syreną to manipulacja kolportowana przez Stop Bzdurom i tak naprawdę w Syrenie nastąpił już podział, a stronami konfliktu w istocie była część squatersów z Syreny wspieranych przez Przychodnię, naprzeciw której stanęli kolektyw Stop Bzdurom i część jego sojuszników z Syreny. Można to więc nazwać wojną domową, w której jednak interweniowały siły z zewnątrz.

„Syrena pękła na pół jakiś czas temu i nawałła [wulgarnie określenie zastąpiliśmy nieco bardziej cywilizowanym – dop. red.] się również między sobą, nie pierwszy raz. Po jednej i po drugiej stronie są też osoby z różnych innych kolektywów” – czytamy na stronie Przychodni.

Przychodnia próbowała również obalić narrację przedstawiającą całe zajście jako atak na niewinnych i niczego nieświadomych aktywistów z Syreny. Zarówno wpisy na stronie Przychodni, jak i komentarze pod nimi dostarczyły nam bardzo ciekawych informacji odnośnie do preludeum starcia: furtka przed Syreną została zaspawana, drzwi wejściowe zabarykadowane, w oknach zgromadzono butelki, kamienie i lasery do oślepiania napastników, a sami obrońcy uzbrojeni byli w pałki telesko-



Jakub Zgierski

Przewodniczący Mao mawiał, że podziały wewnątrz ruchu narastają w miarę jego radykalizacji. Starcie między anarchistycznymi grupami w Warszawie zdaje się to potwierdzać

powe, a nawet w wiatrówkę, z której postrzelono działaczkę Warszawskiego Stowarzyszenia Lokatorów. Kobieta miała towarzyszyć ludziom z Przychodni w formie mediatora. 7 grudnia Stowarzyszenie wydało odezwę w sprawie, wzywając do „ponownego otwarcia squatu Syrena na lokalną społeczność i zerwania z sekciarstwem”, co można odbierać jako pośrednią krytykę kolektywu Stop Bzdurom. Według relacji Przychodni jej mieszkańcy przybyli do Syreny nieuzbrojeni, z pokojowym nastawieniem, co jednak obala administrator strony Syreny, informując, że napastnicy byli zamaskowani oraz zaopatrzeni w pałki i innego typu broń białą.

QUEEROWCY POD OPRESJĄ MACHO

W swoich relacjach Stop Bzdurom pominęło jednak fakt, że oprócz białoru-

skiego imigranta Di eksmitowana została również dziewczyna mieszkająca z nim w pokoju. Informację na światło dzienne wyciągnęła Przychodnia, przytaczając oświadczenie dziewczyny, w którym czytamy m.in., że w dniu zajścia do ich pokoju weszły trzy osoby i „odczytały nad nim wyrok, że ma się wynieść – niby wyrok kolektywu, a tak naprawdę kilku osób”. Następnie „około 15–20 osób, które czekały za rogiem na korytarzu, wbiegło i kazało nam wyjść. Kazali mi [eksmitowanej dziewczynie – dop. red.] oddać telefon, którym nagrywałam, i klucze do naszego pokoju”. Do tego wprost powiedziała, że w chwili eksmisji Di ubrany był jedynie w krótkie spodenki i skarpety. Wyrzucona dwójka udała się do Przychodni, gdzie szybko uformował się swoisty korpus ekspedycyjny mający uratować sytuację poszkodowanych.



Demonstracja pod squatem Syrena,
6 grudnia 2021 r., Warszawa

FOT. MAREK BEREZOWSKI/REPORTER

Dziewczyna napisała również, że w Syrenie wielokrotnie stosowane były wobec niej różne formy szykan w wykonaniu członków kolektywu Stop Bzdurom, dla których „to miejsce nie jest domem. Nie jest przestrzenią otwartą dla innych ludzi, którzy nie zawsze będą się z nimi zgadzać. Główne ich zajęcie to snucie intryg i budowanie swojej ideologicznej kariery”. Oświadczenie zostało zamieszczone na stronie Wolna Syrena założonej przez tę część mieszkańców, która wstawiła się za eksmitowaną parą i poparła interwencję Przychodni. Oczywiście Stop Bzdurom zdążyło już wielokrotnie obrzucić stronę błotem, sugerując, że za jej stworzenie odpowiada oponenci z Przychodni.

Na szczególną uwagę zasługują kreacje, które próbowały sobie nadać obie strony konfliktu. Kolektyw Stop Bzdurom i ludzie z nim powiązani przedstawiają interwencji i ich sojuszników jako bezwzględnych napastników dążących do podporządkowania sobie Syreny. Po bójce oskarżali Przychodnię o okupację budynku przy ul. Wilczej 30 oraz wygonienie stamtąd mieszkańców. Samo zajęcie przedstawiali tak: „Kolejny raz [sic! – dop. red.] maczystowski squat zaatakował społeczność queerowo-

-feministyczną. Dzisiejszy atak wpisuje się w patriarchalną przemoc, jakiej doświadczamy na co dzień w Polsce. Nieumiejący opanować swojego gniewu cisheteroseksualni [cisplciowy oznacza nietransplciowy – dop. red.] mężczyźni pozbawili domu queerowo-feministyczne osoby”.

Z kolei squat Przychodnia przedstawiał siebie jako altruistycznych obrońców praw lokatorskich. Szybko jednak zorientował się, że narracja Stop Bzdurom o ataku bandy macho na bezbronne kobiety i transseksualistów mocno uderza w ich wizerunek. Zrozumiał, że samo zasłanianie się obroną eksmitowanej pary nie wystarczy, dlatego wytoczył cięższe działa. Salwę z potężnej artylerii stanowiło oświadczenie z 6 grudnia, w którym Przychodnia poinformowała, że w jej szeregach również znajdują się osoby nieheteronormatywne, ergo Stop Bzdurom nie ma monopolu na wykorzystywanie łatki transplciowości do swojej obrony.

Mniej więcej od tego momentu komentarze wrogich sobie kolektywów zaczęły koncentrować się na wyliczaniu, ile w ich szeregach znajduje się osób nieheteronormatywnych. Najwyraźniej obie strony w progresywnym zapędziły się już tak daleko, że udział transów w danej inicjatywie uważają za potwierdzenie jej rzetelności, szczerych intencji itd. Wychodzi na to, że w tym środowisku biała, heteroseksualna i cisplciowa mężczyzna to relikty historii, którego rolą jest przeproszenie za to, że istnieje.

ANARCHISTYCZNE PĘKNIĘCIE NA PÓŁ

Sprawa zapoczątkowała pęknięcie w ruchu anarchistycznym oraz lewicowo-liberalnym Polski i opowiedzenie się poszczególnych grup za wybraną stroną konfliktu. Nawet najmniejsze środowiska, znane tylko swoim członkom, poczuły się w obowiązku do publikacji własnych oświadczeń, w których popierają Syrenę bądź Przychodnię, przy tym zarzucając stronie przeciwnej – do wyboru – macyzm (sic!), transfobię, homofobię, seksizm albo agresywność, pogardę dla praw lokatorskich, prześladowanie uchodźcy politycznego i hipokryzję (przypomnijmy, że członkowie Stop Bzdurom nieraz chadzali na stosowne demonstracje, niosąc tam transparenty z napisami: „Mieszkanie prawem, nie towarem”).

Wśród pierwszych grup, które dorzuciły do sprawy swoje trzy grosze,

był poznański Rozbrat, jeden z największych i najbardziej w Polsce znanych squatów. Opowiedział się za Przychodnią i parą eksmitowaną z Syreny, rzucając przy tym garść ciekawych informacji. Przekazał m.in., że w Syrenie od dawna miały miejsce dzikie eksmisje przeprowadzone przez kolektyw Stop Bzdurom i ludzi z nim powiązanych. Ofiarami represji były osoby niepodzielające poglądów kolektywu, który – jak twierdzi Rozbrat – dążył w ten sposób do zdominowania całego squatu Syrena pod względem ideologicznym i organizacyjnym.

Ludzie ze Stop Bzdurom wiedzieli jednak doskonale, jak ustawić do pionu nowego wroga. Wystrząsał z najcięższej artylerii było wyciągnięcie z odmętów historii afery, która swego czasu wybuchła w Rozbracie. Stop Bzdurom zagrało asem z rękawa, przypominając, że na terenie Rozbratu miał miejsce gwałt, którego sprawcami byli mieszkańcy squatu. Sprawa dotychczas nie została skierowana na policję, sam Rozbrat zaś bronił się tym, że ofiara nie wyrażała takiej woli. Przystępstwem zainteresowały się już media. Na stronie TVP Info opublikowano nawet zapis rozmowy z ofiarą, co skutecznie uciszyło Rozbrat.

Innym wpływowym sojusznikiem Przychodni stała się część działaczy Warszawskiego Stowarzyszenia Lokatorów. Stop Bzdurom poparli zaś: grupa Antyfaszystowski Lublin, poznański Kolektyw PyRa od tego momentu skłócony z Rozbratem, grupa Wilczyce, Manifa Warszawa, Aborcysty Dream Team, Codziennik Feministyczny, grupa Sex Work Polska i wiele innych mniejszych grup, których działania ograniczają się do przyklejania enigmatycznych i bełkotliwych manifestów na klatce schodowej swojego bloku.

Skutkiem bitwy jest podział niemal całego polskiego ruchu anarchistycznego na dwie części oraz ucieczka kolektywu Stop Bzdurom ze squatu Syrena. Ludzie ze Stop Bzdurom kreują się w tej sytuacji na ofiary brutalnego wysiedlenia (szkoda, że równie mocno nie było im żal eksmitowanej pary) i oczywiście zdążyli już zorganizować zbiórki pieniędzy. Przypomnijmy, że z poprzedniej zrzutki udało się im uzyskać ponad 300 tys. zł, więc o przyszłość nie muszą się martwić. Jeleni nie brakuje.



Łukasz Zboralski

Płace samorządowców od lat były niewspółmiernie wysokie w porównaniu z urzędami centralnymi. A teraz, po znacznej podwyżce, ta dysproporcja jeszcze się zwiększyła. Wójt małej gminy zarabia dziś dwa razy więcej niż wiceminister

Od czasu reformy administracyjnej z lipca 1998 r. – skądinąd oczywiście potrzebnej – borykamy się w Polsce z przerostem administracji lokalnej. Zostaliśmy obdarowani powiatami, których zadania

z jego składników było wynagrodzenie urzędników samorządowych i lokalnych władz. W 2017 r. szacowano ten koszt na 14,1 mld zł rocznie. I teraz właśnie znów się zwiększył.

BOGATY WÓJT I BIEDA MINISTREK

Trudno nie zauważyć, że już od lat wynagrodzenia wójtów, burmistrzów i prezydentów miast były olbrzymie w porównaniu z płacami ludzi kierujących całym krajem – ministrów, wiceministrów, a nawet premiera czy prezydenta.

Przykłady? Jeszcze w 2015 r. wójt niewielkiej gminy Jeżewo (Kujawsko-Pomorskie) Mieczysław Pikuła, zamieszkiwanej przez ok. 8 tys. osób, zarabiał miesięcznie średnio blisko 15 tys. zł brutto. Wówczas akurat dostał ekwiwalent za niewykorzystany urlop z czterech lat przekraczający 32 tys. zł, jednak i bez tego sama jego pensja przekraczała 12 tys. zł brutto miesięcznie.

pospolitej w 2019 r. wynosiło dokładnie tyle, ile cztery lata wcześniej pensja wójta Jeżewa – 12 525,94 zł brutto (prezydent dostaje też dodatek funkcyjny i dodatek za wysługę lat, więc razem z nimi zarabiał nieco ponad 20 tys. zł brutto).

Posel i senator – czyli także ludzie decydujący o kształcie prawa w kraju, a więc o tym, co i jak w Polsce będzie wyglądało – otrzymywali w ubiegłym roku 12 826,64 zł podstawowego uposażenia (do tego oczywiście też dodatki za wysługę, diety parlamentarne).

Zatem wójt mikrogminy w Polsce lata temu dostawał na

Nasz drogi wójt

można z powodzeniem przenieść bliżej ludzi, czyli do gmin, a wspólne zadania wypełniać jako związki gmin. Zostaliśmy obdarowani też urzędami marszałkowskimi, których zadania z powodzeniem mogłyby wypełnić urzędy wojewódzkie. Dalej było już tylko kielkowanie obciążeń – takich jak urzędy pracy, które latami zajmowały się papierkowym odhaczaniem bezrobotnych i wywieszaniem im w gablocie list z ofertami pracy.

To wszystko jest – w pewnym stopniu chyba nieuświadomiony – koszt, który ponoszą lokalnie mieszkańcy. Jednym

No i zestawmy to teraz z wynagrodzeniem wiceministra w polskim rządzie. W 2019 r. wynosiło ono średnio – jak wyliczył portal Konkret.pl na podstawie oświadczeń majątkowych – 12 090 zł brutto.

Idźmy dalej – Mateusz Morawiecki w 2020 r. zarobił jako premier ok. 200 tys. zł, co daje średnio miesięcznie niecałe 17 tys. zł. To naprawdę niewiele więcej niż wynagrodzenie wójta małej gminy.

Ba, nawet podstawowe zasadnicze wynagrodzenie prezydenta Rzeczy-



rękę tyle samo pieniędzy co wiceminister. I jego pensja była tożsama z obecną podstawą płacy posła, senatora czy prezydenta kraju. Trudno to nazwać inaczej niż anomalią.

Z jednej strony oczywiście np. wiceministrowie zarabiają zbyt mało, bo przecież to de facto na ich barkach spoczywa wykonanie całej pracy legislacyjnej w resorcie, za który odpowiada minister. To oni przygotowują rozwiązania prawne, pilotują projekty dla całych sektorów życia publicznego. Z drugiej strony pensje wójtów, burmistrzów i prezydentów były zdecydowanie nieadekwatne do powagi zadań, którymi się zajmują.

Tymczasem te pensje właśnie masowo wzrosły.

I to w czasie, gdy przeciętni Polacy przy galopującej inflacji będą nagle wydawać więcej na gaz, prąd i na zakupy.

PRZEGRZANY KOMIN PŁĄC

W 2018 r. zmniejszono samorządowcom pobory o 20 proc., jakby zauważając tę dysproporcję i nieadekwatność. Oczywiście obniżkę uznano za PiS-owską zemstę na samorządowcach, którzy dzielnie opierają się złej władzy centralnej.

W ubiegłym roku rząd niespodziewanie ustawowo podwyższył minimalną pensję wójta, burmistrza czy prezydenta miasta. Po zmianie, która weszła w życie w listopadzie ubiegłego roku, osoby

na tych stanowiskach w samorządzie mogą zarabiać do 20 041,50 zł brutto miesięcznie. I to jeszcze nie byłoby tak złe jak to, że jednocześnie ustawa narzuca pensję minimalną. Wójt, burmistrz czy prezydent miasta nie mogą bowiem zarobić mniej niż 16 033,02 zł brutto miesięcznie.

Takie widełki ustawa zostawiła radnym, bo to ci ustalają wynagrodzenia lokalnych włodarzy. Ci z jednej strony musieli więc podnosić pensje wójtom, burmistrzom i prezydentom, a z drugiej trochę niezręcznie było im tego nie robić, bo sami zyskali znacznie wyższe diety za swoją pracę na rzecz samorządu. W gminach, w których liczba mieszkańców jest niższa niż 15 tys., dieta radnego wzrosła z 1342,07 zł do 2147,30 zł. W gminach, w których liczba mieszkańców wynosi od 15 do 100 tys., dieta radnego wzrosła z 2013,10 zł do 3220,96 zł. W gminach powyżej 100 tys. mieszkańców wynagrodzenie radnego skoczyło z 2684,13 zł do 4294,60 zł.

Radni – chcąc nie chcąc, ale częściej chcąc – zaczęli więc windować pensje tych na stanowiskach kierowniczych w urzędach.

I tak np. wójt podkarpackiej gminy Harasiuki Krzysztof Kiszka (ok. 6 tys. mieszkańców), który do tej pory zarabiał 9120 zł brutto (nie licząc dodatku za wieloletnią pracę), teraz zarabiać będzie 16 549,50 zł brutto miesięcznie.

Burmistrz miasta i gminy Ulanów (8 tys. mieszkańców) zamiast zarabiać nieco ponad 10 tys. zł brutto, będzie miał teraz pensję 17 523 zł brutto.

Jeszcze więcej na Podkarpaciu dostanie wójt gminy Jeżowe. Miejscowi radni uznali, że Marek Stępek zamiast dotychczasowych nieco ponad 10 tys. zł brutto będzie otrzymywał co miesiąc 19 470 zł brutto.

Obecny wójt gminy Jeżewo Maciej Rakowicz zamiast 9 tys. zł brutto pobierał będzie 19 tys. zł brutto.

Takich podwyżek w małych gminach jest bez liku. I nawet w porównaniu z prezydentami większych miast wygląda to już na ogromne przepłacanie w tych najmniejszych.

Zastanówmy się. Prezydent Sopotu, miasta kurortu, w którym mieszka 35 tys. osób, Jacek Karnowski ma zacząć zarabiać ok. 19 tys. zł. Prezydent Gdańska Aleksandra Dulkiewicz dostawać będzie nową pensję w kwocie

ok. 20 tys. zł brutto. I tyle samo dostanie wójt małej gminy, w której największym wyzwaniem jest położenie kawałka kanalizacji. Czy to ma sens?

To oczywiście kolejny problem z płacami wójtów, burmistrzów i prezydentów miast. Widełki płac różnicujące minimalne stawki dla nich w zależności od liczby mieszkańców (do 15 tys., 15–100 tys. i powyżej 100 tys.) są po prostu za małe.

„NIE CHCEM, ALE MUSZEM”

Inny problem, który sprawia podwyżka, to wytrącenie z rąk narzędzia tym radnym, którzy dyscyplinowali swoich wójtów czy burmistrzów obniżkami pensji. Taka sytuacja jest np. w gminie Karczew. Tam radni karnie zmniejszyli pobory burmistrza Michała Rudzkiego do 4,4 tys. zł brutto. A teraz ustawa zmusi ich do podwyżki o 10 tys. zł.

Obniżeniem pensji radni ukarali też swego czasu wójta gminy Warlubie Krzysztofa Michalaka – przyłapanego przez policję na kierowaniu samochodem pod wpływem alkoholu. Odebrali mu wówczas 1,3 tys. zł. Dziś musieliby mu mocno podnieść pensję. To nie nastąpi, bo ostatnie wybory przegrał.

Samorządowcy podwyżkę przyjmują z lekkim krygowaniem się i odpowiadają na pytania prasy, jak kiedyś prezydent Wałęsa: „Nie chcę, ale muszę”. Większość z nich lokalnym mediom mówi, że po prostu ustawa nakazuje podnieść ich płace. Zręcznie omijają wówczas dopowiedzenie, że ustawa wprowadza minimum, ale nie nakazuje dociągać do górnego limitu...

Część z nich – jak były poseł Eugeniusz Kłopotek, który obecnie piastuje urząd wójta gminy Warlubie – prosiła radnych, by zwiększyć pobory jedynie o niezbędne minimum narzucone nowelizacją.

Niektórzy dostrzegają pewną niestosowność, ale bardziej czasu, w którym do tego dochodzi. – Ustalono pensję taką, a nie inną. Może nie jest to do końca trafna decyzja, że te podwyżki są teraz, w tak dziwnym czasie – powiedział „Gazecie Krakowskiej” wójt Mszany Dolnej Bolesław Żaba, którego zarobki po podwyżce wyniosą 18 150 zł.

A mieszkańcy małych gmin, słysząc o pensjach 20 tys. zł swoich wójtów w czasie, gdy nadciąga drożyzna i Polski Ład, zadają – nie bez złości – na internetowych forach jedno pytanie: „Za co?!”. I na to pytanie naprawdę trudno odpowiedzieć.



FOT. ADRIAN STOK

Kolęda na życzenie



Agnieszka Niewińska

Msze dla wspólnot sąsiedzkich, wizyta księdza na zaproszenie albo wspólna modlitwa przed domem. Pandemia wymusiła na parafiach zmiany w tradycyjnych wizytach duszpasterskich

Czas tuż po Bożym Narodzeniu, a w niektórych parafiach także Adwent, był okresem, w którym wierni szczególnie uważnie przysłuchiwali się ogłoszeniom duszpasterskim. Aby nie przegapić wizyty kolędowej w swoim bloku czy na swojej ulicy. Zwykle tego dnia sąsiedzi bacznie obserwowali okolicę albo czekali na telefon od sąsiadów z informacją o tym, że od nich już proboszcz wyszedł i udał się do Kowalskich czy Nowaków.

W niektórych parafiach zbliżającego się księdza zapowiadał dźwięki dzwo-

neczka. Z czasem proboszczowie sięgali po nowinki techniczne. Kilka lat temu sensację wzbudził ks. Jakub Lechniak, proboszcz parafii w podpoznańskich Kamionkach, który chodząc po kolędzie, udostępnił parafianom swoją lokalizację w mobilnej aplikacji. Przez Internet mogli sprawdzić, gdzie jest ksiądz, jak daleko ma jeszcze do ich domu.

Ze względu na zagrożenie epidemiologiczne już w ubiegłym roku proboszczowie musieli zrezygnować z tradycyjnych wizyt w domach parafian. Kolędy albo zupełnie odwoływano, albo zapraszano parafian do wspólnej modlitwy w kościele. Po roku okazało się, że z wirusem wciąż nie wygraliśmy, a księża musieli zdecydować, co dalej z tradycyjną kolędą.

ODWIEDZINY DLA CHĘTNYCH

Konferencja Episkopatu Polski już w listopadzie informowała, że ogólnopolskich wytycznych co do przeprowadzania wizyt duszpasterskich nie będzie. Decyzję pozostawiono biskupom. – Wydaje się, że najczęściej praktykowane są dwie formy. Jedną z nich są bożonarodzeniowe spotkania kapłanów z wiernymi w kościołach, gdzie odprawiane

są zbiorowe msze święte za wiernych z poszczególnych ulic czy osiedli w danej parafii. Inną często wybieraną formą są indywidualne wizyty duszpasterskie po otrzymaniu zgłoszenia od danej rodziny, która wyraża chęć zaproszenia kapłana do domu – mówi rzecznik Episkopatu ks. Leszek Gęsiak SJ.

W warszawskiej archikatedrze św. Jana Chrzciciela wizyt kolędowych w tym roku nie ma, chyba że ktoś wyrazi takie życzenie. – W związku z sytuacją epidemiologiczną zachęcamy parafian, by w okresie Bożego Narodzenia zebrali się w swoich domach na wspólną modlitwę w intencji całej rodziny. Wzór takiej modlitwy jest do pobrania na naszej stronie internetowej – mówi ks. Bogdan Bartołd, proboszcz warszawskiej archikatedry. I dodaje, że do parafii wpływają indywidualne zaproszenia dla księży. – Pomimo pandemii chcą przyjąć księdza np. ci, którzy do naszej parafii sprowadzili się niedawno. Zależy im na wspólnej modlitwie, pobłogosławieniu nowego domu – opowiada ks. Bartołd.

Podobnie sytuacja wygląda w diecezji warszawsko-praskiej. Biskup Romuald Kamiński poinformował, że zamiast od-

wiedzin w domach w parafiach zostaną odprawione msze kołędowe dla mieszkańców konkretnych ulic lub osiedli.

„W wioskach, małych miejscowościach lub rejonach miasta kapłani mogą pomóc przyjąć za parafian (np. przy kapliczce lub krzyżu), a następnie przechodząc obok ich domów, pobłogosławić rodziny tam mieszkające” – poinformował bp Kamiński. Wiele spośród parafii dało jednak wybór wiernym. Ci, którzy chcą przyjąć księdza w domu, mogą to zgłosić.

W diecezji rzeszowskiej bp Jan Wątroba już na początku grudnia zalecił zapraszanie mieszkańców do kościoła w mniejszych grupach na wieczorną mszę świętą. „Podczas Mszy Świętej należy wygłosić okolicznościową homilię oraz odmówić modlitwę błogosławieństwa nad zebranymi i pozostałymi w domach mieszkańcami, zwłaszcza chorymi. Należy także poświęcić wodę, którą wierni przyniosą do kościoła we własnych naczyniach, a po poświęceniu zabiorą do domów” – napisał do proboszczów bp Wątroba.

W niektórych częściach kraju proboszczowie zdecydowali się na kolędę w tradycyjnej formie w domach wiernych. W parafii św. Wojciecha w Bobowie w diecezji pelplińskiej wizyty w domach rozpisane są niemal na cały styczeń.

„Jeśli ktoś odczuwa obawę przed zarażeniem, przebywa na kwarantannie, proszę o informację. Jeśli ktoś odmówi kolędy, ja się nie obrażę. Zawsze błogosławieństwo domu i rodziny może odbyć się w innym ustalonym czasie” – informuje proboszcz na stronie internetowej parafii.

Z PASZPORTEM, POD CHMURKĄ

Biskup elbląski Jacek Jezierski w swoich kołędowych zaleceniach napisał, że w związku z epidemią kolęda w domach parafian powinna odbywać się na ich wyraźne życzenie, a księża powinni wylegitymować się covidowym paszportem. „Przyjmujący księdza posiadają prawo upewnić się, czy ich duszpasterz jest zaszczepiony. Dlatego ksiądz powinien posiadać ze sobą paszport covidowy. Wierni mogą odmówić wizyty kołędowej w przypadku niezaszczepienia księdza” – napisał biskup elbląski.

Niektórzy proboszczowie zdecydowali się na odwiedzenie wiernych w ich miejscu zamieszkania, ale spotykają się z nimi nie w domu, a przed domem. Wierni przed drzwiami wystawiają stoliki, nakrywają je białymi obrusami, stawiają krzyże, zapalają świece. Na takie

rozwiązanie już po raz drugi zdecydował się ks. Piotr Flis z parafii w Łubowie w diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej. Parafian odwiedza, chodząc od podwórka do podwórka i śpiewając w drodze kołędę. – Wizyty kołędowe są bardzo mocno zakorzenione w naszej tradycji i razem z parafianami chcieliśmy tę tradycję podtrzymywać. Szukaliśmy rozwiązania, które pozwoli nam na spotkanie, wspólną modlitwę, ale z zachowaniem zasad bezpieczeństwa. Stąd pomysł spotkań na powietrzu – mówi ks. Flis. – Na wioskach nie ma większego problemu, żeby taką kolędę zorganizować. W dużych miastach, gdzie ludzie mieszkają w blokach, byłoby trudniej, choć i w mojej parafii jest nieduży blok. Sąsiedzi na zewnątrz wystawili wspólny stół. Razem pomodliliśmy się, zaśpiewaliśmy kolędę. W warunkach pandemii niezależnie od poziomu religijności ludzie bardziej potrzebują poczucia, że są razem. Zauważyłem to już na początku pandemii, kiedy wiosną z najświętszym sakramentem ruszyłem przez ulice parafii, by pobłogosławić mieszkańców – opowiada ks. Flis.

Czy zmiany w tradycyjnej kolędzie wymuszone pandemią odejdą razem z wirusem? Może się okazać, że w parafiach wielkomiejskich kolęda na życzenie stanie się standardem. Na długo przed pandemią wizyty duszpasterskie były przedmiotem polemiki. Krytykowano masowe odwiedzanie parafian w krótkim okresie, przez co wizyty miały zdawkowy charakter, a ksiądz na spotkanie mógł przeznaczyć kilka-kilkanaście minut. Kontrowersje budziły zbierane przy okazji kolędy ofiary.

W PRL przyjęcie księdza po kolędzie było swego rodzaju polityczną manifestacją i gestem poparcia polskiego Kościoła. Dzisiaj sami duszpasterze zwracają uwagę, że przybywa drzwi, które się przed nimi zamykają. Z takimi postawami księża będą spotykać się coraz częściej. Z danych CBOS wynika, że w latach 1992–2021 w Polsce spadła liczba osób deklarujących się jako wierzące: z 94 proc. do 87,4 proc. Zmniejszyła się liczba praktykujących, zwłaszcza wśród młodych w wieku 18–24 lata – z 69 proc. do 23 proc.

Nie powinny zatem dziwić powracające dyskusje na temat zmian w wizytach duszpasterskich. Już przed pandemią pojawiały się głosy na temat tego, że kolęda powinna być rozłożona na cały rok, a kapłan powinien mieć dla rodziny więcej czasu niż tylko kilkanaście minut. „Inicjatywę spotkań

przejmują wierni, zapraszając osobiście księży do swoich domów w najdogodniejszym dla siebie (uzgodnionym z wybranym duszpasterzem) terminie” – pisał przed laty o idealnej kolędzie w tygodniku „Niedziela” ks. Aleksander Radecki, duszpasterz diecezji wrocławskiej.

– Wszyscy mamy nadzieję, że po ustaniu pandemii wrócimy do praktyk duszpasterskich sprzed obostrzeń covidowych, co dotyczy nie tylko kolędy, lecz także innych praktyk religijnych. Stosowane obecnie formy wizyty duszpasterskiej zrodziły się jako pewna alternatywa dla tradycyjnych odwiedzin, mają zatem charakter tymczasowy – ocenia ks. Gęsiak. Nie wyklucza jednak, że zdobyte w czasie pandemii doświadczenia będą inspiracją do nowych form. – Pandemia zweryfikowała wiele utartych schematów w kontaktach międzyludzkich. Trzeba jednak pamiętać, że nie zawsze są to zmiany na lepsze. Dlatego warto się pytać o to, czy tymczasowe rozwiązania wdrażane w warunkach pandemicznych w różnych wymiarach duszpasterstwa są naprawdę dobre i powinny być kontynuowane po ustaniu pandemii.

OD ŚREDNIOWIECZA

Skąd w ogóle wziął się zwyczaj wizyt duszpasterskich? Kościół wzorował się na obyczaju noworocznych odwiedzin praktykowanym w starożytnym Rzymie i połączył go ze świętami Bożego Narodzenia. W Polsce tradycja odwiedzania rodzin przez kapłanów sięga średniowiecza. Wzmianki o wizytach duszpasterskich można znaleźć w tekstach pochodzących z XIII w.

Rzecznik Episkopatu zaznacza, że celem wizyty duszpasterskiej jest poznanie się, podtrzymanie i umocnienie więzi między pracującymi w parafii księżmi a wiernymi. – To, o czym wierni krępują się powiedzieć księdzu w kancelarii parafialnej, łatwiej wypowiedzą podczas nieformalnego spotkania w domu. Jest to okazja do zadania przez wiernych nurtujących ich pytań – mówi ks. Leszek Gęsiak SJ. I dodaje: – Oczywiście istotnym elementem wizyty duszpasterskiej jest wspólna modlitwa księdza i odwiedzanej rodziny oraz udzielone błogosławieństwo dla wszystkich jej członków. I choć w innych krajach wizyta duszpasterska ma często inne formy, to jednak w Polsce jest ona pięknym wejściem w nowy rok z Bożym błogosławieństwem.



„Venus i organista”, ok. 1548 r.,
Madryt, Prado. FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Wiesław Chelminiak

Moda na antyk sprzyjała rozluźnieniu obyczajów. W epoce renesansu „religia wenusjańska” szerzyła się nawet w papieskim Rzymie. Wyznawali ją humaniści, królowie, książęta i poeci, o artystach nie wspominając

Wiedeńskie Kunsthistorisches Museum z arcydzieł dawnego malarstwa słynie i robi wszystko, by to skojarzenie utrwalić. Kolekcja austriackich Habsburgów została udostępniona publiczności już w 1781 r., czyli wcześniej, niż otworzył swe podwoje paryski Luwr. Budynek przy Ringstrasse świętuje zaś 130. urodziny. Pomysł na uczczenie podwójnego jubileuszu był oczywisty: otwarcie wystawy obrazów artysty, cenionego wysoko zarówno przez ekspertów, jak i laików.

Tiziano Vecellio już za życia został obwołany geniuszem i przez następne cztery wieki nie znalazł się nikt, kto potrafiłby tę opinię podważyć. Jego

twórczość jest przyswajalna dla każdego z wyjątkiem daltonistów, a przy tym spleciona z mitem Wenecji – najpiękniejszego miasta świata. Mistrz co prawda przyszedł na świat u podnóża Dolomitów, ale przeniósł się do stolicy Republiki Świętego Marka, mając 10 lat, i mieszkał w niej aż do śmierci. Znaczący twierdzą, że światło, powietrze i kolory weneckiej laguny wyjątkowo sprzyjają ludziom obdarzonym plastyczną wyobraźnią. Vecellio podniósł prestiż artystów do poziomu zarezerwowanego dla arystokracji. Najpotężniejszy monarcha Europy, cesarz Karol V, nie chciał być portretowany przez nikogo innego. Vittorio Sgarbi – włoski krytyk sztuki, skandalista

i polityczny kameleon – tłumaczy ów fenomen następująco: „Malarstwo Tycjana nie zastępuje istnienia, lecz stanowi jego przedłużenie”.

TYLKO DLA TWOICH OCZU

KHM ma w zbiorach 25 obrazów pędzla weneckiego mistrza oraz pięć powstałych w jego warsztacie. Z takim kapitałem wyjściowym można pokusić się o szukanie nowych kontekstów, ale kuratorzy wystawy postawili na temat sprawdzony i chwytliwy: kobiety. W siedmiu salach zebrano ponad sto obiektów, w większości wypożyczonych z najważniejszych światowych muzeów i kolekcji. Oprócz głównego bohatera są reprezentowani jego koledzy oraz rywale: Giorgione, Lorenzo Lotto, Jacopo Tintoretto, Paolo Veronese, Jacopo Palma starszy i Paris Bordone. Ten ostatni z okresu terminowania u Tycjana zachował złe wspomnienia („Człowiek ten nie lubił przekazywać swej wiedzy nawet, gdy uczniowie prosili go na kolanach”).

Świadectw, że w parze z artystyczną wielkością szła małość człowieka, jest

więcej. Vecelli był skąpcem, snobem i złośliwcem. Z niejasnych przyczyn udawał starca, będąc w sile wieku. Miał dwie żony, ale muz szukał gdzie indziej. Tożsamość modelek do dziś jest przedmiotem sporu. Dawniej sądzono, że artystom pozowały luksusowe prostytutki, z których Serenissima słynęła w całej Europie. Ostatnio więcej zwolenników ma hipoteza, że z płócien mistrza patrzą na nas młode patrycjuszki. Kimkolwiek były, złotowłose belle donne wygrały los na loterii życia. Pędzel Tycjana zapewnił im nieśmiertelność.

Podtytuł wystawy brzmi: „Piękno – miłość – poezja”. Tak się jednak składa, że renesansowi malarze nader często ilustrowali żądzę i perwersję.

W Biblii oraz „Metamorfozach”

Owidiusza, traktowanych jako kopalnie tematów, łatwo było znaleźć przykłady gwałtów, zdrad małżeńskich czy kazirodztwa. Mizogini z radością (pomieszaną z lękiem) podziwiali wizerunki Salome i Judyty. Sadyści woleli Lukrecję i poniewierane chrześcijańskie męczennice. Erotyczny przekaz był oczywisty dla każdego, kto miał oczy.

Tycjan spopularyzował mit o Danae, którą ojciec, przerażony przepowiednią, że zginie z ręki własnego potomka, trzymał pod kluczem. Daremnie, bo Zeus nawiedził dziewczę pod postacią złotego deszczu. Niedolę więzionej dziewczyny mistrz uznał za mniej atrakcyjną wizualnie od momentu poczęcia. Namalował więc gołą wenecką kurtyzanę, gotową na przyjęcie podstarzałego sponsora, który dosłownie obsypuje ją złotem. Na wystawę trafiły dwie wersje obrazu. W wiedeńskiej show kradnie brzydka służąca, próbująca złapać jak najwięcej monet sypiących się z niebios. W przywiezionej z Neapolu miejsce chciwej baby zajął Amor. Płótno zamówił Alessandro Farnese – wnuk urzędującego papieża Pawła III. „To naguska, na której widok poczujesz diabła w lędźwiach” – ostrzegał listownie kardynała Giovanni della Casa, nuncjusz Stolicy Apostolskiej w Wenecji i autor podręcznika dobrych manier. Kolejni właściciele cieszyli się malowidłem w prywatnych apartamentach. Nawet gdy trafiło do muzeum, umieszczono je w gabinecie obscenów, dostępnym jedynie za zgodą króla Włoch.

Wyjątkowo łasy na tycjanowskie „poezje” był arcykatolicki władca Hiszpanii Filip II. W 1554 r. mistrz pisał do monarchy: „Danae, którą pozwoiliem sobie przekazać już Waszemu Majestatowi,



„Flora”, Tycjan, 1515–1517

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ukazana była od przodu. Z tej racji postanowiłem wprowadzić do nowej poezii nieco urozmaicenia i przedstawić tylną część ciała, co – jak sądzę – przyczyni się do upiększenia wnętrza, w którym ma zawisnąć”. Miał na myśli obraz „Wenus i Adonis”. Naga bogini, uwieszona na kochanku, próbuje powstrzymać go przed wyprawą na łowy, z których – jak wiedzą czytelnicy Owidiusza – żywy nie wróci. Filip był zadowolony, podobnie jak inni kolekcjonerzy erotomani, gdyż dzieło multiplikowano. Dziś istnieje ok. 30 wersji, w większości wykonanych w pracowni Vecellia.

Jeszcze głębszym ukłonem w stronę XVI-wiecznych podglądaczy jest płótno „Diana i Callisto”. Malarz przyłapał boginię łowów i jej dwórki w trakcie kąpieli. W tej samej sali możemy podziwiać namiętny pocałunek Marsa i Wenus – była to nowość w sztuce europejskiej. Pod koniec życia Tycjan trochę zmienił ton. Na obrazie wypożyczonym z rzymskiej Gallerii Borghese patronka zakochałych zasłania Kupidynowi oczy opaską, co można uznać za przypomnienie, że miłość jest ślepa.

POBOŻNI I ZDEPRAWOWANI

Renesansowym wzlotom sztuki towarzyszyły umysłowa anarchia i skłonność do synkretyzmu. Weneccy mistrzowie, malujący na zmianę obrazy religijne i hedonistyczne, byli dziećmi swoich czasów. Serenissima, która miała z państwem papieskim na pieńku, chętnie udzielała schronienia wolnomysłicielom pokroju Pietra Aretina. Ten przyjaciel Tycjana zasłynął jako satyryk, pornograf i autor pobożnych wierszy. Nie był to odozobniony przypadek.

Znajdujący się na terytorium Republiki Świętego Marka uniwersytet w Padwie w XVI w. stał się rozsądnikiem negującym chrześcijańskie dogmaty doktryny materialistycznej, wywiedzionej z pism antycznych i arabskich komentatorów Arystotelesa. Włoska elita gustowała raczej w neoplatonizmie. Jak twierdził florencki hellenista Ficino Marsilio, poszukując miłości, ludzie zbliżają się do Boga, a „w pięknym ciele mieszka piękna dusza”. Co prawda, Platon miał na myśli efebów, a Marsilio był człowiekiem uduchowionym, ale wielu potraktowało jego nauki dosłownie.

Humanisci wywyższyli kobietę, jednak sławili również instytucję małżeństwa, zaniedbaną przez średniowiecznych teologów. Erazm z Rotterdamu nie bez kozery twierdził, że myśliciele z Italii są w głębi duszy poganami. Machiavelli przyznawał: „Tak, my, Włosi, jesteśmy głęboko bezbożni i zdeprawowani”. Sobór trydencki chciał to zmienić, ale osiągnął tyle, że wychował armię hipokrytów.

Wenecja w czasach Tycjana była światowym centrum drukarstwa. Na wystawie znalazły się książki, które malarzom Cinquecenta służyły jako źródło natchnienia, tudzież portrety ich autorów. Sonety Petrarke, dzieło Boccaccia „O sławnych niewiastach”, „Dworzanin” Baltazara Castiglione’ego były w kręgach elit lekturą obowiązkową. Traktat o miłości popełnił również wenecki poeta Pietro Bembo, który później został kardynałem i bezskutecznie namawiał Vecellia na przeprowadzkę do Rzymu.

W OBCEGACH PATRIARCHATU

Debata o równości płci podzieliła włoskich humanistów. Florencki filozof Benedetto Varchi twierdził, że pod względem umysłowym kobiety nie dorównują mężczyznom. Sperone Speroni, uczony z Padwy, domagał się uznania godności płci pięknej i piętnował prostytucję. Tycjan sportretował obu panów. W epoce renesansu istniał tylko jeden kraj, w którym dziewczynki mogły się kształcić tak samo jak chłopcy. Nazywał się Utopia i wymyślił go Tomasz Morus. W prawdziwym świecie dostęp do kultury mogły mieć (choć nie musiały) córki profesorów i szlachcianki.

Damy z książęcych i hrabiowskich rodów, jeśli mężowie im na to pozwalali, animowały życie dworskie i salonowe, dyskutowały o literaturze, sztuce



„Danae”, 1553–1554, Ermitaż, Sankt Petersburg

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

■ i polityce. W Wenecji kobiety cieszyły się nieco większą swobodą niż w innych włoskich państwach. Intelktualistki, kurtyzany i poetessy mogły nawet liczyć na udane życie bez ślubu.

Isotta Nogarola, nazywana pierwszą humanistką, ślubowała celibat, by zadać kłam panującej w owych czasach opinii, że „kobieta elokwentna nigdy nie jest cnotliwa”. Cassandra Fedele koresponowała z wielkimi tego świata i wygłaszała przemówienia po łacinie (między innymi na cześć polskiej królowej Bony), jednak po ślubie wycofała się z życia publicznego. Gaspara Stampa, córka bogatego kupca z Padwy, pisała miłosne wiersze, które po wiekach bardzo spodobały się Wisławie Szymborskiej. Lucrezia Marinella w polemicznym zapale popełniła pamflet pod wszystko mówiącym tytułem: „Szlachetność i doskonałość kobiet oraz słabości i przywary mężczyzn”.

Za pióro chwyciły również niektóre damy do towarzystwa. Tullia d'Aragona, nieślubna córka kardynała, którą w Rzymie z racji urody i rozumu otaczały tłumy wielbicieli, nad Adriatykiem zabawiła krótko. Konkurencja okazała się zbyt silna. Gdy Henryk Walezy po ucieczce z Polski odwiedził Wenecję, w gronie witających go oficjeli znalazła się poetka i metresa Veronica Franco. Ofiarowała królowi dwa sonety. Z przewodnika po wystawie można się dowiedzieć, że była również „obrończynią praw kobiet”. Wymienione panie szybko popadły w zapomnienie, z którego wydobył je popyt na protofeminizm. Lista kombatantek, stawiających opór patriarchalnej opresji w epoce przednowoczesnej, wciąż się

wydłuża. Umarły już dawno, więc nie mogą zaprotestować.

SERCE W KSZTAŁTNEJ PIERSI

Wiedeńska ekspozycja zaczyna się od wizerunków pramatki Ewy i Marii z Nazaretu. Kusicielka i najświętsza z kobiet – między tymi biegunami rozpięta była wyobraźnia malarzy i ich mecenasów. Boginie i męczennice z twarzami weneckich pań znajdują się pośrodku skali. Eksperci mają kłopoty z interpretacją dzieł Tycjana. Tytuły są mylące, zwykle nadali je późniejsi właściciele. Po pięciu wiekach trudno orzec, co przedstawiają: alegorie cnót niewieścich czy kobiety z krwi i kości?

W latach 30. XVI w. Vecellio wykonał serię portretów pań odsłaniających piersi. Możliwe, że ów gest błędnie uznano za nieskromny. Pojawiła się bowiem hipoteza, że piękne dziewczęta tak naprawdę otwierają serca przed swymi narzeczonymi lub małżonkami. „Florę” z florenckiej galerii Uffizi artysta przedstawił z czułością, która wzbudziła podejrzenia wielu historyków sztuki. Ta sama modelka pozowała do płótna, które reklamuje wiedeńską wystawę. „Młoda kobieta podczas toalety” (na co dzień przebywająca w Luwrze) przegląda się w dwóch lustrach, trzymany przez wychylającego się z cienia mężczyznę. Alegoria próżności? Komentatorzy gubią się w domysłach. Pięć lat później Tycjan stworzył „Vanitas”, tym razem zwierciadło zwrócone jest w stronę widza, zachęcając go do refleksji nad własnym życiem. Na starość autor poczynił znaczące uzupełnienia: domalował biżuterię

i złote monety, a dziewczynie włożył w dłoń zgaszoną świecę.

Jakie by były intencje artysty, belle donne odsłaniające fragmenty ciała mają więcej kusicielskiego wdzięku niż golusienki Wenus i Diana razem wzięte. Dawni mistrzowie dobrze o tym wiedzieli, przykładem są obrazy nauczyciela Tycjana, Giovanniego Belliniego, Palmy starszego czy Giorgiona („Laura” ze zbiorów KHM to jedyne dzieło, które raczył podpisać i datować). Podobną rolę odgrywały kunsztowne fryzury, naszyjniki z pereł, inkrustowane szlachetnymi kamieniami medaliony, bransolety i kamee. „Lukrecja” Veronesa i „Zuzanna w kąpiel” Tintoretta to istne reklamy weneckiej sztuki jubilerskiej. Pereły symbolizują niewinność, bransolety – posłuszeństwo Bogu i mężowi. Nie ma to jak dobre alibi.

MIŁOŚĆ, ŚMIERĆ I REALIZM

Czasem jednak rozbuchana wyobraźnia płata figle. Oglądający „Kochanków” są przekonani, że Paris Bordone udokumentował renesansowy ménage à trois – lubieżną kobietę z mężem i ukrytym w cieniu kochankiem. Tymczasem „ten trzeci” jest po prostu świadkiem zawarcia małżeńskiej umowy, uwierzytelnionej cennym prezentem w postaci złotego łańcucha. Podobną transakcję (bogaty starzec obejmuje młodkę) uwiecznił Giovanni Cariani, według tradycji wzorem było dla niego zaginione płótno Tycjana.

W sali z portretami realistycznymi uwagę zwraca konterfekt markizy Izabeli d'Este. Opiekunka artystów stała nad grobem, ale chciała przejść do historii jako „prima donna del mondo”, więc Tycjan odmłodził ją o 40 lat. Bardziej prawdziwe są pulchna „La Schiavona”, czyli Słowenka, mała Clarissa Strozzi tudzież ukochana córka malarza Lavinia, wyposażona w atrybuty mające świadczyć o wysokiej społecznej pozycji Vecellich. Urodziła pięcioro dzieci i zmarła w połogu, co musiało być dla niego ciosem. Pozbierał się i nadal służył Wenus. Wychodzących z wystawy żegna obraz pt. „Triumf miłości”. Kupidyń stoi na bezradnym, zmęczonym lwie i sposobi łuk do kolejnego strzału. Nikt nie jest bezpieczny.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Tizians Frauenbild: Schönheit – Liebe – Poesie” w Kunsthistorisches Museum w Wiedniu jest czynna do 16 stycznia 2022 r., od lutego do maja będzie ją można obejrzeć w Palazzo Reale w Mediolanie.



Poniedziałek – piątek:

od 7:30 **Polska na dzień dobry**
Poranne rozmowy na dobry początek dnia

od 9:30 **Dzień z Republiką**
Konferencje na żywo, najciekawsze materiały i komentarze

od 15:20 **Republika po południu**
Ciekawi goście i burzliwe dyskusje

od 17:15 **Wolne Głosy**
Komentarze aktualnych wydarzeń

18:30 **Dzisiaj**
Główne wydanie serwisu
informacyjnego

Jeszcze więcej **informacji**
Jeszcze więcej **prawdy**
w Telewizji Republika

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, za pośrednictwem Internetu oraz drogą naziemną w systemie DVB-T (Katowice i bliska okolica), a także w systemie DVB-T2 (Warszawa, Wrocław i okolice tych miast).



„Morze spokoju” to przebój minionego grudnia FOT. MATERIAŁY PRASOWE



O serialu „Squid Game” rozmawiał cały świat FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Biedni Polacy patrzą na



Piotr Gociek

„Morze spokoju”, „Squid Game”, „Hellbound” – te serie podbiły w minionym roku Netflixa i serca światowej publiki. Czy polski show-biznes jest w stanie wyciągnąć wnioski z tych sukcesów?

Czy wyobrażają sobie państwo polski serial, którego bohaterowie – Polacy, bo ktośby inny, skoro to polski serial – budują na Księżycu ogromną bazę naukową, by prowadzić tam badania mające na celu uratowanie świata przed klimatyczną katastrofą? Jakoś nie widzę lasu rąk. A może ktoś wyobraża sobie polski serial o tym, że bogacze tego świata okrutnie igrają sobie z nadziejami biedaków na wyrwanie się z nędzy i oferują im udział w krwawych igrzyskach śmierci, gdzie do wygrania jest fortuna, lecz wszyscy – prócz zwycięzcy – zginą? A jako że jesteśmy – wciąż jeszcze – jedną z bardziej religijnych nacji świata, może spróbujemy sobie razem wyobrazić serial o tym, jak to diabły własnoręcznie

porywają z naszych ulic grzeszników – i co by to właściwie oznaczało dla naszego myślenia o Bogu, winie, nawróceniu i tak dalej?

Wszystkie te rzeczy bez trudu wyobrazi sobie – i sprzedali światu za ciężkie pieniądze – spece od rozrywki z Korei Południowej. Żeby nie utrudniać, skoncentrowałem się tylko na serwisie Netflix i tylko na premierach roku 2021. Serial „Morze spokoju” to przebój minionego grudnia – emocjonujący kawał science fiction odświeżający zgrane schematy. Może nie rewelacja, ale wstępu też nie było. O „Squid Game” kilka miesięcy temu rozmawiał cały świat.

Serial „Hellbound” może razić obciachowymi efektami specjalnymi, ale rzecz jest poważna: o tęsknocie za sprawiedliwością. „Łapiemy bandytów zasługujących na śmierć, a sądy wypuszczają ich na wolność” – mówi policjant w pierwszym odcinku „Hellbound”. Co prowadzi go do konstatacji oczywistej: skoro ludzka sprawiedliwość jest ułomna, to może dobrze, że jakaś nadnaturalna siła, Bóg czy diabeł, nieważne, skazuje złoćwinców na męki, a potem wysyła do piekła.

Hymn ku czci zaradności narodu, który cię zrodził. Zrozumiała pod każdą szerokością geograficzną opowieść o biednych i bogatych. Przejmujące wezwanie, by świat stał się sprawiedliwszy.

Czy są to wszystko jakieś szczególnie niepolskie doświadczenia? Czy to specyficznie koreańskie (południowo-koreańskie) tematy? Czy nad Wisłą nie spieramy się o biedę, wyzysk i sprawiedliwość? Pytania retoryczne. Ale dlaczego nie potrafimy opowiadać o tym w tak lekkim i zrozumiałym sposób?

Od razu wypada odrzucić argument „a bo w PRL...”. Dlaczego? Bo jeszcze w latach 80. XX w. południowokoreański show-biznes nie istniał. A PRL eksportowała w świat nagradzane filmy, firmy polonijne tłoczyły rozchwytywane winyle i byliśmy europejskim (jeśli nie światowym) liderem rewolucji VHS (każdy albo miał magnetowid, albo o nim marzył, tak czy inaczej wszyscy oglądali przegrywane z taśmą na taśmę filmy). Mieliliśmy więc lepszy punkt startu od Korei Południowej, a mimo to dziś jesteśmy daleko z tyłu. Może nie da się tego logicznie wytłumaczyć? Może ta sama siła, która porywa grzeszników w serialu „Hellbound”, w tajemniczy sposób pobłogosławiła talentem mieszkańców Seulu, a tych, którzy piszą i kręcą w Warszawie, złośliwie uczyniła cymbałami?

TRZYSTOPNIOWY SYSTEM PROMOCJI

Fenomen szybkiego rozwoju południowokoreańskiego kina objaśniałem przy okazji pisania o sukcesie filmu



Koreę

„Parasite”, w skrócie przypomnę: najpierw świadoma decyzja rządu, że show-biznes ma być dziedziną, która powinna rozsławiać Koreę. Potem inwestycje – nie przez rok czy dwa lata, ale przez dekady. Stworzenie systemu promocji młodych twórców, który działa odwrótnie do naszego. Polski PISF skupia się na kinie artystycznym, pro-pozycje cuchnące komercją traktując ze wzdrganiem. Koreańczycy specjalizują się w kinie gatunków: kryminały, thrillerze, fantastyce, horrorze. Premiują niezbyt drogie projekty, które mają trafić do szerokiej publiczności. Kiedy twórca udowodni w debiucie, że na jego film publika przysłała do kina, może liczyć na większe budżety. Trzystopniowy system promocji: osobno pieniądze na produkcję, kolejne na promocję, jeszcze następne na promocję międzynarodową.

W efekcie tej selekcji Korea reprezentowana jest na całym świecie w kinach, telewizjach, serwisach streamingowych, na płytach DVD/Blu-ray filmami, które ludzie chcą oglądać. Ludzie wszelkich innych narodowości. Polska kinematografia żyje sukcesami, które może nam podarować ewentualnie przychylne jury jakiegoś filmowego festiwalu. I w odróżnieniu od Korei nie mamy problemu z natrętnie dzwoniącymi telefonami z Hollywood (wyjątkiem jest wąska grupa znakomitych polskich operatorów).

Inwazja koreańskich seriali jest naturalną konsekwencją rozwoju biznesu kinowego. Kiedy już ma się talenty, można je wykorzystywać na różnych polach. A przyszłość rozrywki należy do zabawy seryjnej na małym ekranie.

Mam jednak dziwne przeczucie, że gdyby na polskich ulicach pojawiły się stwory z „Hellbouna” i zamiast palić żywcem naszych scenarzystów, reżyserów oraz producentów, zaczęły obsypywać ich dolarami, to jakoś niespecjalnie wpłynęłoby to na jakość polskich seriali. I nie zdominowalibyśmy w kolejnym roku Netflix. Myślę też, że przeciętny 30-letni reżyser koreański spod małego palca machnąłby taką etiudką, za jaką oceniani są absolwenci naszych filmówek, natomiast przeciętny 30-letni absolwent polskiej filmówki wyrzuciłby się natychmiast na thrillerze, kryminale czy serialu, który z mniejszym czy większym sukcesem nakręciłby koreański rówieśnik z branży.

CZEGO UCZY SIĘ NAD WISŁĄ?

Popkultura w III RP miała mocno pod górkę i dalej ma: nikt jej nigdy poważnie nie traktował, nikt w nią poważnie nie inwestował, nikt jej nie uczył. A opowieści o tym, że „jest popkultura ważnym elementem edukacji” kończą się na wydawaniu przez IPN niskonakładowych komiksów o żołnierzach wyklętych. Popularny polski komiks środka nie istnieje, bo zbyt mało odbiorców. Autorzy powieści kryminalnych, fantastycznych czy grozy, którzy podbijają polskie listy bestsellerów, są ignorowani przez dużych wydawców zagranicznych (Sapkowski to naprawdę wyjątek). Fantastyka zresztą była i jest szczególnie pogardzanym gatunkiem, a tu proszę – odpowiada za sporą część współczesnej produkcji telewizyjnej. Gdy z kolei spojrzymy na płyty, to produktami eksportowymi są przedstawiciele muzyki klasycznej, a nie wiślańskiego popu czy rocka.

Polskie salony lubią wykpiwać amerykańską popkulturę i narzekać na kulturalny kolonializm (tak zresztą dzieje się w całej Europie), podczas gdy Korea Południowa pokazuje, jak można kolonizatorowi wyrwać broń z ręki i samemu używać jej skutecznie. Robią masowo to, co w Europie udaje się pojedynczo. Bezczelni Hiszpanie mają światowy hit „Dom z papieru”, bezczelni Włosi serialową „Gomorrę”, bezczelni Niemcy machnęli ostatnio taki dokument true

crime dla Netflix, że Amerykańce się chowają.

Pieniądże, rzemiosło, talenty, edukacja, potężne wsparcie państwa – wszystko to ważna sprawa, sądzę jednak, że problem jest dużo głębszy. Dotyka polskich producentów i decydentów jakiś chory minimalizm, który sprawia, że szczytem marzeń są serial „Chyłka” albo nakręcenie polskiej adaptacji powieści Harlana Cobena. (Owszem, mamy w Netflixie „Wiedźmina”, ale to jednak produkt amerykański, który wywarzył się dzięki uporowi Tomka Bagińskiego i dzięki polskiemu biznesowi gier, bo drzwi tej ekranizacji otworzył fenomenalny sukces gier z serii „Witcher”).

Z polską popkulturą jest jak z futbolem – wielu wydaje się, że wciąż zasługujemy (ale za jakie zasługi?) na to, by być w czołówce światowych reprezentacji, tymczasem sukces odnoszą pojedyncze talenty, jeśli tylko odpowiednio szybko udało im się wyjechać do dobrego zagranicznego klubu na naukę. Pamiętajmy też o pedagogice wstydu, naczelnym narzędziu polityki kulturalnej III RP – skoro wyszydzano wszelkie próby opowiadania o polskiej historii w sposób pozytywny i wskazywania powodów do dumy, to skąd niby miałyby się wziąć ambicja opowiadania współczesnych i futurystycznych polskich historii całego świata? Skoro mamy tylko przepraszać i powtarzać, żeśmy winni, to jak możemy rozbudzić w sobie ochotę do wykrzyknienia: „Ej, słuchajcie, opowiemy wam nasze, polskie, świetne fabuły, bo Polak potrafi, bo mamy wyobraźnię i talent nie gorszy od Koreańczyka, Hiszpana czy Włocha”? Duma, beczelność, przebojowość, umiejętność używania wszystkich języków popkultury – tego nad Wisłą się nie uczy, w to się nie inwestuje.

Pytałem na początku, czy wyobrażają sobie państwo opowieść, w której Polacy podbijają Księżyc. Taką na serio, niekpiącą. Znam odpowiedź. A czy wiedzą państwo, że wyobraził ją sobie i napisał trzy dekady temu czeski pisarz Ondrej Neff? W powieść SF „Miesiące mojego życia” księżycowe kopalnie eksploatują najlepsi na świecie górnicy. To znaczy Polacy i Czesi. Cóż, najpierw jednak trzeba przyznać, że górnicy są OK (a nie „roszczeniowe pasożyty”, jak uczyła przez dekady III RP), i przyjąć założenie, że mieszkańcy naszej części Europy mogą być w czymś najlepsi. Tego też nad Wisłą po 1989 r. nie uczono. Czy już się uczy?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁ PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE



Zanim odejdę



★★★★★
REŻ. BENJAMIN CLEARY
„ŁABĘDZI ŚPIEW”
(„SWAN SONG”)
USA 2021

wyst. Mahershala Ali, Naomi Harris, Awkwafina

Cameron (Mahershala Ali) umiera. Śmierć nadejdzie szybko, lada tydzień, może lada dzień. Nie powiedział o tym żonie Poppy (Naomi Harris) – boi się, że ta wiadomość ją zdruzgotuje. Niedawno pochowała ukochanego brata. Jest w drugim miesiącu ciąży. Jest szczęśliwa. Na razie.

Za sprawą dr Scott (Glenn Close) pojawia się rozwiązanie, tyleż eleganckie, co okrutne. Jako że akcja filmu „Łabędzi śpiew” rozgrywa się w przyszłości, to i rozwiązanie może być futurystyczne. Doktor Scott przygotowuje idealną kopię Camerona, „wgra” do niej jego wspomnienia i uczucie. Rodzina żyła będzie dalej długo i szczęśliwie. Ale by plan się powiódł, potrzebna jest tajemnica: nikt nie może

wiedzieć, że do zamiany doszło, bo chodzi o to, by uczucia (i całą rodzinę) Poppy uratować przed traumą, a nie skazać na życie z kopią, na którą będzie nieustannie patrzeć podejrzliwie (w najlepszym wypadku). Cameron musi więc oszukać żonę dla jej dobra: zgodzić się na zamianę, pomóc przygotować swoje drugie ja do dalszego życia, a samemu umrzeć z dala od bliskich. I bez ich wiedzy. Aby ratować rodzinę, musi zniszczyć fundament, na którym jest zbudowana: prawdę.

Pełnometrażowy debiut Benjamin Cleary’ego (zdobywcy Oscara w kategorii Krótka Metraż za film „Jąkała”) jest filmem zachwycająco zagrany, precyzyjnie opowiedzianym i traktującym o rzeczach trudnych z wielkim taktem. Mahershala Ali daje

popis gry aktorskiej (w obydwu ekranowych wcieleniach), równie dobra jest Naomi Harris. Fabuła może robić wrażenie wyjętej z B-klasowej literatury SF – ileż już mieliśmy opowieści o klonach, kopiach, zamianach dusz. Zwykle kiepskiej jakości. Film Cleary’ego omija tanią sensacyjność i szybko staje się opowieścią o tym, jak trudno pożegnać się ze światem, i o bezgranicznym poświęceniu dla tych, których kochamy.

Emocje, które biją od bohaterów, rozświetlają zimny świat niedalekiej przyszłości, wykreowany przy użyciu minimalistycznych środków. Dzięki talentowi scenografów i operatora wierzymy bez reszty, że tak może wyglądać nasz świat, ale to dzięki scenariuszowi (napisał go sam Cleary) i znakomitej grze aktorskiej możemy uwierzyć, że realny może być ten niemożliwy wybór. Kto już zamknął swoją prywatną listę „top 10” premier ubiegłego roku, ten powinien czym prędzej obejrzeć „Łabędzi śpiew” i zrewidować poprzednie ustalenia. ©©



NOWE SERIALE: „NA MIEJSCU ZBRODNI: MORDERCA Z TIMES SQUARE”

Opowieść true crime w reżyserii twórcy m.in. filmu „Podły, okrutny i zły” o Tedzie Bundym (oraz wstrząsającego serialu dokumentalnego o tym przestępcy). Przełom lat 70. i 80. XX w. – wśród tłumów nurzających się w grzechu na Times Square krąży sadyistyczny zabójca. Krwawa kariera Richarda Cottinghama trwała wiele lat, a li-

sta jego ofiar siega niemal setki. Miniserial na jego temat jest bardziej dokumentem o mrocznym sercu Nowego Jorku tamtych czasów niż historią polowania na sprawcę. Kilka wątków zaskakuje. ©© **Piotr Gociek**

• **reż. Joe Berlinger**, „Na miejscu zbrodni: Morderca z Times Square” („Crime Scene: The Times Square Killer”), USA 2021

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- **reż. Giuseppe Capotondi**, „Obraz pożądania” („The Burnt Orange Heresy”), Wielka Brytania/Włochy 2019 **CANAL+**
- **sezon 5 „Gomorra”** („Gomorra: La serie”), Włochy 2021 **NOVA**
- **reż. Roy Andersson**, „O nieskończoności” („Om det oändliga”), Szwecja 2019 **CINEMAX**

Słodko-gorzka Kalifornia

KINO

Paul Thomas Anderson jest lepszy, kiedy się nie nadyma. Po serii filmów ciężkostrawnych zaaplikował strapiionym rodakom zastrzyk z eskapizmu. Każdy Amerykanin wie, że lepiej już było, spór dotyczy jedynie datowania złotej epoki. W „Licorice Pizza” przypada ona na końcówkę prezydentury Nixona. USA rosły w siłę, ludziom żyło się dostatniej, a młodzi, mimo kryzysu naftowego, z nadzieją patrzyli w przyszłość. Anderson nie jest aż tak stary, by to pamiętać, ale San Fernando Valley zna jak własną kieszeń. Fabuła uroczo meandruje, wielkiej polityki unika. Obyczajową rewolucję bardziej widać w gazetach niż w zachowaniu głównych bohaterów zawieszonych między miłością



★★★★★
REŻ. PAUL THOMAS ANDERSON
„LICORICE PIZZA”
USA 2021

wyst. Cooper Hoffman, Alana Haim, Bradley Cooper

i przyjaźnią. Piętnastoletni Gary emanuje pewnością siebie, jednak z dorosłą (?) Alaną wiąże go raczej komunizm niż ciąża. Chłopak ani chybi ma polskie korzenie. Aktorstwo, dystrybucja łóżek wodnych, flippery – żaden biznes mu niestraszny. Czy Cooper Hoffman przewyższy ojca, to się jeszcze okaże, ale zaczął bardzo dobrze. Ze starszaków bosko wypadł Sean Penn jako hollywoodzki gwiazdor alkoholik („Nie pytaj mnie o Kuala Lumpur”). Jeśli Anderson, tylekroć przymierzany do Oscara, dostanie go za „Pizzę z lukrecją”, to będzie to ironia losu, ale i cenna wskazówka dla wszystkich twórców z uporem próbujących tworzyć dzieła wiekopomne.

© ©

Wiesław Chelminiak



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

IDOL Z PRZEDMIĘCIA

arte



★★★★★
REŻ. CYRIL LEUTHY
„PARYSKIE SPOTKANIE Z MAURICE’EM CHEVALIEREM”
 („RENDEZ-VOUS AVEC MAURICE CHEVALIER”)
FRANCJA 2021

Garnitur i słomkowy kapelusz noszony na bakier – kto to jeszcze pamięta? Maurice Chevalier umarł zaledwie 50 lat temu, jednak wydaje się postacią z zamierzchłej epoki. Błyszczał, gdy rozrywka kojarzyła się z jazzem, variétés i musicaliem. Urodził się w odpowiednim czasie i miejscu. Paryż był światową stolicą lekkiej muzy, restauratorzy zaś tolerowali występy błaznujących smarkaczy. Maurice, rówieśnik wieży Eiffli, stał się – jak ona – symbolem Miasta Światła. Ba, całej Francji, która po horrorze wielkiej wojny chciała się bawić. Podbił Broadway i Hollywood, ograżając stereotyp czarusa znad Sekwany. O załamaniach i samobójczych próbach idola nikt nie wiedział. Chevalier popełniał błędy: tańczył i śpiewał dla niemieckich okupantów, żyrował komunistyczną walkę o pokój, lecz dla autorów dokumentu jest przede wszystkim uosobieniem minionej wielkości francuskiej kultury. I za to go kochają.

BECZENIE OWIEC

KINO



★★★★★
REŻ. VALDIMAR JÓHANSSON
„LAMB”
 („DÝRÐ”)
ISLANDIA/
SZWECJA/POLSKA
2021

wyst. Noomi Rapace, Hilmar Snær Guðnason, Björn Hlynur Haraldsson

Wyspa ognia i lodu zalicza kwadrans sławy, choć pomysły na jego przedłużenie chyba się kończą, skoro po „Baranach” Islandczycy nakreśli „Owce”. Film Valdimara Jóhannssona to dość typowa nordycka psychodrama, dla niepoznaki przyodziana w szatki ekohorroru. Pakiet zawiera piękne okoliczności przyrody, fermę na odludziu, ekscentrycznych i mało wylewnych bohaterów oraz wielką mgłę. Zanim obraz się wyklaruje, mija dużo czasu, co dla niecierpliwych może się okazać wyzwaniem ponad siły. Maria i Ingvar traktują jagnię mutantą jak własne dziecko. Sielankę zakłócają dobiegające zza kadru groźne pomruki tudzież wizyta brata marnotrawnego. Scenarzystów nurtuje problem odwieczny: Czy człowiek może żyć w zgodzie z naturą? Jasne, że nie. Drodzy wypisarzy, zamiast wymyślać nowe bajki, zajrzyjcie do archiwów. Może w nich znajdzie się historia godna aktorskiego talentu Noomi Rapace. © © Wiesław Chelminiak

GRA TYGODNIA: „MARTIAL LAW”

Indyk wart zauważenia, bo całkiem przyjemny, bo klimatyczny, bo polski. Przygodówka „Stan wojenny” przenosi nas w ponurą rzeczywistość końcówki 1981 r. W całym bałaganie tego mroźnego grudnia nasz bohater próbuje rozwiązać problem najwyższej wagi – poukładać relacje z córką.

Prosta to produkcja, z prostą grafiką i mechaniką i nie ma sensu zestawiać jej z jakimkolwiek komercyjnym tytułem. Ale ta nieskomplikowana przygodówka, stworzona przez niezależne studio FIXER podczas Game Jam PolskiGameDev.pl, ma coś w sobie. Coś, co być może docenią



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

głównie Polacy, ale coś, co sprawia, że warto jej spróbować. Tym bardziej że jest zupełnie darmowa. © ©

Radosław Wojtas

- Gatunek: Przygodowa
- Platforma: PC, XONE
- Producent, wydawca: FIXER

MOJA PÓŁKA

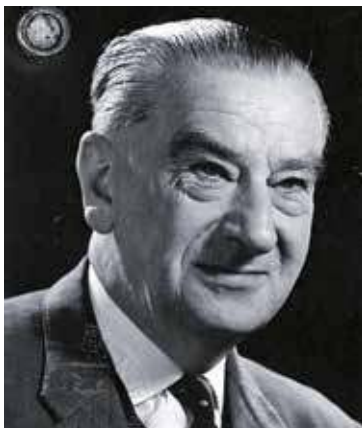
Józef Mackiewicz i faryzeusze

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

Przez długie lata Józef Mackiewicz dość powszechnie uchodził wprawdzie za pierwszorzędного powieściopisarza, ale kiepskiego publicystę: stawiającego fałszywe oceny, krzywdzącego ludzi i instytucje, w swej antykomunistycznej pasji przekraczającego wszelkie dopuszczalne granice. Za szczególnie niesprawiedliwe uznawano jego książki „W cieniu krzyża” i „Watykan w cieniu czerwonej gwiazdy” z lat 70., w krytycznym świetle ukazujące Kościół katolicki, w kontekście posoborowych zmian dokonujących się w nim i, jak zwykle kluczowego dla autora „Zwycięstwa prowokacji”, stosunku do ideologii marksistowskiej.

A dokonywała się wtedy ekspansja tzw. teologii wyzwolenia! Józef Mackiewicz z powodzi informacji nadchodzących wówczas z Ameryki Południowej wyławiał takie „kwiatki”, jak np. nabożeństwo odprawiane w Chile w rocznicę urodzin Lenina, nazywanego – w Kościele! – „ideałem prawie nieosiągalnym... który otworzył drogę ludziom pracy całego świata”. W tym samym kraju, gdy do władzy doszedł marksista Salvador Allende, mszę dziękczynną – czytamy we „W cieniu krzyża” – odprawił kardynał arcybiskup Santiago, przekazując „wybranemu na prezydenta komuniście – gratulacje papieża Pawła VI”.

Nie mógł to być Kościół człowieka, który w „Zwycięstwie prowokacji” wyraźnie deklarował: „Jest niewątpliwie jeden tylko szczerzy stosunek do Boga. Głęboka wiara w to, że cokolwiek się robi i myśli, Bóg przenika myśli i prawdziwe intencje czynów człowieka. Człowiek, który zatracą poczucie tej wszechobecnej Wiedzy, czy to w życiu prywatnym, czy publicznym, zasłaniając się Imieniem Boga dla maskowanych w ten sposób celów prywatnych czy po-



FOT. ZE ZBIORÓW MUZEUM POLSKIEGO WRAPERSWILU

litycznych, nosi miano faryzeusza. Zaś jednym z ostatecznych celów komunizmu jest zniszczenie na ziemi wszelkiej wiary w Boga”.

I o takim właśnie Józefie Mackiewicz czytamy w wydanej właśnie w serii „Literatura i Pamięć” książce prof. Kazimierza Maciąga „Sam jeden. Józef Mackiewicz – pisarz i publicysta”, już w samym tytule akcentującej osobność tego największego polskiego pisarza zeszłego wieku, od którego urodzin minie za cztery miesiące sto lat. Autora nie tylko znakomitych powieści z „Drogą donikąd” na czele, lecz także odważnej publicystyki z głęboką troską reagującej na cywilizacyjne zmiany dokonujące się w Europie i w świecie. Na rzekomy postęp, w swojej konsekwencji niszczący życie społeczne, podważający zasady moralne, uderzający w tradycję, w religię naturalnie także.

Skupiam się na tym, co autor „W cieniu krzyża” pisał o Kościele, nieprzypadkowo. Jak na dłoni widzimy bowiem dzisiaj, do czego doprowadziły zmiany w nim zachodzące, mniej więcej, od lat 60. zeszłego wieku. Wtedy też – jak pisała Maria Zadzanka – pojawiły się „opracowania, manifesty, oświadczenia opisujące katastrofalne położenie Kościoła i przyczyny tego stanu. Zdarzało

się także, że wyrażano podejrzenia, iż Kościół obecny przestał być Świętym Kościołem Powszechnym. Wszystkie te objawy są albo ignorowane, albo niejednokrotnie nawet bardzo ostro zwalczane. Mackiewicz w swej relacji zdaje się przypisywać dużo racji tym krytycznym głosom”.

Bardzo to delikatnie zostało powiedziane, ale słowa te padły jeszcze za życia autora „Watykanu w cieniu czerwonej gwiazdy” (zmarł w roku 1985). Wraz z upływem lat zmienia się jednak, na szczęście, postrzeganie publicystyki Józefa Mackiewicza. Zmiany te rejestruje prof. Maciąg, cytując choćby Romana Graczyka, „który trafnie puentując tezy Mackiewicza, dochodzi do wniosku, że dla pisarza szukanie modus vivendi z komunizmem było »obrazą rozumu i przyzwitości«, natomiast stanowisko uznające, że wprawdzie »komunizm jest wrogiem Kościoła, ale Kościół nie ma wrogów«, było dla Mackiewicza »boleśnie głębokim zawodem. Był on tą sytuacją moralnie porażony«. W rezultacie Graczyk dopatruje się w postawie pisarza głębokiej i przemyślanej troski o Kościół: »Jeśli więc tak wielki kładł nacisk na to, że Kościół soborowy powinien nazwać zło komunizmu – złem, to w efekcie chodziło mu o ocalenie co najmniej autorytetu moralnego Kościoła. A bez tego autorytetu, jak wiemy, głoszenie orędzia o zbawieniu staje się problematyczne«”.

W zawieraniu niedopuszczalnych kompromisów od tamtej pory Kościół przebył długą drogę, co doprowadziło go do takiego miejsca, które obecnie zajmuje. W Polsce widzimy to prawdopodobnie wyraźniej niż gdzie indziej. A Józef Mackiewicz to przewidział i przed tym ostrzegał. Także i pod tym względem był prekursorem. ©



★★★★★

KAZIMIERZ
MACIĄG
„SAM JEDEN.
JÓZEF
MACKIEWICZ
– PISARZ
I PUBLICYSTA”
IPN & FUNDACJA
ROZWOJU
SYSTEMU
EDUKACJI,
WARSZAWA 2021



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Siła sprawcza

W oficjalnych komunikatach pożegnano go z błędem, bo informując, że był Mirosław Kowalski odkrywcą Sapkowskiego. Było inaczej: Sapkowskiego odkrył miesięcznik „Fantastyka”, promował go Maciej Parowski, pierwszą książkę Sapka – zbiór „Wiedźmin” – wydało wydawnictwo Reporter w 1990 r. Ale prawdą jest, że dopiero SuperNowa kierowana przez Kowalskiego – czyli nowe wcielenie podziemnej, legendarnej NOW-ej – podeszła do zadania z odpowiednim rozmachem i cierpliwością. I od „Mieczy przeznaczenia” w 1992 r. do dziś jest jedynym polskim wydawcą Sapkowskiego.

W latach 70. w „Politechniku” pisał świetne felietony, równie dobre jak te Janusza Głowackiego, więc wszyscy żałowali, kiedy przestał. Równolegle wiódł drugie życie – już w 1979 r. współpracował z drugoobiegową Niezależną Oficyną Wydawniczą. W połowie lat 80. wszedł do jej kolegium redakcyjnego. To była firma legendarna – pamiętam podziemne kasety magnetofonowe Kaczmarzskiego wydawane przez

NOW-ą, pamiętam zakazane powieści Milana Kundery i wielu innych autorów.

Po stanie wojennym Kowalski wyciął komunistom numer nieziemski.

Pracował oficjalnie w Iskrach jako redaktor. Nikogo więc nie dziwiło, że ciągle przychodzą do niego pisarze i tłumacze. Tymczasem oni tam, naprzeciw Domu Partii, układali plany wydawnicze ściganej zaciekle przez SB NOW-ej. Nie znaczy to, że praca przykrywkowa Kowalskiego była błaha, bo promował polską fantastykę jak mógł. W III RP wykorzystał szansę, którą była popularność Sapkowskiego, by w tej samej szacie graficznej publikować fantastyczne powieści Rafała A. Ziemkiewicza. Drukował książki Marka Oramusa, Anny Brzezińskiej, Tomasza Kołodziejczaka, Marka Huberatha, u niego po raz pierwszy pojawiły się „Czarne oceany” i „Xavras Wyżryn” Jacka Dukaja.

„Najmłodszy z nas, z twarzą dziecka zamaskowaną przez brodę – pisał o nim Maciej Parowski – okazał się najbardziej czytany i wyrobiony”. Mówili o sobie „klika z Politechnika” – Oramus, Kowalski, Parowski i inni, którzy zetknęli się w tym tygodniku pół wieku temu i przez kolejne dekady odmieniali polską fantastykę. Nim nadeszła pandemia, spotykali się raz w miesiącu w kawiarni „Parana”, by przy piwie pogadać o życiu i książkach. Nie ma już tej knajpy. Kliki już prawie też. W 2019 r. odszedł Maciek Parowski. 2 stycznia 2022 r. zmarł Mirosław Kowalski. Miał 67 lat. ©©



FOT. KLAP/WIKIPEDIA

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

O ekranowych wampirach z demoludów, polskim kinie SF, enerdownskich westernach, putinowskim kinie historycznym, sporcie w produkcjach europejskich – interesujący zbiór esejów pod redakcją Piotra Kletowskiego.



AUTORZY RÓŻNI „EUROPEJSKIE KINO GATUNKÓW” WYDAWNICTWO UJ

Kontynuacja rozważań z książki „Wyjście awaryjne” o kierunkach naszej modernizacji. W dziele o podtytule „250 lat polskiej gry z nowoczesnością” Matyja jako największe wyzwanie wskazuje polską peryferyjność.



RAFAŁ MATYJA „MIEJSKI GRUNT” WYDAWNICTWO KARAKTER

Matka Natashy zginęła zastrzelona we własnym domu. Jak do tego doszło, skoro urzędnicy i policja wiedzieli o zagrożeniu? Na ile sama jestem winna – zadaje straszne pytanie osierocona autorka. Ból nie mija, literatura pomaga.



NATASHA TRETHEWEY „MEMORIAL DRIVE. WSPOMNIENIA CÓRKI” WYDAWNICTWO CYRANKA

Długo wyczekiwane wznowienie wyboru wierszy twórcy „Zapisków starego świntucha”. Tom zawiera utwory z lat 1955–1973. W nowej edycji dzieł ukazał się ostatnio także zbiór opowiadań „Kłopoty to męska specjalność”. ©©

poleca Piotr Gociek



CHARLES BUKOWSKI „PŁONĄC W WODZIE, TONĄC W OGNIU” NOIR SUR BLANC

KOMIKS TYGODNIA:

„SZARY” – ANTONI HEDA

Szósty zeszyt z serii biograficzno-historycznych komiksów przypominających postacie najważniejszych żołnierzy antykomunistycznego podziemia niepodległościowego. Heda dowodził m.in. słynną akcją rozbicia komunistycznego więzienia w Kielcach. W serii „Wilcze tropy” (wydawanej od roku 2011) ukazały się wcześniej zeszyty m.in. o takich bohaterach jak Hieronim Dekutowski



SŁAWOMIR ZAJĄCZKOWSKI, KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI „WILCZE TROPY. SZARY” – ANTONI HEDA IPN 2021

ps. Zapora, Zygmunt Błażejewicz ps. Zygmunt czy Zdzisław Badocha ps. Żelazny. Komiksowe biografie powstają w konsultacji z historykami Instytutu Pamięi Narodowej, zawierają także wkładki historyczne. ©©

poleca Piotr Gociek



Marimbowa delikatność

FOT. DALBERGIA DUO

Anna Rutkowska, marimbistka i perkusistka, absolwentka Akademii Muzycznej w Krakowie, która stopień doktora tejże akademii uzyskała dzięki rozprawie pod niewiele zwykłym śmiertelnikom mówiącym i egzotycznie brzmiącym tytułem: „Wpływ kultury, tradycji i sztuki Japonii na współczesną literaturę marimbową kompozytorów japońskich Keiko Abe, Minoru Miki oraz Akira Miyoshi”.
Oraz Julianna Kamila

Siedler-Smuga, perkusistka, marimbanistka, kotlistka, performerka, improwizator, która tytuł doktora sztuk muzycznych zdobyła, pracując pod kierunkiem prof. Grzegorza Jurczyka. Te dwie panie doktor stoją za działającym od 2017 r. marimbowo-perkusyjnym duetem Dalbergia Duo.

Duet nie boi się eksperymentów. Wykonuje kompozycje o różnorodnych stylach, różnych gatunków

muzycznych. Są to i kompozycje marimbowej muzyki klasycznej oraz współczesnej, i aranżacje utworów pisanych na inne instrumenty, a wśród nich dzieła mistrzów takich jak Karol Szymanowski czy Ignacy Jan Paderewski. Taką mieszanką utworów pisanych specjalnie dla marimbowego duetu i utworów na marimbowy duet aranżowanych jest jedyna jak dotąd płyta Dalbergia Duo – „Korzenie”.

„Do tej pory Dalbergia Duo miało szansę występować na wielu znaczących międzynarodowych festiwalach muzycznych, m.in. Poznańska Wiosna Muzyczna (Polska), Agora Actual Percussio (Hiszpania), Doctors in Performance (Litwa) – podsumowują swoje dokonania. – W 2019 r. Dalbergia Duo zdobyło II nagrodę na Międzynarodowym Konkursie Muzyki Internetowej IMKA w Sarajewie (Bośnia i Hercegowina) w kategorii Muzyka Kameralna, w kwietniu 2018 r. artystki zostały laureatami I nagrody na International Master Competition for Music Teachers oraz uzyskały rekomendację Fundacji Muzyki Polskiej za wyróżniającą się interpretację dzieł polskich. W grudniu 2018 r. duet zdobył II nagrodę na International North Music Competition w Szwecji (Sztokholm) – w kategorii kameralistyk”. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Amerykanka w Londynie

Jeden z najlepszych debiutów rockowych w ogóle. Amerykański magazyn „Rolling Stone” umieścił „Pretenders” na 20. miejscu wśród najlepszych płyt lat 80.

Amerykanka Chrissie Hynde w 1973 r., w wieku 22 lat, przeniosła się do Londynu. Szybko stała się częścią rodzącej się sceny punkowej. Mimo wielu prób nie zagrzała na dłużej miejsca w żadnym zespole, więc założyła The Pretenders. Debiutancki album grupy, wydany 7 stycznia 1980 r., przyjęto jako sensację i błyskawicznie dotarł na szczyt brytyjskiej listy. Łączył w znakomity sposób punkową energię z popowymi melodiami i rockową tradycją. Na pierwszym

singlu znalazła się świetna przeróbka „Stop Your Sobbing” The Kinks. Jednocześnie Chrissie Hynde dała się poznać jako silna i wyraziście kobieca autorka piosenek, a płyta przyniosła kilka jej własnych klasyków („Precious”, „Brass in the Pocket”, „Kid”). Grace Jones odniosła sukces na listach z przeróbką piosenki „Private Life”.

Ponad 40 lat po premierze album brzmi równie znakomicie. Jego najnowsze, zremiksowane przez oryginalnego producenta Chrisa Thomasa wydanie zawiera dodatkowe dwie płyty, na których znajdziemy utwory singlowe, nagrania demo oraz sesje dla Radia BBC, a także zapis koncertów z Londynu i Bostonu. ©©



★★★★★
PRETENDERS
„PRETENDERS”
RHINO



★★★★★
JACEK BEDNAREK
„INDEX”
GAD

Muzyka do filmowego „półkownika”

Janusza Kijowskiego z 1977 r. Napisał ją jazzman znany z duetu Bednarek-Zgraja. Słuchamy porywających dialogów między kontrabasem i rockowo grającym klawesynem. Czasem dołączają spreparowany fortepian i perkusja. Film zmuszał, a muzyka wręcz przeciwnie.



★★★★★
ANDRZEJ KORZYŃSKI
„NIE MA MOCNYCH”
GAD

Ścieżka dźwiękowa z drugiej części zmagani Pawlaków z Kargulami. Korzyński zastąpił Kilara (autora muzyki do „Samych swoich”) i postawił na „jasne” smyczki, melodyjne nuty i elektryczne piano Fendera w roli instrumentu wiodącego. Po prostu uśmiech w uszach. ©©

Przedsionek



FOT. MONIKA STOLARSKA

Rok 2021 był w polskim teatrze także rokiem Antona Czechowa – grają go w Sosnowcu, Krakowie, Rzeszowie, Warszawie, we Wrocławiu, w Poznaniu. Czyżby ten sprawdzony klasyk, pozornie melancholijny, a w istocie drapieżny, najlepiej posłużył do odreagowania powszechnego lęku? Tak twierdzi co druga recenzja tego świeżego urobku. W dodatku każdy teatr próbuje na wypródkę przekonywać, jaki to Czechow współczesny, że przewidział nas wszystkich i nasze problemy, że wyraża je lepiej od Netflixa... A przynajmniej prawie tak samo dobrze...



Grzegorz Kondrasiuk

Twórcy spektaklu „3Siostry” nie próbowali niczego udowadniać, po prostu wyruszyli za pomocą wątków i kwestii z „Trzech sióstr” w daleką podróż

domu starców, schronisku, ale – szybko się to wyjaśnia – również w wewnętrznej przestrzeni wspomnień. Oglądamy dziewiątkę bohaterów, których życie już się wydarzyło, teraz dogasa. To klucz do zrozumienia tej inscenizacji: postaci na scenie tylko pozornie są ze sobą, zestawione, stłoczone, toczą rozmowy i reagują na siebie. W istocie każdy przebywa w samotności, sam na sam z własnym wspomnieniem, a wspomnienia te są przede wszystkim echem niezrealizowanych marzeń. Stąd dominujące na scenie ogromne lustro-ściana, to ono jest tu ostateczną instancją, niemożliwą do przezwyciężenia. Brzmi to wszystko w dość oczywisty sposób, ale hipnotyczna siła tego przedstawienia polega na wizyjności i jej bezpośrednim oddziaływaniu. Na pomyśle, dopracowaniu i konsekwencji w realizacji, no i na hipnotyzującym skupieniu, w którym jest odgrywany.

Jest to dzieło mediumiczne i zespołowe najwyższej klasy

(Jacek Beler, Oksana Czerkaszyńska, Zygmunt Józefczak, Natalia Kalita, Rafał Maćkowiak, Maria Maj, Jacek Romanowski, Małgorzata Zawadzka, Mirosław Zbrojewicz). Reżyser Perceval i scenograf Philip Bussmann wykreowali specyficzną przestrzeń-instalację, która nadaje terminowi „scenografia” nowy wymiar. To wibrująca przestrzeń, żyjąca własnym życiem: wielkie pulsujące lustro reagujące na głosy, dźwięki, gesty. To w przestrzeń za nim zmierzają korowody, które wysysa ciemność. To do niego się mówi, nie do partnerów. Zresztą dialogi i monologi nie mają założenia komunikacji, są jak walka z czasem, z pamięcią, z niewiarą, że to, co przeszłe, w ogóle się zdarzyło.

W tak zaprojektowanym świecie nie rażą dosadny język, dopiski do Czechowa, szyderstwa z postaci i rekwizytów. Ów Bobik, pojawiający się w oryginale niemowlak, znak czystego, jeszcze nieskażonego życia, tu może być tylko pluszowym psem, halucynacją wyłaniającą

się ze strzępów pamięci. Bo w tym przedsionku swobodnie sobie z ludźmi poczynają tylko Eros i Tanatos, nie będzie niczego więcej, to jest świat całkowicie wytrawiony z transcendencji, gdzie perspektywę wyznaczają larwy kłębiące się w ziemi, wyświetlane w pewnym momencie na wielkoformatowej wizualizacji. Świat ludzi zredukowanych do ciała – pokazanego ekshibicjonistycznie i bez litości, ogołconego ze wstydu, trawionego instynktem seksualnym i strachem przed śmiercią. Do samego końca Wierszynin (Jacek Beler) jest ośrodkiem organizującym większość działań, prowokuje tumulty, wyzwała jakieś niejasne impulsy, nieumotywowane niczym poza pożądaniem. I to jego kwestia („Chyba naprawdę muszę już iść”) kończy ten seans, sprawia, że z tych mediumicznych twórców ulatują resztki życia. Dawno nie widziałem tak mocnej, wyprawowanej uczciwie z tekstu, ani nieudającej wierności autorowi, ani bezmyślnie uwspółcześnionej realizacji Becketta. A nie, przepraszam, to był jednak Czechow. © ©

„3SIOSTRY” WEDŁUG „TRZECZ SIOSTR” ANTONA CZECHOWA
TR WARSZAWA, NARODOWY STARY
TEATR W KRAKOWIE
REŻYSERIA: LUK PERCEVAL
PREMIERA: 20 CZERWCA 2021 R.



Z lek. med. Jerzym Milewskim,
specjalistą chorób wewnętrznych
oraz rynku farmaceutycznego
rozmawia Paweł Zdziarski

Najwyższy czas się obudzić

PAWEŁ ZDZIARSKI: W dobowych raportach Ministerstwo Zdrowia podaje liczby zgonów powiązanych z COVID-19. Dlaczego są one tak duże?

LEK. MED. JERZY MILEWSKI: Od samego początku mamy do czynienia z sytuacją, w której nie wiemy, ile tak naprawdę osób choruje i umiera na COVID-19. Niestety, Ministerstwo Zdrowia, GIS czy PZH nie zadbały o to, żebyśmy dysponowali rzetelnymi danymi, które pozwoliłyby nam lepiej rozumieć tę sytuację.

Skąd w takim razie bierze je Ministerstwo Zdrowia?

Resort zdrowia utworzył rejestr pacjentów z COVID-19, ale – nie wiadomo dlaczego – jest on tajny. W związku z tym w debacie publicznej mamy duże trudności z dostępem do konkretnych danych. W jakiejś części ministerstwo odpowiada na zadane pytania, ale w innych kwestiach unika odpowiedzi.

Kto zadawał te pytania? Rozumiem, że źródła są zweryfikowane.

To były pytania zadawane przez organizacje medyczne i zwykłych obywateli. Mam kopie ich korespondencji z ministerstwem

i zaświadczam, że dane, które będziemy omawiać, pochodzą z ministerstwa i GUS.

Jak konkretnie Ministerstwo Zdrowia argumentuje to utajnienie danych?

Wykręca się tym, że rejestr pacjentów covidowych jest rejestrem medycznym, a zatem tajnym. Powołuje się również na wyroki sądów, które utrudniają dostęp do danych przetworzonych, a przecież są to dane podstawowe i ministerstwo, aby z nich korzystać, musiało je przetworzyć. Czasami odmawia i twierdzi, że pytający ma uzasadnić interes publiczny wynikający z dostępu do danych. Innym razem, w sposób zupełnie rozbrajający, odpowiada, że nie ma takich danych. Taka postawa świadczy o tym, że albo zdaniem resortu nie mamy do czynienia z poważną sytuacją, albo jest to skrajnie nieodpowiedzialne zachowanie.

Jak zatem rozumieć dane publikowane codziennie przez Ministerstwo Zdrowia?

Te dane, które są publikowane jako tzw. zachorowania i zgony, przybierają różną formułę, a media mniej lub bardziej sprytnie ją dobierają. A tak naprawdę te

dane są informacją o tym, ile osób spośród tych, którzy zmarli danego dnia, miało dodatni wynik testu na obecność wirusa SARS-CoV-2. Absolutnie nie oznacza to, że te osoby zmarły na COVID-19! Miały po prostu dodatnie testy. Z jakiego powodu natomiast zmarły, tego nie wiemy. Ze szczątkowych danych pochodzących od poszczególnych szpitali czy lekarzy można wywnioskować, że są to osoby, które zmarły zasadniczo na „swoje choroby”, np. ciężką niewydolność krążenia, udar mózgu lub nowotwór. Zgodnie z przyjętą praktyką oraz starymi rekomendacjami WHO i niektórych organizacji w Polsce ci pacjenci są kwalifikowani w rozpoznaniu i dokumentacji szpitalnej jako zmarli na COVID-19. Status choroby zakaźnej ma priorytet w ustalaniu przyczyny zgonu. W ten sposób dociera do nas kompletnie nieprawdziwy strumień informacji.

Skupmy się teraz na diagnostyce. Jak powinno wyglądać prawidłowe rozpoznanie lekarskie COVID-19?

Istotą pełnoobjawowej choroby COVID-19 jest wirusowe zapalenie płuc. U pacjentów, u których rozpoznano

CO DANE Z POLSKI MÓWIĄ O COVID-19?

FOT. ADRIAN STOK

miast zwalczane z zupełnie niezrozumiałych powodów.

Następnie należałoby zrobić test na obecność tego wirusa we krwi, co z punktu widzenia diagnostyki miałyby o wiele większe znaczenie niż wymaz z nosa. Kolejny punkt to diagnostyka serologiczna, czyli obecność przeciwciał, co potwierdza ogólnoustrojową reakcję układu immunologicznego na kontakt z antygenem i wnosi do rozpoznania dużo więcej niż pojedynczy test PCR. Oczywiście elementarną rzeczą w fachu lekarskim jest badanie fizykalne, czyli osłuchanie przez lekarza, a placówki POZ pracują zdalnie! Do tego wszystkiego należy dodać diagnostykę obrazową – badanie RTG klatki piersiowej lub tomografię płuc, gdyż obraz radiologiczny dla zapalenia płuc jest tutaj kluczowy. Warto przeprowadzić też badania mikrobiologiczne w kierunku nadkażeń bakteryjnych. Jeżeli to wszystko układa się w konsekwentną sekwencję zdarzeń, to z dużym prawdopodobieństwem mamy do czynienia z COVID-19.

Wymienił pan bardzo dużo badań. A jak wygląda to w praktyce?

Z tej diagnostyki najczęściej robi się tylko fragmenty. Często podstawową przesłanką do stwierdzenia COVID-19 jest pojedynczy test PCR. To karygodne i nic nie oznacza. Trzeba to sobie powiedzieć jasno, że mamy do czynienia z dezinformacją.

Podkreślił pan znaczenie zapalenia płuc w COVID-19. Co jednak z przypadkami łagodnego przebiegu tej choroby, gdzie jedynymi objawami są katar, chrypa lub lekka gorączka? Czy wówczas w ogóle możemy mówić o COVID-19?

Pierwszy błąd polega na używaniu pojęcia „bezobjawowy COVID”. To jest wewnętrzna sprzeczność, ponieważ

jeżeli ktoś nie ma objawów, to zasadniczo nie jest chory. Najczęściej można go wówczas określić mianem nosiciela, jeśli ma dodatni test. Łagodny przebieg z objawami dotyczącymi jedynie górnych dróg oddechowych, podobnymi do grypy, określa się natomiast w medycynie mianem przebiegu poronnego. Pełnoobjawowa choroba COVID-19 zasadniczo polega na zapaleniu płuc.

Czyli wszystkie pozytywne wyniki testów na przeciwciała świadczą o zakażeniu wirusem SARS-CoV-2, ale niekoniecznie o przebiegu choroby COVID-19?

To, że u danej osoby organizm wytworzył przeciwciała, oznacza, że jej układ immunologiczny wszedł w kontakt z wirusem. Nie zawsze skutkowało to chorobą, ale miał miejsce kontakt z antygenem. Układ immunologiczny zareagował, tworząc przeciwciała. U osób mających odpowiednią odporność lub pamięć immunologiczną infekcja kończy się na górnych drogach oddechowych i nie zamienia się w zapalenie płuc, czyli nie następuje pełnoobjawowy COVID-19. Brak przeciwciał oznacza natomiast, że nie było infekcji wirusem SARS-CoV-2 w czasie kilku tygodni lub miesięcy albo występuje upośledzenie układu immunologicznego, co się zdarza bardzo rzadko.

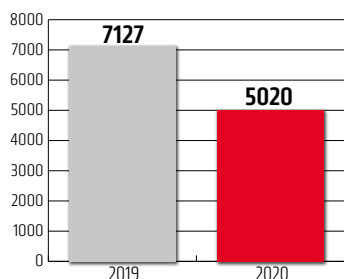
Jak ta definicja COVID-19 ma się do wyników podawanych przez Ministerstwo Zdrowia?

Do tej pory nie odrobiono lekcji z zakresu definicji. W obiegu publicznym istnieją definicje WHO powielane bezmyślnie przez instytucje typu PZH czy GIS. Mamy do czynienia z trzema definicjami: przypadkiem możliwym, prawdopodobnym oraz potwierdzonym. Mówiąc krótko, przypadek potwierdzony stanowi każda osoba, która ma dodatni test. To niewłaściwe podejście uwzględniające

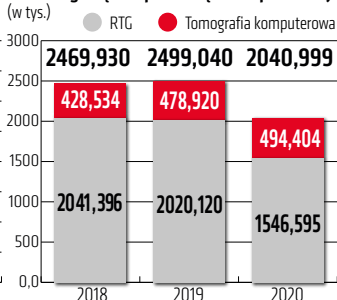
klinicznie podejrzenie zapalenia płuc, powinno się dążyć do ustalenia czynnika etiologicznego. Należy przeprowadzić testy na obecność różnych wirusów (tzw. panel oddechowy, gdzie jest obecnych ok. 20 różnych patogenów), które laboratoria badają jako potencjalną przyczynę zapalenia płuc. Nie można ograniczyć tego do jednego testu na jednego wirusa. Sam test PCR bywa często niewiarygodny ze względu na niedostatek kompetentnego personelu, co generuje dużą liczbę fałszywie dodatnich wyników. Badania antygenowe są nato-

System ochrony zdrowia w czasach COVID-19

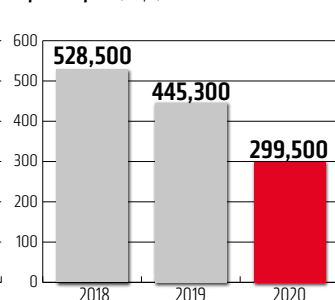
Liczba hospitalizacji sumarycznie (w tys.)



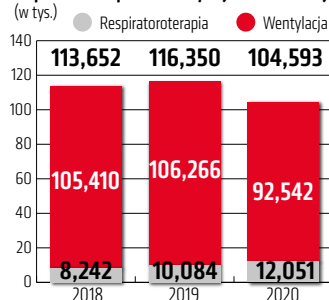
Liczba pacjentów, którym wykonano RTG lub tomografię komputerową klatki piersiowej (w tys.)



Liczba osób, u których rozpoznano zapalenie płuc (w tys.)



Liczba pacjentów w szpitalach poddanych respiratoroterapii lub wentylacji mechanicznej (w tys.)



Źródło: Dane Ministerstwa Zdrowia i GUS opracowane przez Jerzego Milewskiego

■ wyłącznie epidemiologiczny punkt widzenia. Z klinicznego punktu widzenia powinno to wyglądać tak, jak już opisałem. COVID-19 powinien manifestować się poprzez wirusowe zapalenie płuc wymagające pełnej diagnostyki.

Dysponuje pan danymi statystycznymi podanymi przez Ministerstwo Zdrowia. Dotyczą one np. liczby zgonów, hospitalizacji i zabiegów medycznych na przestrzeni ostatnich lat. Jakże wnioski płyną z ich analizy?

Te dane wyświetlają prawdę materialną na temat tego, z czym naprawdę mamy do czynienia. Jeżeli prawdziwa byłaby teza, że COVID-19 jest chorobą wysoce zakaźną, patogenną i śmiertelną, to powinniśmy mieć lawinę zachorowań i zgonów, a nie tylko dodatnich testów. W związku z tym sięgnęliśmy do danych Ministerstwa Zdrowia oraz GUS, które mogą na ten temat coś powiedzieć. Znaleźliśmy tam kilka niezwykle ciekawych informacji.

Pierwszą publicznie przedstawioną hipotezą była ta oparta na modelowaniu matematycznym, prowadząca do wniosków, że istnieje poważne zagrożenie dla systemu opieki zdrowotnej, który pod ciężarem strasznej choroby może się walić. Sprawdziliśmy zatem, co faktycznie się wydarzyło. Mamy dane na temat obciążenia szpitali w latach 2019 i 2020. Należałoby się spodziewać, że nastąpi dramatyczny wzrost hospitalizacji. Tymczasem mamy sytuację odwrotną. Liczba hospitalizacji spadła o 30 proc. w 2020 r. (!), co całkowicie zaprzecza postawionej tezie. Od początku nie było żadnych powodów do tego, żeby wprowadzać lockdowny, terror sanitarny i zakazy. System opieki zdrowotnej nie tylko nie został przeciążony, lecz także można powiedzieć, że został mocno odciążony. Z 7 mln hospitalizacji w 2019 r. mieliśmy rok później tylko 5 mln. Warto przy tym dodać, że w 2020 r. liczba hospitalizacji z rozpoznaniem COVID-19 stanowiła zaledwie 4,6 proc. wszystkich hospitalizacji. Jak zatem można mówić o poważnym przeciążeniu systemu opieki zdrowotnej? To totalna bzdura.

Skąd zatem teza o braku wolnych łóżek i respiratorów?

Nie wiem. Słyszałem natomiast od ważnych urzędników w tamtym czasie taką teorię, że musimy ludzi nastraszyć, aby słuchali naszych rekomendacji i decyzji. Dla mnie to rzecz absolutnie ka-

rygodna. Kampania strachu jest zawsze kampanią niszczącą. Niestety, takie słowa padały z ust ludzi kierujących instytucjami powołanymi do merytorycznej oceny sytuacji. Byliśmy epatowani obrazami z wybranych miejsc, gdzie kumulowano chorych, a nie prezentowano obrazów z pozostałej części systemu, który był niedociążony.

O czym świadczą inne dane, które pan zebrał?

Mamy do czynienia z zupełnie inną historią niż ta, która jest nam opowiadana. Spójrzmy np., ile przypadków zapalenia płuc odnotowano w 2020 r. Okazuje się, że w roku wybuchu pandemii tych przypadków mamy nie więcej, a mniej! W 2018 r. było 528,5 tys. zapaleń płuc, w 2019 r. – 445,3 tys., a w 2020 r. – 299,5 tys. To są wszystkie zapalenia płuc, w tym wirusowe zapalenia płuc, a także covidowe. Te liczby całkowicie zaprzeczają tezie o pandemii „strasznej choroby”, której istotą jest zapalenie płuc. W dyskusji na temat systemu ochrony zdrowia powinniśmy posługiwać się twardymi danymi, a nie tylko hipotezami. Następnie, kiedy mówimy o ciężkiej chorobie i zgonach spowodowanych zapaleniem płuc, to rozumiem, że powinniśmy mieć do czynienia ze zwiększoną liczbą badań obrazowych płuc. Jeżeli spojrzymy na statystyki dotyczące RTG klatki piersiowej i tomografii komputerowej płuc, to zobaczymy, że łącznie w 2018 r. było ich 2 469 930, w 2019 r. – 2 499 040, a w 2020 r. – 2 040 999, a zatem najmniej. Teza, że w 2020 r. trwała u nas straszna epidemia wirusowego zapalenia płuc, jest po prostu nie do obrony. Następne dane mówią o liczbie terapii respiratorowych. Widzimy, że w 2018 r. terapii przy pomocy respiratorów było 113 652, w 2019 r. – 116 350, a w 2020 r. – 104 593! Do tego notujemy spadek liczby użytych respiratorów u osób z zapaleniem płuc.

To wszystko jest bardzo spójne wewnętrznie, a więc ryzyko tego, że popełniamy jakiś błąd, wygląda na bardzo niewielkie. Dobrym podsumowaniem tych danych jest porównanie, u ilu pacjentów hospitalizowanych z powodu COVID-19 stwierdzono zapalenie płuc. Ministerstwo Zdrowia odpowiedziało, że było tak zaledwie w przypadku 10 proc. pacjentów! To znaczy, że pozostałe 90 proc. osób było hospitalizowanych z dodatnim wynikiem na obecność wirusa SARS-CoV-2, a nie na chorobę

COVID-19. Te 10 proc. stanowią wszystkie zapalenia płuc, a zatem przypadków COVID-19 było jeszcze znacznie mniej.

Czyli pańskim zdaniem te 90 proc. pacjentów niesłusznie trafiło na oddziały covidowe? Jak mogło to wpłynąć na ich zdrowie?

Jest to dla nich skrajnie groźne, ponieważ jeśli gdzieś mogą zarazić się wirusem, to właśnie tam. Niebezpieczne może być dla nich też zakażenie szpitalnymi szczepami bakteryjnymi. Poza tym w tych miejscach ludzie są leczeni przez niespecjalistyczny personel, a są to często poważnie chorzy ludzie, np. cierpiący na choroby z zakresu onkologii, układu krążenia czy neurologii. Tymczasem są kierowani na oddział, który ma cechy polowego szpitala wojskowego. Podsumowując, w 2020 r. było mniej hospitalizacji, mniej przypadków zapalenia płuc, mniej badań obrazowych płuc, mniej terapii z użyciem respiratorów. Nie da się dłużej forsować tezy o strasznej pandemii!

Z czego więc wynika tak duża liczba nadmiarowych zgonów w naszym kraju?

Z danych GUS wiemy, że w trakcie pandemii polska populacja zmniejszyła się o ponad 200 tys. osób. To jest hekatomba w sensie demograficznym. Mała część tej liczby – myślę, że ok. 30 tys. – wynika ze zmniejszonego przyrostu naturalnego, co pośrednio też jest spowodowane paniką związaną z koronawirusem. Ponad 170 tys. to nadmiarowe zgony, których w znakomitej większości nie da się wytłumaczyć COVID. W związku z tym grubo ponad 100 tys. osób zapewne zmarło z powodu upośledzonego dostępu do systemu opieki zdrowotnej, w tym zamkniętych POZ-ów, szpitali przekształconych w oddziały covidowe, teleporad, wstrzymania przyjęć planowych oraz zaniechania terapii i rehabilitacji. Ten dług zdrowotny Polska będzie płacić jeszcze przez wiele lat. To jest wynik błędnego postępowania i najwyższy czas się obudzić.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



lek. med. Jerzy Milewski
– lekarz medycyny, specjalista chorób wewnętrznych i rynku farmaceutycznego.

Od lipca 2020 r. do czerwca 2021 r. liczba mieszkańców naszego kraju spadła o niemal 200 tys. To tak, jakby w ciągu jednego roku przestało istnieć miasto wielkości Radomia czy Torunia. W tym okresie urodziło się w Polsce niespełna 344 tys. dzieci, natomiast liczba zgonów sięgnęła niemal 540 tys. O kolejne 100 tys. skurczyło się nasze społeczeństwo w drugiej połowie 2021 r. To tak, jakby na przestrzeni sześciu miesięcy zniknęło z mapy Polski miasto wielkości Płocka czy Kalisza. Większość osób zmarła z przyczyn naturalnych, część zgonów została wywołana chorobą COVID-19. Niestety, dużą grupę stanowiły nadmiarowe zgony spowodowane paraliżem służby zdrowia oraz różnymi ograniczeniami w dostępie do świadczeń medycznych z powodu pandemii i lockdownu. Oczywiście problemy związane z koronawirusem nie wywołały obecnego kryzysu demograficznego w naszym kraju, ale go jedynie radykalnie pogłębiły. W Polsce już w 2019 r. liczba zgonów przewyższyła liczbę urodzin.

POLITYKA PRORODZINNA

Od kilku lat perspektywa katastrofy demograficznej naszego narodu zaczyna coraz częściej pojawiać się w domenie publicznej. Szkoda, że tak późno. I ciągle za rzadko. Niestety, przez ponad 20 lat ten niewygodny temat był skrzętnie ukrywany prawie przez wszystkich. Dominowała zmowa milczenia. Zagadnienia demograficzne pojawiały się od czasu do czasu w niektórych analizach filozoficznych czy socjologicznych. W tym kontekście trzeba docenić politykę prorodziną prowadzoną od 2015 r. przez władze rządowe. Gdyby nie było programu „500+” i innych działań prospołecznych, to obecny krach demograficzny byłby jeszcze większy.

Jednak wiele przesłanek wskazuje na to, że poprzez odpowiednią politykę prorodziną nie można uratować Polski przed zagładą biologiczną. Dlaczego? Jest już po prostu za późno, żeby odwrócić dominujące obecnie trendy demograficzne. Działania prorodzinne mogły być skuteczne w latach 90. ubiegłego wieku i na początku obecnego stulecia, gdy drastycznie zaczęła spadać liczba nowych urodzin. Obecnie wyzwania demograficzne muszą być koniecznie połączone z roztropną polityką imigracyjną. Niestety, nie widzą takiej konieczności m.in.

autorzy projektu ustawy o Instytucie Rodziny i Demografii, który na początku grudnia 2021 r. został skierowany do dalszych prac w Komisji Polityki Społecznej i Rodziny. Ustawa zakłada powołanie nowej instytucji publicznej w formie państwowej osoby prawnej. Do jej zadań ma należeć m.in. prowadzenie badań naukowych nad demografią i wypracowy-

cych w krajach europejskich i rozszaniach po różnych zakątkach świata. Polska polityka imigracyjna powinna być podobna do działań podjętych przez Izrael w 1989 r., gdy chodzi o Żydów mieszkających wcześniej po wschodniej stronie żelaznej kurtyny. Podobnie uczynili Niemcy po zburzeniu muru berlińskiego, stwarzając odpowiednie warunki do zamieszkania

Czas ściągnąć rodaków do ojczyzny



ks. Andrzej Kobyliński

Przez ponad 20 lat perspektywa polskiej katastrofy demograficznej była skrzętnie ukrywana, a dziś jest już za późno, by działania prorodzinne ocaliły nas przed biologiczną zagładą. Trzeba je łączyć z roztropną polityką imigracyjną

wywanie odpowiednich rekomendacji.

Obecnie Polska potrzebuje długofalowego programu imigracyjnego, który może uchronić nas przed katastrofą demograficzną. Działalność władz rządowych i samorządowych powinna być adresowana przede wszystkim do milionów naszych rodaków mieszkających na obczyźnie. W pierwszej kolejności trzeba uczynić wszystko, aby czym prędzej mogli powrócić do ojczyzny Polacy mieszkający w krajach byłego Związku Radzieckiego. Należy także przekonywać do powrotu naszych emigrantów mieszkają-

w kraju nad Renem dla wielu mieszkańców byłego bloku wschodniego, którzy mieli niemieckie korzenie.

NARODY SŁOWIAŃSKIE

Ryzyko zagłady biologicznej dotyczy nie tylko Polski, lecz także wszystkich narodów słowiańskich. Realna katastrofa ludnościowa grozi także Białorusinom, Czechom, Litwinom, Rosjanom, Słowakom, Ukraińcom. W dziejach narodów słowiańskich niezwykle tragicznym okresem było XX stulecie. Niewyobrażalne barbarzyństwo ubiegłego wieku

dotknęło w brutalny sposób szczególnie mieszkańców Europy Środkowo-Wschodniej. Kraje słowiańskie spłynęły krwią polską, rosyjską, białoruską, ukraińską. Morze przelanej krwi ukształtowało dziejową wspólnotę tragicznego losu narodów słowiańskich. W latach 1932–1933 na ziemiach należących dzisiaj do Ukrainy komuniści dokonali jednego z największych ludobójstw w dziejach świata. Chodzi o tzw. wielki głód, czyli celowe wywołanie klęski, która spowodowała w ciągu kilku miesięcy uśmiercenie w niezwykle makabryczny sposób od 6 do 10 mln ludzi. Także niemiecki plan „ostatecznego rozwiązania” kwestii żydowskiej – Xsudy fiudsfhds iufghsdihfiudshfiu kim zagłady Ż. dhsifhiudshfiudsh iufsdfe ddfg forajach Europy Śi. dniej.

Niewyobrażalne barbarzyństwo, które miało miejsce w XX stuleciu, nie doprowadziło jednak do biologicznej zagłady narodów słowiańskich. Słowianie przetrwali dwie wojny światowe, komunizm i narodowy socjalizm. Niestety, ryzyko powolnego wymierania ludności w krajach Europy Środkowo-Wschodniej pojawia się w obecnym wieku – w czasie pokoju, rozwoju naukowego i technologicznego oraz coraz większego dobrobytu. O widmie samobójstwa demograficznego w tym regionie Europy mówią bardzo jasno różnego rodzaju raporty krajowe i międzynarodowe dotyczące prognoz demograficznych i polityki ludnościowej.

ŚWIAT 2100

11 lipca jest obchodzony każdego roku Światowy Dzień Ludności. To coroczne święto, ustanowione przez Zgromadzenie Ogólne Organizacji Narodów Zjednoczonych w 1989 r., w rocznicę tzw. Dnia Pięciu Miliardów obchodzoną w 1987 r., kiedy to liczba ludności świata osiągnęła 5 mld. Obchody Światowego Dnia Ludności mają na celu zwrócenie uwagi opinii publicznej na pilny charakter i wagę problemów ludnościowych, zwłaszcza w kontekście planów i programów rozwoju, oraz na potrzebę znalezienia odpowiednich środków zaradczych.

W lipcu 2017 r., w ramach obchodów tego święta, Wydział Ludnościowy Departamentu Spraw Gospodarczych i Społecznych ONZ opublikował dokument dotyczący prognozy liczby mieszkańców na naszej planecie w roku 2100. Podobne opracowanie zostało opublikowane przez ekspertów ONZ w 2019 r.

Jednak z polskiej perspektywy więcej ważnych informacji zawiera dokument z 2017 r. Solidna analiza tego opracowania powinna być przedmiotem wielkiej debaty we wszystkich krajach Europy Środkowo-Wschodniej. Dlaczego? Ponieważ ten dokument kreśli wizję spektakularnej katastrofy demograficznej, która zagraża narodom słowiańskim. Europa Środkowo-Wschodnia stanowi w tym opracowaniu jedyny region na świecie, który stoi w obliczu ryzyka prawdziwej zagłady biologicznej.

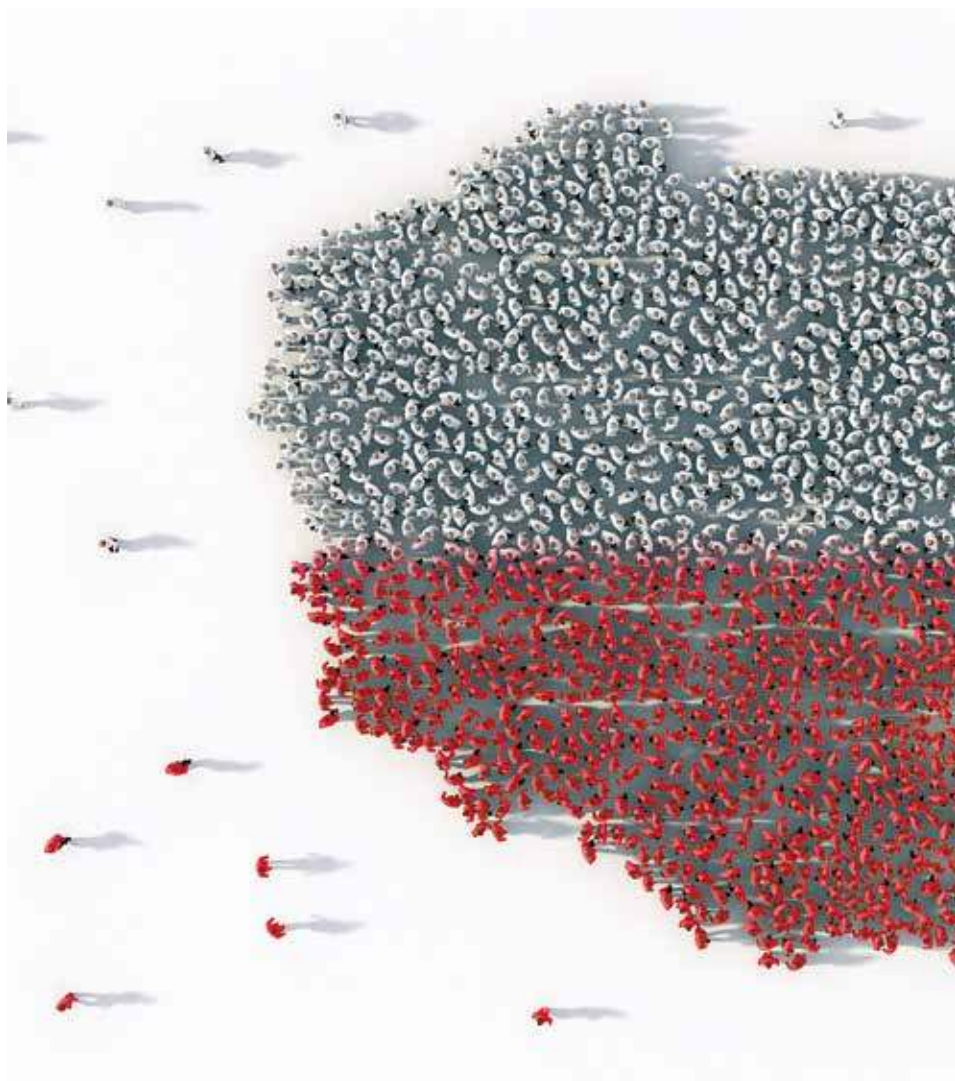
Poddałem ten dokument wnikliwej analizie właśnie pod kątem przyszłości narodów słowiańskich. Perspektywa krachu demograficznego całego naszego regionu jest naprawdę przerażająca.

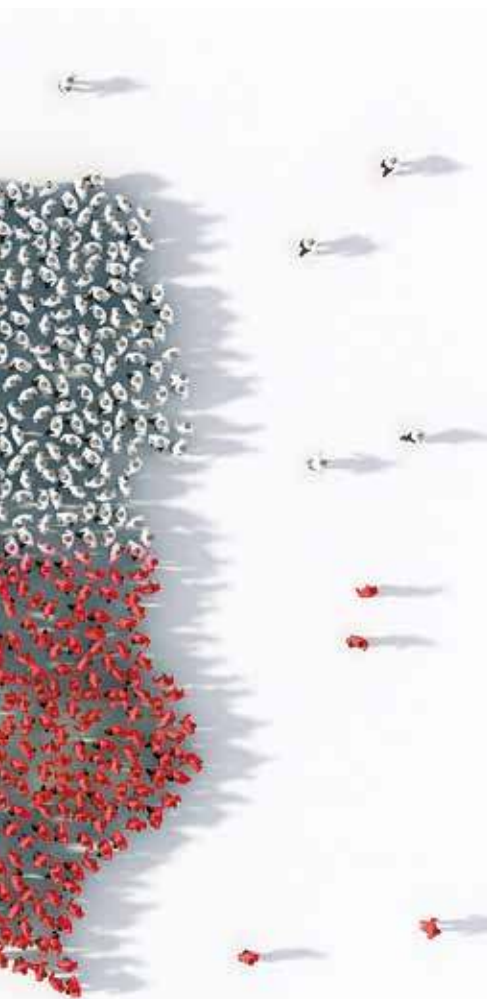
WIDMO ZAGŁADY

Eksperci ONZ twierdzą, że w 2100 r. liczba mieszkańców naszej planety przekroczy 11 mld. Trzykrotny wzrost ludności nastąpi w Afryce. Obecnie

**Według prognozy ONZ
w roku 2100
populacja Polaków
skurczy się z obecnych 38 mln
do zaledwie 21 mln**

w krajach afrykańskich mieszka 1 mld 256 mln ludzi, natomiast za 80 lat liczba ludności na tym kontynencie osiągnie 4 mld 467 mln. Zasadniczo nie zmieni się liczba mieszkańców Azji. O jedną trzecią wzrośnie populacja Ameryki Północnej. Podobne zmiany nastąpią w Australii i Oceanii. O kilkanaście procent zwiększy się także liczba mieszkańców Ameryki Łacińskiej. Jedyny kontynent, na którym pogorszy się o kilkanaście procent sytuacja demograficzna, to Europa. Niestety, liczba mieszkańców zmniejszy się w sposób drastyczny przede wszyst-





w Polsce będzie mieszkać 21 mln ludzi. Jest to tzw. wariant średni, który zakłada m.in. wzrost poziomu dzietności z 1,40 do 1,76. Natomiast wariant minimalny – zakładający m.in. utrzymanie się obecnego, dramatycznie niskiego poziomu dzietności – mówi o spadku liczby mieszkańców Polski do poziomu 11 mln 570 tys. Czy wówczas nasz kraj, zamieszkany głównie przez ludzi w podeszłym wieku i potrzebujących opieki, mógłby jeszcze istnieć jako niepodległe państwo między imperialną Rosją i dominującymi w Europie Niemcami?

ZŁO POSTKOMUNIZMU

Zapaść demograficzna w krajach byłego bloku wschodniego zaczęła się gwałtownie rozwijać w ostatniej dekadzie XX w. W 1989 r. w Europie Środkowo-Wschodniej narodził się postkomunizm. Proces przechodzenia państw bloku wschodniego od komunizmu do postkomunizmu, a następnie od postkomunizmu do demokracji nie jest zjawiskiem jednorodnym i dokonywał się z różną intensywnością. Jedną z pierwszych książek na temat postkomunizmu opublikował w 1997 r. australijsko-brytyjski politolog Leslie Holmes pt. „Wprowadzenie do postkomunizmu”. Natomiast w 2001 r. ukazało się opracowanie Jadwigi Staniszkis pt. „Postkomunizm. Próba opisu”.

Staniszkis twierdzi, że jednym z głównych elementów przejścia od komunizmu do postkomunizmu była radykalna zmiana rozumienia władzy państwowej. Po 1989 r. w krajach postkomunistycznych państwo przestało być ośrodkiem zaufania i punktem odniesienia dla decyzji indywidualnych o charakterze społecznym czy gospodarczym. Dlatego w krajach byłego bloku wschodniego postkomunizm charakteryzował się bardzo wieloma patologiami: nardzinami oligarchii, działalnością grup przestępczych, skandalami dotyczącymi reprivatyzacji, brakiem dekomunizacji, rozkradaniem majątku narodowego, korupcją, naruszaniem podstawowych zasad sprawiedliwości społecznej itp. Patologie postkomunizmu doprowadziły do masowej emigracji, biedy, braku skutecznej polityki prorodzinnej. W konsekwencji tych negatywnych zjawisk pojawił się głęboki kryzys demograficzny.

REWOLUCJA SEKSUALNA

Drugim ważnym czynnikiem, wpływającym na dramatyczny spadek

liczby ludności w krajach słowiańskich, są negatywne skutki współczesnej rewolucji obyczajowej. Państwa znajdujące się po wschodniej stronie żelaznej kurtyny nie zostały dotknięte zachodnią rewolucją seksualną w latach 60. i 70. XX w. Cenzura, ograniczone możliwości wyjazdów zagranicznych i wiele innych działań podejmowanych przez władze w państwach komunistycznych sprawiły, że zachodnie idee wyzwolenia seksualnego docierały w ograniczonym stopniu do krajów bloku wschodniego, w których

Ryzyko zagłady biologicznej jest naszym największym wyzwaniem narodowym w obecnym stuleciu

dominowała filozofia marksistowsko-leninowska. Władze na Kremlu czuwały nad tym, aby idee neomarksistowskiej rewolucji obyczajowej 1968 r. nie były obecne w domenie publicznej od Berlina Wschodniego do Władywostoku.

Głęboka zmiana nastąpiła po 1989 r., gdy został zburzony mur berliński. Wraz z otwarciem granic zaczęły przenikać do krajów postkomunistycznych m.in. idee rewolucji seksualnej, które wcześniej radykalnie zmieniły życie zachodnich społeczeństw. Rewolucja obyczajowa w krajach postkomunistycznych ma szczególnie negatywny wpływ na demografię. Nowe podejście do małżeństwa, rodziny i etyki seksualnej wpływa na spadek poziomu dzietności. Jedną z konsekwencji nowych trendów kulturowych w krajach słowiańskich jest łatwy dostęp do różnych form „antykonceptji awaryjnej” i aborcji chemicznej.

Ryzyko zagłady biologicznej jest naszym największym wyzwaniem narodowym w obecnym stuleciu. Żeby jej uniknąć, należy przede wszystkim umożliwić powrót do ojczyzny milionom naszych rodaków mieszkających za granicą. W najbliższych dziesięcioleciach Polska będzie musiała przyjąć kilka milionów nowych mieszkańców. Dlatego zagadnienia demograficzne trzeba koniecznie połączyć z odpowiedzialną polityką imigracyjną. Czy rozumiemy tę dziejową konieczność?

kim w krajach słowiańskich. Natomiast państwa Europy Zachodniej, przyjmując wiele milionów imigrantów z różnych regionów świata, nie będą dotknięte kryzysem demograficznym tak głęboko jak kraje byłego bloku wschodniego.

Jak będą wyglądać kraje słowiańskie w roku 2100? Liczba ludności Białorusi zmniejszy się o ok. 20 proc. Obecnie mieszka w tym kraju 9 mln 468 tys. Za 80 lat liczba ta zmniejszy się o 2 mln. Podobny proces nastąpi w Czechach – spadek z 10 mln 618 tys. do 8 mln 892 tys. Liczba mieszkańców Litwy zmniejszy się o jedną trzecią. Podobny dramat wydarzy się na Słowacji – spadek z 5 mln 448 tys. do 3 mln 834 tys. Prawdziwa zagłada biologiczna czeka Ukrainę. W tym kraju liczba mieszkańców zmniejszy się z 44 mln do 28 mln. Równie dramatyczna prognoza demograficzna dotyczy także Polski. Obecnie w naszym kraju mieszka 38 mln ludzi. Według raportu przygotowanego przez ekspertów ONZ w 2100 r.



O d jego śmierci minęło niedawno 35 lat. Wydawałoby się – cała epoka, a przecież i postać Jerzego Łojka, i jego książki, a napisał ich ok. 30, w tym tak poczytne jak „Dzieje pięknej Bitynki”, wciąż są obecne w krwiobiegu polskiej humanistyki, choć zapewne nie w takim stopniu, jak na to zasługują. Charakterystyczne, że choć dla niemałego grona ludzi nauki i kultury pozostaje wybitnym historykiem, człowiekiem wielkiej odwagi, wierności pryncypiom i niekwestionowanym autorytetem, inni dyskredytowali go, a ich następcy w najlepszym razie nie zauważają go. Wiele tłumaczy tytuł wydanej właśnie przez LTW książki Jerzego Kłosińskiego „Historyk na tropie zdrady elit. Rzecz o Jerzym Łojku”.

Poruszał najtrudniejsze tematy, najbardziej drażliwe, w czasach PRL-owskich zajmując się stosunkami polsko-rosyjskimi, szansami powstania listopadowego, jak również – horribile dictu! – sowiecką agresją na Polskę w roku 1939 i zbrodnią katyńską. Sprawa tej ostatniej była dla niego wyjątkowa: jego ojciec, major i lekarz Leopold Łojek, więzień obozu w Kozielsku, został zamordowany w katyńskim lesie w kwietniu 1940 r. Przyszły autor „Dziejów sprawy Katynia” nie miał jeszcze wtedy ośmiu lat.

WYRZUT SUMENIA

W 1995 r. na łamach „Czasu”, w charakterystycznym dla siebie stylu, tak pisał o Jerzym Łojku Waldemar Łysiak: „Był historykiem idealnym, monarchą rodzimej historiografii czasów PRL-u. Nienawidził komunizmu, a komunizm nienawidził jego, stale usuwając Łojka w cień lub »subtelnie«, czyli perfidnie, represjonując. Mam na myśli dubeltową nienawiść, gdyż polityczna towarzyszyła środowiskowej. Jako dysydent walczący, rozdając komunie ciosy bolesne (ze względu na cenzurę czasami w »drugim obiegu« – pod pseudonimem Leopold Jerzewski wydał m.in. »Dzieje sprawy Katynia« i »Agresję sowiecką 17 września 1939«), musiał być dla PZPR-u i esbecji »zapłutym karłem reakcji«. A jako nonkonformista przeciwstawiający się bezwzględnie tezmom historiografii marksistowskiej, która miała monopol i która skurwiła zdecydowaną większość polskich historyków – musiał być celem ostracyzmu środowiskowego. Nadto duża liczba »kolegów« wysługiwała się

esbecji agenturalnie, gdy Łojek przejawiał wściekłą antyesbecką fobię – również dzięki temu »koledzy« niezbyt go lubili. Aktualnie klną trupa – bo Łojkowe jest na wierzchu. Nie chodzi tu o to, że komuna, którą zwalczał, upadła, gdyż wcale nie upadła, prosperuje doskonale, tylko o to, że większość panów dziejopisów musi się wstydzić własnych wolumi-

uczciwe i doskonałe co poprzednie. Taki wyrzut sumienia jak Jerzy Łojek to ciężka zgryzota dla prostytutek okupujących katedry uniwersyteckie i fotele PAN-owskie Lechistanu”.

Ostatnia książka, której pisanie ledwie rozpoczął, nosić miała tytuł: „Stanisław Antoni zwany Augustem”. Byłaby chyba ukoronowaniem prac Jerzego Łojka nad

Jerzego Łojka tytuł do chwały



Krzysztof Masłoń

Jerzy Łojek nie był więźniem jakiegokolwiek ideologii, chyba że za taką uznamy najważniejszą dla niego – niepodległość

nów wydawanych za PRL-u, a Łojek nie musi się wstydzić ni jednej swojej sylaby. Rozliczni historycy Rzeczypospolitej piszą dziś dzieła, będące całkowitym zaprzeczeniem tego, co pisali dla podlizania się komunie – nicują sobie błony dziewicze, odkręcając własne uczzone tezy »na abarot«. Łojek własnych książek nie musiałby przerabiać (musiałby tylko przywrócić im fragmenty, które usunął cenzor), mógłby więc bez straty czasu pisać zupełnie nowe książki, równie

epoką stanisławowską, wydając jednoznacznie negatywną ocenę ostatniego króla Rzeczypospolitej. Postaci, która wciąż znajduje swoich admiratorów, zapominających, widać, że nie był on ministrem kultury, a koronowanym władcą. I jako król całkowicie się nie sprawdził. Bardzo się takie stanowisko w czasach komuny nie podobało serwilistycznie nastawionym naukowcom i pisarzom, a i w wolnej Polsce np. Józef Hen popisał się książką „Mój przyjaciel król”, w której

do porządku dziennego przeszedł nad tym drobnym faktem, że Stanisław Antoni zwany Augustem podał na tacy Polskę swej byłej kochance Katarzynie, a przystępując do targowicy, skompromitował się doszczętnie.

Tymczasem Jerzy Łojek w konspekcie do planowanej książki pisał m.in.: „Takimi metodami, jakimi St. Aug. chciał zyskiwać przyjaźń dworu petersburskiego, można było zyskać jedynie tego dworu pogardę i lekceważenie”; „Szanse ocalenia niepodległości byłyby bez wątpienia wielokrotnie większe, gdyby »hobby« Stanisława Augusta było nie wielkie malarstwo, ale na przykład ciężka artyleria”.

SZLAG MNIE TRAFIA

Kiedy prof. Bogusław Leśnodorski nazwał go „ostatnim przeciwnikiem króla na naszym gruncie”, w odpowiedzi stwierdził, że nie jest „ostatnim”, ale „zapewne pierwszym na gruncie nowego stosunku do spraw historii nowożytnej i najnowszej. Stanisław August zostanie zdruzgotany w opinii jako polityk i szef państwa polskiego ok. lat 1990–2000. W momencie, gdy zacznie się rozpadać Związek Sowiecki, a w naszym społeczeństwie wezmą zdecydowanie górę idee niepodległościowe, idee pełnej suwerenności”. Wieszczył, że „w roku 2000 następne pokolenie podzieli mój pogląd na postać Stanisława Augusta, oceniając bardzo krytycznie opinie Pana Profesora, prof. E. Rostworowskiego i innych. Nas już wtedy nie będzie. Nie będzie – prawdopodobnie – też ZSRR i ambasadora radzieckiego w Warszawie. Będzie u nas rezydował ambasador Demokratycznej Republiki Rosyjskiej, pospołu z przedstawicielami Republiki Ukrainkiej, Białoruskiej, Gruzjińskiej etc. Może zresztą nastąpi to jeszcze nie w roku 2000, lecz np. w 2030. Stanie się jednak na pewno”.

Autor listu skreślił te słowa 31 marca 1978 r. Niewiele ponad pół roku później w pełni docenił wagę wyboru Karola Wojtyły na papieża, co zwraca uwagę, bo był Jerzy Łojek niewierzący. Dostrzegł – pisze Jerzy Kłosiński – „że przed rodakami otwiera się nowa perspektywa i ta świadomość uwarściwia go na nową formę ataków na Polskę i naród”. Ostro zareagował na napastliwy artykuł francuskiego „Le Monde” z 21 października tegoż roku – „Kościół w Polsce i jego antysemityzm”. Natychmiast napisał list do redakcji (po francusku), podając – czytamy – „wiele przykładów tolerancyjnego współżycia Żydów z Polakami, możliwości rozwoju

Kiedy prof. Bogusław Leśnodorski nazwał go „ostatnim przeciwnikiem króla na naszym gruncie”, w odpowiedzi stwierdził, że nie jest „ostatnim”, ale „zapewne pierwszym na gruncie nowego stosunku do spraw historii nowożytnej i najnowszej”

ich autonomii religijnej i narodowej, nie unika też trudnych wątków, jak przejawy »antysemityzmu« u części zwolenników Narodowej Demokracji. Wspomina również o antypolskiej postawie części Żydów w epoce stalinowskiej”. Kończąc, stwierdził, że tekst w „Le Monde” jest zniewagą i dla narodu polskiego, i dla Kościoła w Polsce. „Dziś – powiada Kłosiński – po tylu już latach doświadczeń w prowadzeniu przez różne kręgi kampanii oczerniania Polski i zrzućcia odpowiedzialności, już nie tylko za antysemityzm, ale nawet i za holocaust, list ten był jednym z pierwszych wzorcowych tekstów, jak należało reagować na tego rodzaju oszczerstwa. Oczywiście »Le Monde« nie wydrukował listu Łojka”.

A dlaczego zaczęła się wtedy ta kampania oszczerstw, wyjaśniał historyk w liście wysłanym cztery dni po publikacji w „Le Monde” do mieszkającego w Paryżu Władysława Żeleńskiego (bratanka Boya). „Wzmaga się – pisał – akcja ludzi z grona [...] intelektualistów żydowskich, w kierunku szkalowania nie tylko rządów, ale już także społeczeństwa polskiego i polskich tradycji. Nie tylko mnie, ale setki innych działaczy intelektualnych o niezależnym sposobie myślenia szlag trafia z tego powodu. Niektórzy działacze opozycyjni, którzy mają spore »osiągnięcia« w służbie stalinizmu, ale nie chcą tego potępić oficjalnie, uzurpują sobie prawo do sui generis decydowania, co ma być publikowane o Polsce w zagranicznych mass mediach poza krajem, co zaś nie... Wytwarza się dodatkowa cenzura prewencyjna... doprowadzająca nas tutaj do szału. [...] Proszę łaskawie ostrzec, kogo warto, bo skutki mogą być tragiczne”. No i takimi się stały.

CENA NIEPODLEGŁOŚCI

W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r. został zabrany z warszawskiego mieszkania

i przewieziony na komendę przy ul. Wilczej, a następnie na Białolekę, potem do więzienia przy ul. Rakowieckiej i z powrotem na komendę, skąd został zwolniony ze względu na zły stan zdrowia (cierpiał na insulinozależną cukrzycę, która stała się przyczyną jego śmierci w 1986 r. w wieku zaledwie 54 lat), po oświadczeniu lekarki, że w warunkach więziennych jego leczenie nie jest możliwe.

A na listę osób do internowania trafił z powodu swej działalności solidarnościowej, a choć „przed 1980 rokiem – pisze Jerzy Kłosiński – nie był działaczem opozycyjnym, który udziela się pod swoim nazwiskiem, można powiedzieć, że był jednym z ojców ideowych nurtu niepodległościowego”. A jak wiadomo, nie był to wtedy nurt dominujący. Ale zdaniem Jerzego Łojka: „Polakom brakowało najczęściej świadomości, iż niepodległość jest dobrem takiej rangi, że po prostu warto i godzi się zapłacić za nią wszelką cenę”.

W swoim mieszkaniu przy Nowym Świecie prowadził seminarium Ośrodku Badań Społecznych zajmujące się historią najnowszą. Ciekawy był skład tej grupy seminaryjnej. Brali w niej udział: Bronisław Komorowski i Jan Skórzyński, Wojciech Onyszkiewicz i Andrzej Krawczyk, Wiesław Jan Wysocki, Marian Piłka, Romuald Szeremietiew, Antoni Macierewicz. Dzięki żonie tego ostatniego – Hannie – z którą Łojek pracował w Instytucie Badań Literackich, zbliżył się do środowiska „Głosu”, którego redaktorem naczelnym był właśnie Antoni Macierewicz. I kiedy już w 1983 r. Jerzy Giedroyc odstąpił od publikacji zamówionego przez niego u Łojka „Kalendarza Historycznego”, ukazał się on później, nie gdzie indziej jak właśnie w podziemnym „Głosie” – u Antoniego Macierewicza.

Na „Kalendarz...” oburzał się salon warszawski, chyba na równi z komunistycznym Białym Domem. A Jerzy Łojek udowadniał w nim, m.in. jak pisał Antoni Macierewicz, „że tylko Narodowe Siły Zbrojne miały realistyczny program walki o niepodległość. [...] On, przeciwnik endecji i Dmowskiego, piłsudczyk z tradycji i z przekonania, wskazywał na NSZ jako przykład jedyny, jaki ostał się wobec próby drugiej wojny światowej”. To rzeczywiście pokazuje, że nie był on więźniem jakiegokolwiek ideologii, chyba że za taką uznajemy najważniejszą dla niego – niepodległość.

Ciekawe, że historyk ten, o czym świadczą jego publikacje, najbardziej krytykował

swoich: wymienionych z nazwiska renegeatów, którzy doprowadzili do rozbiorów i upadku I Rzeczypospolitej, potem tych, którzy zaprzepaścili szanse powstania listopadowego, w końcu odpowiedzialnych za klęskę 1939 r., ze Śmigłym-Rydzem na czele. I obawiał się skutków wpływu, który na działania Solidarności wywierają – jak pisał – „ugodowcy katoliccy (Mazowiecki, Wielowieyski) i oportuniści dysydency (Geremek, Kuroń)”.

KRZYŻ I CIEŃ KATYNIA

Podporą w jego życiu była żona, Bożena Mamontowicz-Łojkowa, zawodowo teatrolog, historyk baletu. Ukończyła Państwową Szkołę Baletową, tańczyła m.in. w Mazowszu. Uzyskała doktorat z pracy „Tancerze króla Stanisława Augusta”. A przede wszystkim towarzyszyła swemu mężowi w jego pracach katyńskich, a był on przecież jedną z najważniejszych postaci Obywatelskiego Komitetu Budowy Pomnika Ofiar Katynia. To spod jego pióra wyszedł tekst aktu erekcyjnego wmurowany 6 grudnia 1981 r. pod przyszły pomnik i już tej samej nocy wykopany przez „nieznanych sprawców”, tych samych pewnie, którzy 31 lipca tegoż roku wywieźli z Powązek wielki Krzyż Katyński, i tych samych, którzy osiem lat później zamordowali innego niestrudzonego działacza Komitetu Katyńskiego, proboszcza parafii św. Karola Boromeusza ks. Stefana Niedzielaka.

Po śmierci męża Bożena Łojek kontynuowała jego działalność, była współzałożycielką Rodzin Katyńskich, pierwszą przewodniczącą Federacji Rodzin Katyńskich, prezesem Polskiej Fundacji Katyńskiej, sekretarzem Niezależnego Komitetu Historycznego Badania Zbrodni Katyńskiej. Uparcie walczyła o ujawnienie wszystkich okoliczności mordu katyńskiego, dokończenia śledztwa, ukarania sprawców, uhonorowania pamięci ofiar. I sama stała się jeszcze jedną ofiarą tamtej zbrodni. Zginęła 10 kwietnia 2010 r. w katastrofie smoleńskiej, lecąc na uroczystości katyńskie.

Jej oczkiem w głowie była Nagroda im. Jerzego Łojka, którą ustanowiła w 1989 r., najpierw finansowaną z tantiem z książek zmarłego trzy lata wcześniej męża, a później zarządzaną przez Fundację im. Jerzego Łojka przy Instytucie Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku. Do 2006 r. przyznawano ją autorom prac o tematyce niepodległościowej i historycznej z zakresu wypełniania białych plam w historii.

Wśród laureatów znajdujemy nazwiska: Zbigniewa Herberta i Romana Aftanazego, Andrzeja Nowaka i Jacka Trznadla, Wojciecha Ziemińskiego, Janusza Zawodnego i Janusza Kurtyki, Piotra Gontarczyka i Sławomira Cenckiewicza, Jana Żaryna i Leszka Żebrowskiego. Naprawdę wstyd, że pozwoliliśmy Nagrodzie im. Jerzego Łojka na obumarcie. Jej reanimacja powinna być traktowana jako nasz obowiązek i powinność wobec dzieła i Pana Jerzego, i Pani Bożeny.

FAŁSZYWE KOLEŻEŃSTWO

Autor „Upadku Konstytucji 3 maja” i „Szans powstania listopadowego” nigdy nie dostał nominacji profesorskiej. „Zawdzięczał” to przede wszystkim swoim „kolegom” z cechu historyków, bardzo mu niechętnym. Choć odpowiedni wniosek został złożony już w 1974 r., to Biuro Kadr Naukowych i Spraw Osobowych Polskiej Akademii Nauk przez lata całe czekało na opinię Wydziału Nauki KC PZPR, której – oczywiście – nigdy nie otrzymało. To wystarczyło, by sekretarz naukowy PAN, a był nim wtedy prof. Jan Kaczmarek, nie



Jerzy Kłosiński
„HISTORYK NA
TROPIE ZDRADY
ELIT. RZECZ
O JERZYM ŁOJKU”
LTW 2021

zgrabnie nawet piszący, co łąskawie przyznawali, publicysta. I sami mogli oddawać się pisaniu kolejnych książek o Bierutach, Gomułkach i Jaruzelskich.

A jakie były ulubione postacie historyczne Jerzego Łojka?

„W wieku XVIII – powiedział w wywiadzie, który ukazał się już po jego śmierci w »Zeszytach Historycznych« i »Przeglądzie Katolickim« – cenię najwyższej przywódce stronnictwa patriotycznego na Sejmie Czteroletnim, Ignacego Potockiego, który prowadził kraj ku reformie ustrojowej w ścisłym związku z zabezpieczeniem bytu Rzeczypospolitej przez układy międzynarodowe istotnie dla Polski korzystne (zbliżenie do »potrójnego przymierza« Anglii, Prus i Holandii). Nawet w momencie klęski Potocki umiał godnie reprezentować sprawę narodową: w listopadzie 1794 roku, po »rzezi Pragi«, udał się osobiście do obozu gen. Suworowa, aby pertraktować o dalszy los sprawy polskiej, co przypłacił paroletnim więzieniem w Petersburgu. Był w ramach idei federacji europejskiej twórcą przymierza polsko-pruskiego w 1790 r. Człowiek z wielką, dalekosiężną

Autor „Upadku Konstytucji 3 maja” i „Szans powstania listopadowego” nigdy nie dostał nominacji profesorskiej. „Zawdzięczał” to przede wszystkim swoim „kolegom” z cechu historyków, bardzo mu niechętnym

podejmował w sprawie docenta Łojka żadnych kroków, jako że „brak opinii traktowany był przez administrację PAN za formę opinii negatywnej”. Karnawał Solidarności trwał za krótko, by tę żenującą sytuację wreszcie wyprostować. Później jeszcze hucpiarstwem wykazał się kolejny „kolega” z branży historyków, sam przewodniczący Rady Państwa Henryk Jabłoński, który orzekł, że Rada Państwa nie mogła rozpatrywać sprawy ewentualnej profesury dla niepokornego historyka, gdyż nie otrzymała odpowiedniego wniosku od premiera. Do śmierci Jerzego Łojka nic się w tej materii nie zmieniło.

A historycy, „branżyści” tylko zacierały ręce z uciechy, że wszechwładna partia pokazała ich nazbyt śmiałości „koledze” właściwe miejsce w szeregu. Orzekli, że z Łojka jest żaden naukowiec, co najwyższej

wizją włączenia Polski do jednoczącej się Europy. Z XIX wieku: ks. Józef Poniatowski, który umiał dla przyszłości kraju zginąć świadomie na polu bitwy pod Lipskiem 19 października 1813 r. W wieku XX cenię oczywiście najwyższej Józefa Piłsudskiego. Z historii zupełnie najnowszej nie widzę kandydatów do trwałej wielkości dziejowej”.

A w gorącym roku 1981 w liście do Władysława Żeleńskiego, bratanka Boya (wybór tej korespondencji włączył Jerzy Kłosiński do swej książki), pisał: „Obym okazał się złym prorokiem, ale boję się, że mało kto umie sobie dzisiaj wyobrazić, w jakiej roli i w jaki sposób będzie kończył swoją karierę »ojca narodu« p. Lech Wałęsa”.

Rzeczywiście, miał Jerzy Łojek zdolności profetyczne.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

W kotle Kurlandii

W połowie lat 80. zespół okrętów amerykańskiej marynarki wojennej odwiedził Kilonię. Miał to być pokaz siły NATO i sposób na dalsze scementowanie sojuszu między Stanami Zjednoczonymi a Republiką Federalną Niemiec. Jedną z osób zaproszonych do zwiedzenia okrętów był pewien starszy pan, niejaki Gottlob Bidermann.

Bidermann, gdy otrzymał zaproszenie, powiedział krótko: „Czterdzieści lat za późno!”. O co chodziło? Otóż Bidermann w trakcie drugiej wojny światowej był oficerem 132. Dywizji Piechoty Wehrmachtu. Jego oddział w 1945 r. znalazł się w kotle kurlandzkim. Znajdujące się tam niemieckie siły zostały odcięte od reszty armii i – oddalone o setki kilometrów na wschód od Berlina – walczyły z Sowietami do samego końca wojny.

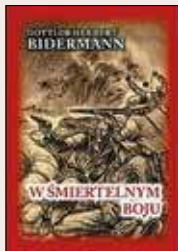
Wśród żołnierzy dywizji rozeszła się wieść, że Amerykanie przyślą do Kurlandii swoje okręty, żeby ewakuować ich na Zachód. Celem operacji miała być dalsza wspólna walka Niemców i Amerykanów przeciwko Armii Czerwonej... Oczywiście była to niedorzeczna plotka.

Zmagania w kotle kurlandzkim przeszły do legendy. Walki cechowała

niezwykła zaciętość. Warunki, w których walczyli niemieccy żołnierze, były zatrważające. Jednym z najciekawszych świadectw tej bitwy są barwne wspomnienia Bidermanna „W śmiertelnym boju”.

„Dokładnie o szóstej rano w sektorze naszej dywizji rozpętało się piekło – pisał. – Niewiarygodny, szalejący szkwał ognia zwałił się na okopy. Gniazda karabinów maszynowych, umocnienia ziemne, schrony bojowe waliły się w chmurach dymu i pyłu. Ziemia trzęsła się, wyła, dźwigała się w górę i zapadała. Bunkry rozsypywały się, okopy znikwały. Niewidzialna, nieosiągalna siła w szale ognia orała ziemię, węsząc w mroku bitwy za naszym schronieniem.

Ranni wyli w agonii i czekając na pomoc lekarza, rzucali się dziko na ziemi. Sanitariusze pracowali jak szaleni. Dudnienie silników narastało i w przetaczającym się grzmocie wybuchów bezbłędnie rozpoznałem zgrzytanie sowieckiego T-34. »Czołgi! Czołgi!«”.



★★★★★

GOTTLÖB
BIDERMANN
„W ŚMIERTELNYM
BOJU”
FUNDACJA
HISTORIA.PL

Autor rozpoczął opowieść latem 1941 r., od momentu ataku Niemiec na ZSRS. Opisuje walki na Krymie i zdobycie Sewastopola. Triumfy, a potem klęski Wehrmachtu. Bidermann był kilkakrotnie ranny. To, że przeżył tyle lat na froncie wschodnim, graniczy z cudem. ©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Premier Ignacy Jan Paderewski

Drugi gabinet odrodzonej Polski, Jędrzeja Moraczewskiego, upadł w wyniku operetkowego zamachu stanu. W nocy z 4 na 5 stycznia 1919 r. grupa prawicowych spiskowców kierowana przez płk. Mariana Żegotę-Januszajtisa i księcia Eustachego Sapiechę aresztowała premiera i kilku ministrów. Sytuacja została

matyką niepodległościową, prowadząc jednocześnie akcję konsolidacji Polonii.

Kiedy wojna dobiegła końca, Paderewski uznał, że jego misja w USA uległa zakończeniu. Nie myślał o karierze zawodowego polityka. Chciał włączyć się w prace przy odbudowie niepodległości, wiedząc, że jego kontakty i renoma na arenie międzynarodowej będą wyjątkowo przydatne. W tym czasie w Warszawie przebywała Amerykańska Misja Żywnościowa. Przewodził jej Herbert Hoover, który ćwierć wieku wcześniej, jeszcze jako student Uniwersytetu Stanforda, miał okazję osobiście poznać Paderewskiego. Wraz z kolegą postanowili wówczas zarobić trochę na nauce, organizując dodatkowo koncert wirtuoza w San Jose. Zaofiarowali pianiście pokrycie wszystkich kosztów i honorarium w wysokości 2 tys. dol. (ok. 61 tys. dzisiejszych).

Brak odpowiedniej reklamy i niewłaściwy termin (tuż przed Wielkanocą) spowodowały, że przychód wyniósł zaledwie tysiąc dolarów. Zrozpaczeni studenci zaproponowali Paderewskiemu odpracowanie deficytu w ciągu kilku lat, ale artysta znalazł kompromisowe rozwiązanie. Organizatorzy mieli pokryć wszystkie koszty, a z pozostałych pieniędzy zatrzymać dla siebie 20 proc. (sam zadowolili się symboliczną kwotą). Hoover przekonał się o bezinteresowności pianisty i uzależnił pomoc amerykańską od desygnowania Paderewskiego na stanowisko premiera. I nibawem tak się stało. ©

Naczelnik miał doskonałego kandydata na premiera

opanowana po kilku godzinach, a zamachowcy stanęli przed Naczelnikiem Państwa. Piłsudski zwymyślał ich w Belwederze i kazał rozejść się do domów. Przywódcy rebeliantów mieli zresztą zrobić kariery w służbie państwowej; Januszajtis awansował na generała, a Sapieha został posłem w Londynie.

Naczelnik był zadowolony z próby zamachu. Umożliwiło mu to dymisję rządu, a miał doskonałego kandydata na premiera. Polaka, którego znał i podziwiał cały świat, gorącego patriotę, posiadającego fantastyczne kontakty wśród najwybitniejszych polityków. Był nim pianista i kompozytor Ignacy Jan Paderewski. Lata pierwszej wojny światowej artysta spędził w większości w USA, gdzie oddał ogromne zasługi dla sprawy polskiej. Przyjmowany na salonach miejscowych polityków podnosił proble-



MAMA, TATA I ZWIERZĘ

W ubiegłym tygodniu w Hiszpanii weszły w życie nowe regulacje prawne dotyczące zwierząt. Zgodnie z nimi zwierzę domowe uznawane jest za pełnoprawnego członka rodziny. Przepisy regulują m.in. sytuację zwierząt w przypadku rozvodu właścicieli. Sąd będzie ustalał np., czy obie strony mają prawo do opieki nad pupilem i jak ma ona wyglądać oraz kto pokrywać będzie koszty żywienia czy leczenia. Zwierzęta od teraz mogą też być ujmowane w testamencie. Jeśli właściciel nie określi tam losu podopiecznego, to sąd odda go spadkobiercom albo zdecyduje o innym jego losie.

FOT. ADRIAN STOK

ORANGUTAN I TYGRYS ZASZCZEPIONE

W Chile, w ogrodzie zoologicznym w stolicy kraju, przeprowadzono akcję szczepienia przeciw COVID-19. Nie pracowników, ale zwierząt. Zaszczepiono trzyletniego tygrysa bengalskiego oraz orangutana. Oprócz nich dawkę eksperymentalną dostały też trzy pumy, trzy lwy oraz dwa inne tygrysy. Wszystko po to, by „chronić najcenniejsze zwierzęta” oraz przekonać się, czy eksperymentalna szczepionka, która nie ma jeszcze nawet oficjalnej nazwy, rzeczywiście działa.

SZOPKA Z FALLUSAMI

W Hiszpanii jedna z cukierni w Andaluzji z okazji świąt przygotowała świąteczny wystrój w witrynie. Właściciele biznesu zrobili bożonarodzeniową szopkę, w której zamiast postaci świętych czy pastuszków umieścili trzy wypieki w kształcie męskich narządów płciowych. Przedstawiciele partii VOX w Sewilli zgłosili to jako obrazę uczuć religijnych. Sąd niczego takiego się nie dopatrzył i sprawę umorzył.

POLICJA BEZ PALIWA

W Portugalii ograniczono do minimum samochodowe patrole policji. Tamtejszy Trybunał Obrachunkowy (TdC) nie wyraził zgody na zawarcie przez resort spraw wewnętrznych umowy na zakup paliwa dla policji z firmą Galp na jej stacjach paliw. Związek zawodowy portugalskich policjantów zaapelował do miejscowego MSW o natychmiastowe zapewnienie paliwa do radiowozów i zaznaczył, że to „zagrożenie bezpieczeństwa publicznego”.

UPADŁA GWIAZDA BIZNESU

Elizabeth Holmes miała być drugim Steve'em Jobsem. Bo podobno opracowała rewolucyjny test krwi. Została jednak uznana za winną zmywu w celu oszukania inwestorów oraz defraudacji blisko 50 mln dol. (w start-up zainwestował wówczas m.in. były szef Pentagonu). W ubiegłym tygodniu sąd w San Jose uznał ją za winną czterech z 20 zarzutów. Grozi jej do 20 lat więzienia. © © **Łukasz Zboralski**



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Wielka Rezygnacja

Miliony ludzi w różnych częściach świata rzucają dotychczasowe posady, nawet jeśli akurat nie mają żadnej innej propozycji. Koronawirus i zawirowania gospodarcze uświadomiły im, że nie mają ochoty harować od rana do nocy, wykonując zadania, które nie dają im wielkich pieniędzy ani wielkiej satysfakcji. Tylko we wrześniu ubiegłego roku w samych USA zrezygnowało z pracy aż 4,4 mln osób. Trend ten widoczny jest również w najnowszych danych Departamentu Pracy. W listopadzie robotę rzuciło 4,5 mln Amerykanów, czyli 3 proc. siły roboczej. Tak

wielu rezygnacji z zatrudnienia nie obserwowano w tym kraju nigdy w ciągu ostatnich dwóch dekad. A w czasach kryzysów gospodarczych wahał się on w granicach 1,3 proc. (podczas recesji w latach 2008–2009) i 1,6 proc. (gdy w marcu 2020 r. wielu pracowników obawiało się o swoją przyszłość).

Pracę rzucają pracownicy z wielu branż: od ochrony zdrowia poprzez nowe technologie, gastronomię, do hotelarstwa czy transportu. Część pracowników porzuciła pracę ze względu na postawę pracodawców, niepotrzebnie zmuszających ich do przychodzenia do biura, skoro mogą pracować zdalnie. Inni

rezygnowali, bo nie zgadzali się na przymus szczepień.

Skutek: tylko w USA czeka 10,6 mln wakatów. Tymczasem potencjalni pracownicy rozważają swe życiowe priorytety. Wielu kompletnie zmienia branżę. Inni żyją wyłącznie z zysków na giełdzie lub z pieniędzy ze sprzedaży drogiego domu. Wzrosło też tempo przechodzenia na emeryturę.

Zjawisko zwane Wielką Rezygnacją obserwuje się w Australii, Wielkiej Brytanii, Niemczech, a nawet w Chinach. Jeśli trend ten potrwa dłużej, to może trwale zmienić rynek pracy. Same podwyżki płac to już dla wielu za mało. © ©

RYSZARD GROMADZKI: Czy wobec agresywnej polityki Rosji, zdominowania Unii Europejskiej przez Niemcy i ograniczenia amerykańskiej obecności w Europie wchodzimy w nowy rok z wyzwaniem w postaci realnej obrony polskiej niepodległości?

RYSZARD CZARNECKI: W polityce międzynarodowej nowy rok nie oznacza automatycznej cezury, jest ciągłość, czas biegnie inaczej. Jeżeli mówimy o agresywnych tendencjach w polityce Rosji czy budowie europejskiego superpaństwa pod batutą Niemiec, to nie rozkładamy tego na czas od – do w kolejnych latach. Tak samo, gdy mówimy o osłabieniu przywództwa Ameryki, związanego z fatalnym sposobem wycofania się z Afganistanu czy też bardzo małą aktywnością 46. prezydenta USA Josepha Robinette’a Bidena na arenie międzynarodowej oraz jego swoistą bezradnością w relacjach z Rosją. Ta ostatnia jest być może spowodowana wspomnieniem nieszczęsnego „resetu” w stosunkach z lat 2008–2012, a więc z pierwszej kadencji tandemu Obama-Biden.

Takim zimnym prysznicem dla demokracji może być ewentualna agresja Rosji na Ukrainę?

Albo będzie to pobudka, albo przeciwnie – nasilą się tendencje do swoistego appeasementu, czyli Biden wejdzie w buty premiera brytyjskiego Neville’a Chamberlaina, który w drugiej połowie lat 30. zaczął ustępować Niemcom w nadziei, że Hitler zadowolony się zajęciem Austrii, później Czechosłowacji. Jak to się skończyło, wiemy.



Z Ryszardem Czarneckim, europosełem PiS

rozmawia Ryszard Gromadzki

Zmora pacyfizmu

Pamiętamy słynny gest z białą kartką, którą wymachiwał Chamberlain na lotnisku w Londynie po powrocie z konferencji w Monachium w 1938 r., twierdząc: „Mamy pokój”, a skończyło się wojną światową...

To przykład głupiego anglosaskiego pacyfizmu, którego widmo może krążyć gdzieś nad Białym Domem, choć mam nadzieję, że lobby wojskowe, a właściwie lobby przemysłu militarnego i Pentagon będą kierować politykę amerykańską na dobre tory. Pozytywnym sygnałem jest ostatni kompromis, który zawarto w amerykańskim Senacie, gdzie republikanie po długich oporach zgodzili się na nominację 30 demokratycznych ambasadników, w tym m.in. Marka Brzezinskiego na ambasadora USA w Polsce, za cenę sankcji wobec Rosji za Nord Stream 2. Ta decyzja o sankcjach ma być podjęta najpóźniej 12 stycznia.

Ale to sankcje wobec Rosji czy również wobec Niemiec? Czy Ameryka pod rządami demokratów rzeczywiście oddała kontrolę nad Europą Środkowo-Wschodnią Niemcom?

To bardzo dobrze zadane pytanie. Po- wiem wprost: Biden jest najbardziej proniemieckim prezydentem USA od czasów George’a Walkera Busha juniora. Jak widać, te proniemieckie tendencje są niezależne od barw politycznych, bo przecież polityczna dynastia Bushów to republikanie. Myślę, że ekipa demokratów po pierwsze odreagowuje erę Trumpa i wystawia rachunek tym wszystkim krajom, które nadmiernie – ich zdaniem – zainwestowały w Trumpa. Nie mówię nawet o Polsce, ale o Francji, gdzie Macron postawił na dobre relacje z administracją republikańską, co przez niektórych było uznawane za paradoks, a przez innych za zdradę lewicowo-liberalnych wartości. Przypomnę, jak Donald Trump z pompą witął Macrona i francuską pierwszą damę w swojej rezydencji na Florydzie, a jednocześnie, jak chłodno potraktował kanclerz Merkel podczas jej roboczej wizyty w Waszyngtonie.

Nie wspominając o szczycie G7 w Hamburgu. Pamiętamy te transparenty adresowane do Donalda Trumpa: „Witaj w piekle”. To było charakterystycznym kontrastem wobec przyjęcia Trumpa dzień wcześniej w Warszawie.

To prawda. Przy niesłuchanie – przyznajmy – rozwinętem ego prezydenta Trumpa te nieklamane, niearanżowane, tylko wynikające z odruchu serca gościnność i życzliwość Polaków podczas wizyty Trumpa u nas, bezpośrednio poprzedzające szczyt w Hamburgu, zderzyły się z niechęcią, a nawet wrogością w Niemczech, a więc w kraju, z którego pochodzili jego przodkowie. To bardzo nam pomogło.

Wracając do pytania, myślę, że dobrze znający Europę sekretarz stanu Antony Blinken powinien inaczej stawiać amerykańskie priorytety niż za czasów Obamy, który Europy nie rozumiał, nie przepadał za nią, koncentrując się na Azji i na Afryce, skąd pochodzili jego przodkowie, i tak naprawdę Europę lekceważył, mając w nosie i Pokojową Nagrodę Nobla, i egzaltację europejskich elit. Teraz USA będą bardziej dowartościowywały Europę, tyle że obecnie Białe Dobre doskonale wie, gdzie – cytując Kissingera – należy dzwonić. Dzwoniąc do Europy, trzeba dzwonić do Berlina. A to oznacza problemy nie tylko dla sąsiadów Niemiec.

Czy agenda nowego niemieckiego rządu kanclerza Scholza jest niebezpieczna dla Polski?

Jestem stanowczo przeciwny demonizowaniu nowego niemieckiego rządu, co czasem dzieje się w moim obozie politycznym czy – szerzej – w obozie niepodległościowym.

Czyli odrzuca pan formułę IV Rzeszy?

Nie zgadzam się z tezą „Dobra Merkel, a wszystko, co po niej, to już dramat”. Uważam, że należy co najmniej pragmatycznie podejść do nowego gabinetu w Berlinie. Po pierwsze, stanowi on pewną kontynuację niemieckiej polityki, bo przecież Olaf Scholz był wicekanclerzem.



TO: ADAM CIESZYŃSKI/PIK

rzem w rządzie pani Merkel. A po drugie, po prostu trzeba na zimno analizować agendę nowego rządu, dostrzegając niewątpliwe minusy, a także plusy.

Minusy to ostry kurs na federalizację i przyspieszenie integracji europejskiej, co oczywiście w naturalny sposób będzie Niemcy konfrontować z Polską. Nasz kraj, podobnie jak Węgry czy Słowenia, a wcześniej Wielka Brytania, opowiada się za Europą Narodów. Widzę też spore niebezpieczeństwo, jeśli chodzi o politykę energetyczną i klimatyczną gabinetu Scholza. Po pierwsze, w rządzie są Zieloni, którzy podchodzą do tego bardzo ideologicznie, a po drugie, tak naprawdę agenda SPD w tej kwestii niewiele się różni od Zielonych. Oczywiście dostrzegam też niebezpieczeństwo, które już wcześniej występowało, a teraz może być zintensyfikowane, czyli pouczenie Polski odnośnie do demokracji i praworządności, bo wydaje się, że obecne pokolenie niemieckich polityków zapomniało, iż jednak „Niemcom wolno mniej”.

Dostrzegam też jednak plusy nowego rządu w Berlinie. Po pierwsze, Zieloni, którzy objęli MSZ, są jedyną tamtejszą partią realistycznie traktującą Rosję, która zarówno w tej sprawie, jak i reżim Łukaszenki mówi polską narracją. Drugi plus gabinetu lewicowo-zielono-liberalnego to z pewnością zmniejszenie nacisku na politykę historyczną, która była bardzo ważna dla CDU, a zwłaszcza CSU, co sprowadzało się do udowadniania, że Niemcy są narodem nie tyle sprawców drugiej wojny światowej, ile raczej w wielkiej mierze ofiar jakiegoś nieokreślonego nazizmu. To była konsekwentna ucieczka przed niemiecką odpowiedzialnością za zbrodnie drugiej wojny światowej.

À propos reżimów Putina i Łukaszenki, czy zdecydowany opór, który Polska dała presji migracyjnej na naszej granicy wschodniej, był zaskoczeniem dla Mińska i Moskwy?

Mógł być zaskoczeniem. Polska, czego ku mojemu zaskoczeniu się w ogóle w naszym kraju nie podkreśla, upiekła tu dwie pieczenie na jednym ogniu. Po pierwsze, pokazała, że będzie w razie, może mało realnej, ale jednak potencjalnej agresji ze strony Rosji zdecydowanie się bronić.

Dodajmy, że Rosja przed jej zaatakowaniem Ukrainę, ale też nie wykluczałbym w przyszłości agresji na dwa kraje bałtyckie z trzech, czyli Łotwę i Estonię. Łotwę tym bardziej, że połowa jej populacji to ludność rosyjskojęzyczna.

Taką postawą wobec inwazji migrantów, inspirowanej przez Łukaszenkę i Putina, Polska pokazała i Mińskowi, i Moskwie, że będzie się bronić. Niestety, także opozycja w Polsce pokazała, że odgrywa w tym białorusko-rosyjskim scenariuszu rolę politycznych idiotów, jeżeli nie piątej kolumny. Zwracam uwagę na to, że znaczące nasilenie ataku na Polskę – dwa i pół razy więcej prób nielegalnego naruszenia granicy – nastąpiło w czasie, kiedy intensywność presji wobec Litwy i Łotwy zmniejszyła się dwukrotnie. A z czego to wynika? Opozycja w obu tych krajach w tej sprawie w stu procentach opowiedziała się za swoimi rządami. Wilno i Ryga pokazały narodową solidarność, jedność, a niestety w Warszawie opozycja dała popis politycznego dyletanctwa, atakując rząd w czasie, gdy był on atakowany przez wschodniego satrapę. Działając w ten sposób, opozycja zaprosiła Białoruś i stojącą w jej cieniu Moskwę do skoncentrowania agresji na granicy z Polską.

Ostatnie badania opinii publicznej są drugo-czące dla tej części opozycji, której działania w sprawie kryzysu migracyjnego na granicy wschodniej wpisują się w scenariusz Mińska i Moskwy.

Co z tego, że opozycja na tym traci w wymiarze wyborczym, kiedy Polska na tym traci w wymiarze międzynarodowym, bo zachęca dyktatorów z Mińska i Moskwy do zwiększania agresji na nasz kraj? Jest jeszcze druga strona medalu, czyli kwestia migrantów z Bliskiego Wschodu, głównie muzułmanów. Przecież Polska twardo stawiając szlaban na granicy, stworzyła czytelny przekaz, zupełnie inny niż Niemcy i Merkel przed kilkoma laty, kiedy to „herzlich willkommen” poszło w świat i było zachętą dla kolejnych setek tysięcy migrantów, żeby starać się o przyjazd do Europy, zwłaszcza do Niemiec.

To w sposób naturalny będzie zmniejszało tendencje migracyjne do Polski z Azji i Afryki, mimo że Polska jest krajem coraz bogatszym. Uważam, o czym się u nas za mało mówi, że polskie władze twardo broniąc granicy Rzeczypospolitej, kupują bezpieczeństwo nie w perspektywie roku, dwóch czy pięciu lat, lecz w perspektywie lat 40–50, ponieważ bardzo duża część sprawców zamachów terrorystycznych w Europie Zachodniej, Północnej i Południowej to nie migranci czy uchodźcy z ostatnich lat, tylko dzieci, a nawet wnuki imigrantów. Polska, nie wpuszczając tych migrantów nasłanych przez Łukaszenkę zapewne z inspiracji Moskwy, de facto ku-

puje sobie brak konfliktów społeczno-religijno-kulturowo-cywilizacyjnych związanych z imigrantami w perspektywie kilku dekad i znacząco zmniejsza możliwość zamachów terrorystycznych w przyszłości.

Jednocześnie coraz mocniej borykamy się ze skutkami kryzysu energetycznego. Czy nie stanowi on największego realnego zagrożenia dla niepodległości Polski?

Trzeba nazwać rzecz po imieniu, bez owijania w bawełnę. Wzrost cen energii w Polsce i całej UE to w olbrzymiej mierze wina Unii Europejskiej, wina ETS i tej szalonej ideologii, która uderza w gospodarkę. Widzą to w końcu nawet francuscy liberałowie od Macrona, ostatnio ostro protestujący przeciwko „Fit for 55” towarzysza Timmermansa i Komisji Europejskiej. Polityka energetyczna Unii Europejskiej oczywiście uderza przede wszystkim w Polskę i kraje naszego regionu. Tyle że oburzanie się na nasz kraj, że „węglem stoi”, jest przykładem skrajnej hipokryzji, bo np. w Niemczech w 2021 r. to węgiel właśnie był źródłem energii numer jeden, a źródłem numer trzy był atom, mimo zamykania przez Merkel elektrowni jądrowych. Tymczasem węgiel znalazł się na „czarnej liście” UE, a są daleko idące przymiarki, aby trafił na nią także atom. Teraz Komisja Europejska, jak słyszymy w Brukseli, mocno zastanawia się nad wprowadzeniem podatków od gospodarstw domowych, ciepła systemowego i posiadania samochodów w całej Unii, zatem też w Polsce. Chodzi o kwestię ciepła systemowego. Zachęcam, żeby znalazł się nowy Aleksander Bocheński, który napisze już nie tyle drugą część „Dziejów głupoty w Polsce”, ile „Dzieje głupoty w Unii Europejskiej”. Oczywiście problem jest szerszy. Za podwyżki odpowiada także Rosja, która gra cenami energii, potęgując kryzys.

Ideologiczne zaślepienie sporej części elit Unii w tej kwestii naraża ją na ekonomiczno-finansowe ścięcie w kontekście rywalizacji z innymi kontynentami. Na to nakłada się pewna rywalizacja wewnątrz UE: „stara Unia” kontra „nowa Unia”. Polityka energetyczna i klimatyczna wykorzystywana jest jako kij bejsbolowy, który ma pokazać nowym krajom członkowskim, a przede wszystkim Polsce miejsce w szeregu. Ma nas przekonać, że Polska musi wrócić do swojego poprzedniego wcielenia, a więc wielkiego rynku zbytu i kraju „taniej siły roboczej”, jak to oni określają, bez aspiracji współzawodniczenia Unią.



Lenin umarł. Niech żyje Stalin!

Kto nie ubolewa z powodu rozpadu ZSRS, ten nie ma serca. A ten, kto chciałby jego odbudowy w dawnym kształcie, nie ma rozumu” – tę frazę Putin powtarzał wiele razy, przy różnych okazjach. Ten paradoksalny pogląd, niezależnie od tego, na ile oddaje rzeczywiste odczucia samego władcy Kremla, zdaje się wyrażać większość społeczeństwa rosyjskiego. Pokazują to kolejne badania opinii publicznej. W 2016 r., z okazji 25. rocznicy podpisania porozumień białowieskich, niezależne (dziś oficjalnie uznane za



Maciej Pieczyński

Trzy dekady po upadku ZSRS Rosjanie wciąż tęsknią za sowiecką przeszłością, choć niekoniecznie chcieliby jej powrotu. Czerwone imperium wciąż jest wielkim wzorem do naśladowania dla państwa Putina

„obcego agenta”) Centrum Lewady zapytało Rosjan o stosunek do poprzedniego systemu. 56 proc. respondentów

wyraziło żal z powodu rozpadu ZSRS. Przy czym tylko 12 proc. zgodziłoby się wówczas na jego odbudowę. Jednak

Giennadij Ziuganow, przewodniczący Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej (KPRF), składa kwiaty przy grobie Józefa Stalina z okazji jego 141. urodzin FOT. MIKHAIL TERESHCHENKO/TASS/GETTY IMAGES



dwie postawy są ze sobą sprzeczne. Nie wszystkim zapatrzonym w ZSRS brakuje czerwonego imperium. Jedni tęsknią za czerwonym, inni za imperium. Jedni nie chcą powrotu czerwonych, inni – tych jednak jest zdecydowanie najmniej – nie chcą powrotu imperium. Sowiecki mit stoi na dwóch niezależnych od siebie fundamentach komunizmu i imperializmu.

CZERWONY FUNDAMENT

Siergiej Jastrzębski, były dyplomata i współpracownik zarówno Jelcyna, jak i Putina, w wywiadzie dla dziennika „Kommiersant”, zapytany o przyczyny rosnącej tęsknoty za ZSRS, stwierdził, że ludzie z jego pokolenia (rocznik 1953), a szczególnie 20 lat starsi, zostali przez poprzedni system „zainfekowani socjalnym infantyлизmem”. „To ludzie, którzy przyzwyczaili się do życia na koszt państwa. Nie udało im się dostosować do nowej rzeczywistości. Bardzo trudnej rzeczywistości” – tak Jastrzębski tłumaczył prosowieckie sentymenty swoich rodaków. Ponadto w jego ocenie za ZSRS szczerze tęsknią najbiedniejsi, a to dziś bardzo duża grupa – ok. 20 mln Rosjan żyje na skraju ubóstwa. Z kolei wśród młodzieży, zdaniem Jastrzębskiego, sympatia do Związku Sowieckiego wynika z nieznamościi historii oraz akcentowania w przestrzeni publicznej jasnych stron poprzedniej epoki.

Wywiad jest jednym z odcinków projektu pod nazwą „30 lat bez ZSRS”. W innej rozmowie z tego cyklu rzecznik praw przedsiębiorców przy prezydencie Rosji Borys Titow stwierdził: „Społeczeństwo skręca w lewo. Albo samo skręca w lewo, albo jest »skręcane«”. Titow miał na myśli lewicę gospodarczą, bynajmniej nie światopoglądową. Diagnoza, którą przedstawił na łamach „Kommiersanta”, jest dla wolnego rynku w Rosji bardzo pesymistyczna. „Większość uważa, że państwo jest bardziej efektywne, a biznes kradnie, rabuje, bo biznesmeni jak zawsze myślą o własnej skórze, a nie o narodzie” – ocenił. Jego zdaniem Rosja jest znowu jedną nogą w ZSRS. Spór polityczny o kształt kraju toczy się zaś pomiędzy centrolewicową władzą a lewicowymi radykałami. Częścią winy za tę sytuację obarczył Aleksieja Nawalnego, który podczas wyborów regionalnych, w ramach tzw. mądrego głosowania (czyli głosowania na każdego kandydata spoza partii władzy), popierał między innymi polityków z Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej. Radykalizm

opozycjonisty doprowadził do sytuacji, w której na scenie politycznej brakuje dziś siły mogącej przynajmniej próbować bronić wolnego rynku. Władza natomiast prześladowa już nie tylko potężnych oligarchów, lecz także nawet drobnych biznesmenów. Nie tyle po to, aby wyeliminować swoich potencjalnych przeciwników, ile raczej po to, aby przypodobać się „ludowi” (ros. narod), który tradycyjnie już nienawidzi „wyzyskiwaczy”. Titow opowiada w wywiadzie o tym, jak trudno jest dziś w Rosji bronić praw przedsiębiorców.

Przy czym korzenie ludowej nienawiści do „klas posiadających” sięgają głębiej niż tylko do siedmiu dekad komunizmu. Oczywiście Sowietów tę nienawiść podsycał i za pomocą państwowego terroru z „wyzyskiwaczami” się rozprawiali. Jednak różnie rozumiany antyelitaryzm od wieków jest bardzo istotną cechą mentalności rosyjskiej. Dobrze oddaje to wyświechtana, ale wciąż celna formuła „dobry car – źli bojarzy”. Władca i lud zawsze znajdowali porozumienie ponad głowami elity, która w efekcie była o te głowy skracana. Upraszczając – w buty bojarów, których mordował Iwan Groźny, za XIX-wiecznego caratu weszli prozachodni inteligenści, za bolszewików – najpierw arystokracja, potem bogatsi chłopci, wreszcie: sami „starzy bolszewicy”, likwidowani przez Stalina. A za Putina – początkowo oligarchowie, dziś coraz częściej także zwykli przedsiębiorcy.

Obok prawosławia i samodzierżawia jedną z trzech głównych idei, czczonych oficjalnie w Imperium Rosyjskim, była ludowość. Pierwsze na świecie państwo, podbite przez komunistów, jeszcze przed rewolucją było państwem co prawda nie robotniczym, ale jednak chłopskim. Nawet rosyjscy konserwatyści, włączając się z nienawidzącym rewolucjonistom Fiodorem Dostojewskim, odrzucali kapitalizm i w ludzie widzieli przyszłość kraju. Antyindywidualizm i kolektywizm, wyrosłe po części z prawosławia, po części z rodzimego, konserwatywnego socjalizmu, nie zostały zadekretowane przez Lenina – raczej przejęte i doprowadzone do zbrodniczej skrajności.

Trudno się zatem dziwić, że „czerwony” komponent sowieckiego spuścizny wciąż ma tak duże znaczenie. Jeden z najważniejszych kremłowskich propagandystów, Władimir Sołowiow, stwierdził kiedyś, że w kraju o tak surowym klimacie kapitalizm nigdy nie miałby racji bytu, ■

nostalgia za czerwonym imperium systematycznie rośnie. W analogicznym sondażu, przeprowadzonym w marcu 2020 r., odsetek Rosjan ubolewających nad rozpadem ZSRS wynosił już 65 proc., a zgodę na jego ewentualną odbudowę wyraziło aż 28 proc. Dodatkowo 58 proc. pytanym opowiedziało się za „odrębną drogą” (ros. osobyj put’) Rosji, a tylko 10 proc. zadeklarowało poparcie dla zachodnioeuropejskiej drogi rozwoju.

Dlaczego Rosjanie, tęskniący za Związkiem Sowieckim, niekoniecznie marzą o jego odbudowie? Tylko pozornie te

■ gdyż bez pomocy państwa czy jakiegokolwiek wspólnoty nawet przedsiębiorczość i indywidualne talenty nie zawsze wystarczą, aby przetrwać. Szczególnie że, zgodnie z typową dla Rosjan tendencją do popadania ze skrajności w skrajność (co filozof Michaił Epsztejn tłumaczy m.in. brakiem czyścica, czyli sfery neutralnej, w doktrynie prawosławia), gdy już w Rosji zaprowadzono kapitalizm, to był to naprawdę „dziki” kapitalizm. Cytowany już Borys Titow, którego trudno posądzać o prokomunistyczne sympatie, w rozmowie z „Kommiersantem” przyznał, że prywatyzacja w latach 90. nie była uczciwa. Zamiast biznesmenów pojawili się bandyci. Zamiast wolnego rynku – samowola oligarchów.

IMPERIALNY FUNDAMENT

12 grudnia państwowa telewizja Rossija 1 wyemitowała film dokumentalny o rozpadzie ZSRS pt. „Historia najnowsza”. Twórcy przedstawili oficjalną wykładnię Kremla na temat wydarzeń sprzed 30 lat. Łączy ona wątki „czerwone” i „imperialne”, stawiając jednak akcent na tych drugich. „To był niewyobrażalny, niespotykany dotąd w całej sowieckiej i rosyjskiej historii krach. Krach gospodarki, ideologii i ludzkich losów” – informuje widzów lektor. Twórcy filmu nie tyle bronią komunizmu, ile samego państwa. Prywatyzacja była tragedią, ponieważ w efekcie za bezcen wyprzedany został majątek narodowy. Co gorsza, kupowali go często Amerykanie. A w reformach „pomagali” agenci CIA – oczywiście w interesie Waszyngtonu, który chciał pognębić Moskwę. Reżyser Andriej Kondraszow bardziej niż nad biedą zwykłych obywateli, nieprzystosowanych do transformacji ustrojowej, rozczula się nad upadkiem przemysłu zbrojeniowego. Pada symboliczne stwierdzenie, że produkcję najwyższej jakości sprzętu wojskowego zamieniono na produkcję Pepsi. Pierestrojka była złem, które dobiło sowiecką gospodarkę. Puczyści, którzy w sierpniu 1991 r. próbowali zatrzymać upadek ZSRS, mieli dobre intencje, ale im nie wyszło. Jelcyń to buntownik, a Gorbaczow zniszczył stary system, a nowego nie zbudował.

Najwięcej uwagi Kondraszow poświęcił nie gospodarce, lecz polityce i geopolityce. Ogłaszanie suwerenności przez kolejne republiki sowieckie przedstawione zostało jako tragiczny w skutkach i krwawy rozpad wielkiego, wspaniałego państwa. Żołnierz,

Gdy w 2000 r. Putin został prezydentem, jedną z jego pierwszych decyzji było przywrócenie sowieckiej melodii hymnu państwowego

który pod koniec lat 80., pełen entuzjazmu, zaczął służyć w NRD, po powrocie do domu nie poznał swojej ojczyzny – taka była bieda. „Kraj się rozpada!” – krzyczy z trybuny Aleksandr Sołżenicyn, wielki antykomunista, ale też zwolennik silnej, imperialnej Rosji. Lata 90. okiem kamery Kondraszowa to czas wielkiej smuty – chaosu, przestępczości, biedy, amerykańskich wpływów. Na szczęście pojawia się silny lider, który zaprowadza porządek. Putin „zaczął proces zbierania”, chciałoby się dodać: „ziem ruskich”.

Władca Kremla jest oczywiście jednym z głównych bohaterów dokumentu. Opowiada o tym, jak dla niego osobście trudne były „lichyje diwianostyje” („złe lata 90.”) – dorabiał nawet jako taksówkarz. Na pytanie Kondraszowa o stosunek do rozpadu ZSRS odpowiada: „To była dla mnie tragedia, podobnie jak dla większości Rosjan. Państwo straciło 40 proc. terytorium, mocy produkcyjnych i ludności. To był rozpad historycznej Rosji. Utraciliśmy to, co wypracowaliśmy przez tysiąc lat”. Rozpad ZSRS był dla niego nie tyle ustrojową, ile – zgodnie z jego własną, słynną frazą – geopolityczną katastrofą. Nie trzeba wracać do komunizmu, wystarczy centrolewicy, w dużej mierze konserwatywny (bo niemający nic wspólnego ze światopoglądowym lewactwem) pseudosocjalizm, w którym uwielbiana przez lud władza może się bogacić, ale przedsiębiorcy już nie, bo to wyzyskiwacze. Nie trzeba też brać na sztandary Lenina – to przecież rewolucjonista, który zniszczył potężny kraj, a potęgi nowego kraju jeszcze nie zdążył zbudować. Wypisz wymaluj Gorbaczow. Dlatego Putinowską Rosją nie rządzi już trumna Lenina, tylko trumna Stalina, któremu hołd oddaje się coraz śmieiej. Putin wciąż nie śmie wprost tego hołdu oddać, ale jednak broni „czerwonego cara” przed porównaniem go z Hitlerem.

Coraz częściej zbrodnie stalinowskie są wybielane. A już „polityka zagraniczna” Stalina wychwalana jest bez żadnego skrupowania. To Stalin jest dziś „wiecznie

żywy” – bo po rewolucyjnym chaosie zaprowadził porządek, a potem pokonał Hitlera (czyli Zachód) i przesunął granice czerwonego imperium daleko na – nomen omen – zachód właśnie. Putin i większość Rosjan tęsknią za potężnym państwem, którego bał się cały świat, a nie za „urawniówką”. Dlatego żadna socjalna reforma nie przysporzyła władcy Kremla takiej popularności jak aneksja Krymu, będąca dowodem mocarstwowych ambicji. Dlatego w kolejnych sondażach Rosjanie chętniej wybierają „odrębną drogę” niż zachodnioeuropejskie wzorce, które przecież w stereotypowym pojęciu kojarzą się z materialnym dobrostanem. Dlatego w Rosji polityka historyczna kręci się nie tylko wokół ZSRS. W panteonie bohaterów narodowych obok pogromców faszystowskiego smoka (religijne porównanie jest nieprzypadkowe) stoi zamordowany przez bolszewików święty car Mikołaj II. Prawosławny konserwatyzm łączy się ze stalinowskim imperializmem. Rocznicą rewolucji październikowej już dawno przestała być świętem państwowym – teraz na początku listopada, zamiast zwycięstwa komunistów, świętuje się wypędzenie Polaków z Kremla, dokonane jednak wysiłkiem ludowego powstania kupca Minina i księcia Pożarskiego. Ludowość tak, socjalna lewicowość tak, ale podłana konserwatywnym, monarchistycznym („czerwony car”) sosem.

Gdy w 2000 r. Putin po raz pierwszy został prezydentem, jedną z jego pierwszych decyzji było przywrócenie sowieckiej melodii hymnu państwowego. Jego odpowiedź na pytanie o przyczyny tej zmiany jest kwintesencją stosunku władcy Kremla i jego poddanych do ZSRS. Putin opowiedział najpierw historię kobiety z prowincji, która prosiła go, by oddał jej dawne życie, by wskrzesić czasy sowieckie. Przyznał, że czasu cofnąć nie można, bo skutki byłyby opłakane. Ale jednocześnie stwierdził, że wyrzucenie ZSRS na śmietnik historii byłoby niemoralne wobec Rosjan, którzy odczuwają tęsknotę za tamtymi czasami. Dopytywany o zbrodnie komunizmu odpowiedział: „A dlaczego nie możemy przy dźwiękach muzyki Aleksandrowa (hymnu ZSRS) wspominać zwycięstwa w drugiej wojnie światowej zamiast Gułagu?! Nie musimy tej muzyki od razu kojarzyć z najgorszymi aspektami życia w czasach sowieckich”.

TEST „DO RZECZY”: SŁUCHAWKI JABRA ELITE 7 PRO

Dobra jakość dźwięku, bardzo niska waga, możliwość ładowania bezprzewodowego, wbudowany system aktywnej redukcji hałasu z otoczenia (ANC) – to największe zalety bezprzewodowych dokanałowych słuchawek renomowanej duńskiej firmy Jabra.

Testowane słuchawki to jeden z najnowszych modeli Jabry, z założenia będącym ulepszeniem modelu Elite 75t. Minimalistyczne wzornictwo to jeden ze znaków rozpoznawczych marki. Niewielkie słuchawki wyglądają elegancko i bardziej stylowo niż poprzednie modele. Również etui ładujące – pełniące jednocześnie funkcję powerbanka – nie pozostawia wątpliwości, że trzyma się w rękach produkt klasy premium.

Niewielkie słuchawki wyposażone zostały w sześć mikrofonów, z których dwa są wykorzystywane do aktywnego tłumienia szumów z zewnątrz (ANC). Jakość dźwięku zarówno podczas rozmów telefonicznych, jak i telekonferencji prowadzonych na Zoomie czy poprzez Microsoft Teams jest bardzo dobra i zbliżona do konkurencyjnych słuchawek takich marek jak Apple czy Samsung. Przyciski sterujące są mechaniczne, ale sprawdzają się równie dobrze jak oferowane przez azjatyckich konkurentów przyciski dotykowe. Dzięki nim łatwo można przełączyć się np. z trybu aktywnego tłumienia szumów na funkcję

HearThrough, która umożliwia mikrofonom zbieranie dźwięków z otoczenia, co ułatwia użytkownikowi poruszanie się po mieście bez konieczności zdejmowania słuchawek.

Ogromnym plusem najnowszego modelu jest certyfikat IP57, co oznacza, że są już one odporne zarówno na pył, jak i na wodę. Bez obaw można je zabrać zarówno na siłownię, jak i na przełajowy bieg w deszczu. A co z dźwiękiem? Brzmienie jest żywe, choć z pewnością nie

za pomocą equalizera można dostosować szczegóły odtwarzania dźwięku do upodobań konkretnego użytkownika.

Ogromną przewagą nad wcześniejszymi modelami jest możliwość korzystania tylko z jednej, dowolnie wybranej słuchawki (w poprzednich seriach w trybie mono można było używać tylko prawej).

Deklarowany przez producenta czas pracy słuchawek na jednym ładowaniu wynosi aż osiem godzin. Korzystając z etui-powerbanka, czas słuchania bez konieczności szukania gniazdka elektrycznego można wydłużyć do 30 godzin. Etui ładować można bezprzewodowo lub za pomocą złącza USB typu C.

Minusy? Największy to brak możliwości połączenia kilku urządzeń jednocześnie. Na szczęście Jabra oficjalnie zapewnia, że jeszcze w styczniu nowa wersja oprogramowania wyeliminuje tę wadę. Do tego czasu wolalibyśmy pozostać

przy którymś ze starszych modeli duńskiego producenta. Zarówno Elite 65t, jak i 75t oraz 85t można bowiem połączyć jednocześnie np. z laptopem i ze smartfonem. Drugi minus:

tłumienie szumów mogłoby być bardziej efektywne. Poza tym słuchawki Elite 7 Pro nie mają większych wad, oczywiście poza ceną, która wynosi obecnie 799 zł. ©©

Jacek Przybylski



jest neutralne. Wokal jest wyraźny i bogaty w szczegóły. Basów jest jednak w testowanym modelu wyraźnie mniej niż we wcześniejszych produktach duńskiego producenta (np. w Elite 75t). Podobnie jak inni producenci Jabra oferuje aplikację, w której



INTELIгентNA BUTELKA

Początek roku to czas realizacji długiej listy postanowień. Ci, którzy np. chcą schudnąć lub zdrowiej żyć, postanowili pić zalecaną przez lekarzy ilość

wody, mogą ściągnąć jedną z wielu aplikacji lub kupić inteligentną butelkę. Huawei Hears ma antybakteryjne wnętrze oraz czujniki, które sprawdzają, jak często się z niej pije. Jeśli użytkownik zbyt rzadko sięga po życiodajny płyn, to butelka sama przypomni, że nadszedł czas uzupełnić wodę w organizmie. Produkt na razie jest w sprzedaży tylko w Chinach. Cena: równowartość 90 zł.

BIELIZNA ZAMIAST SIŁOWNI

Twórcy produktu o nazwie ElecSuit stworzyli wreszcie gadżet dla tych, którzy co roku marzą o pięknej figurze, ale odkryli już, że nawet częste oglądanie sportu w telewizji nie prowadzi do szybkiej utraty tkanki tłuszczowej. ElecSuit to elektrostymulujący kombinezon, który ma być szansą na poprawę sylwetki mimo zamkniętych siłowni. Produkt typu pięć w jednym wykorzystuje

technologię EMS, czyli elektronicznej stymulacji mięśni. Twórcy gadżetu zapewniają, że 20 minut w ich obcisłym kombinezonie to ekwiwalent godzinnego wyciskania potów na siłowni. Produkt oferuje 15 poziomów elektrostymulacji. Bieliznę można również połączyć z goglami VR i włączyć gry wspierające treningi. ElecSuit dostępny jest w sprzedaży na jednym z portali crowdfundingowych. T-shirt lub bokserki można kupić za 209 dol. (równowartość 843 zł), a komplet za 399 dol. (1610 zł). Producent zapewnia, że wysyłkę rozpocznie w połowie roku. ©©

Jacek Przybylski





MuĤa Ahmed, dowůda oddziału talibów w twierdzy Gardez w Paktii FOT. WITOLD REPETOWICZ

Talibowie u bram Europy



Witold Repetowicz
z Afganistanu

Młodzi talibowie, uznawani dotychczas za terrorystów, dziś upajają się radością ze zwycięstwa nad największym mocarstwem świata. Robią to przeważnie przy misce z ryżem i fasolą, bo wielu z nich na nic więcej nie stać. Euforia jednak wkrótce minie i niektórzy z nich będą szukać szczęścia w Europie

Około 20-letni talib, służący w oddziale Sultan Baby na granicy z Pakistanem w Torcham, patrzył się na mnie uśmiechnięty od ucha do ucha. „Daj mi swój telefon, bo ja jestem biedny i nie mam” – powiedział z rozbrajającą szczerością. Nie była to

próba rabunku, byłem gościem dowódcy, a gości się nie napada, zwłaszcza jeśli jest to sprzeczne z wytycznymi przywódców nowo powstałego Islamskiego Emiratu Afganistanu. Logika chłopaka, który w życiu poznał tylko swoją rodzinną, pusz-
tuńską wioskę oraz jaskinie w górach, była

dość prosta: ja nie mam, on ma, więc jak go poproszę, to może się ze mną podzieli, a Allah mu za to wynagrodzi. Jego nieco starszy kolega miał bardziej wyrafinowaną prośbę. „Załatwisz mi wyjazd do USA?” – zapytał i zaczął zapewniać, że nie chce walczyć tam z Amerykanami.

ARMIA NA KAŻDYM WESELU

„Ilu Afgańczyków chce wyemigrować?” – zapytałem Chewani Hemata, dziekana wydziału dziennikarstwa kabulskiego Uniwersytetu Bachtar. „Wszyscy” – stwierdził odruchowo, po chwili zastanowienia korygując swoją odpowiedź na „ok. 70 proc.”. Hemat nie był zdziwiony, że mudżahedin talibów pytał się mnie o możliwość wyjazdu do Ameryki. „Ci ludzie, gdy opuszczali swoje domy, by walczyć w górach w oddziałach talibów, byli spisywani przez swoje rodziny na straty. Nie zakładano, że przeżyją i będą mogli kiedyś wrócić. A teraz tak się stało i trzeba pomyśleć o ich przyszłości” – wyjaśnił. „Za kilka miesięcy, góra pół roku, będą chcieli znaleźć sobie żony, założyć własne rodziny, a to kosztuje, więc krewni będą nalegać, by zdobyli pieniądze. A jeśli nic się nie zmieni, to będzie to możliwe tylko za granicą” – dodał Hemat.

„To kłamstwo!” – zapewnił podniesionym głosem rzecznik ministerstwa obrony Anaitullah Chorezmi, odpowiadając na pytanie o to, czy prawdą jest, że talibańscy bojownicy nie dostają żołdu i ledwo mają co jeść. Chorezmi zaczął przekonywać, że właśnie tworzą profesjonalną, silną armię, która będzie świetnie wyposażona. Tyle że kilka dni wcześniej talibowie z Torcham zgodnie stwierdzili, że mięsa to na oczy nie widzieli od dawna i zapomnieli w ogóle, co to jest. Brakuje im też innych zapasów, ciepłych ubrań, koców itp. Nieco lepiej mają ci, którzy służą w dużych miastach, zwłaszcza w Kabulu. Wprowadzono bowiem zasadę, że na każde wesele może wejść oddział bojowników Emiratu, żeby się najeść.

„Poszedłem walczyć z Amerykanami, bo to był mój obowiązek wobec Allaha” – stwierdził około 30-letni Mansur z oddziału Sultan Baby. „Mieszkaliśmy wtedy w Pakistanie, dokąd moja rodzina uciekla w czasie wojny” – dodał, ignorując moje dociekania, jak zareagowali itp. „My kochamy Allaha i Koran, to dla nas najważniejsze” – podkreślił. Jego koledzy w tym czasie bawili się w to, kto szybciej rozłoży i złoży kałasznikowa, mając zasłonięte oczy.

Ot, taka prosta rozrywka. Jeden z nich, roześmiany, podniósł leżący na ziemi nóż i zrobił nim charakterystyczny ruch, jakby podcinał gardło. „To tylko żarty, on jest stuknięty” – wyjaśnił Mansur. I zaczął dopypywać mnie o doświadczenia z kontaktów z innymi talibami. „Widzicie, że wam tu nic nie zagraża. Nie jesteśmy terrorystami, tylko walczyliśmy o naszą ziemię, żeby była wolna od najeźdźców” – podkreślił.

Moje doświadczenia z talibami w czasie tego pobytu w Afganistanie rzeczywiście były pozytywne. W Kabulu uzbrojeni w kałasznikowy bojownicy nowej władzy, przeważnie długowłosi, lecz nie zawsze mający długie, charakterystyczne dla dżihadystów brody, sami podchodzili i z uśmiechem zachęcali do fotografowania ich. Nawet talibowie poruszający się na wozach bojowych czy stojący przy punktach kontrolnych nie mieli nic przeciwko temu, by robić im zdjęcia. Często pozowali, unosząc przy tym palec wskazujący do góry. To znak tawhid oznaczający ścisłe pojmowanie monoteizmu: „Bóg jest jeden”. To ten sam gest, który wykonywali terroryści Państwa Islamskiego, gdy obcinali swoim więźniom, w tym zagranicznym dziennikarzom, głowy. Bojownicy Emiratu tymczasem dbali, by takim ludziom jak ja włos z głowy nie spadł. Gdy wracaliśmy z jednego z kabulskich szpitali w środku nocy, dwóch talibów wsiadło z nami do taksówki, by nas odeskortaować do hotelu. Oczywiście nie chcieli w zamian niczego poza tym, by powiedzieć światu, że nie są terrorystami. Władzom Emiratu zależy na wizerunku i szeregowi bojownicy też o tym wiedzą. Poza tym dla młodych, niewydukowanych bojowników, których kontakt z wielkim światem ograniczony był dotąd do amerykańskich dronów polujących na nich, fakt, że przedstawiciele tego świata, z którym wojowali i który pokonali, teraz przyjeżdżają i się nimi interesują, jest po prostu nobilitujący.

WYJADĄ MILIONY?

Nie wszyscy talibowie kierowali się przy tym religijnym fanatyzmem, gdy wstępowali w szeregi oddziałów Emiratu. Sultan Baba zaczynał karierę jako oficer policji jeszcze za czasów komunistycznego reżimu Nadżibullaha i choć oficjalnie też podkreśla, że został talibem, bo woła Allaha było wypędzenie niewiernych okupantów z ziemi afgańskiej, to w prywatnej konwersacji z łezką w oku wspominał swoje relacje z Rosjankami w latach 80. Później w walkach z talibami zginęło jego

dwóch synów. „Za Karzaja nie dostałem żadnej posady, bo Amerykanom nie podobali się ci, którzy służyli u Nadżibullaha za związki z Rosjanami. To zaoferowałem swoje usługi talibom. Powiedziałem im, że będę szkolił młodych bojowników, bo mam kwalifikacje. Przyjęli mnie z otwartymi ramionami” – wyjaśnił sędziwy dowódca.

„Wtedy byliśmy w górach, teraz jesteśmy w mieście” – Muła Ahmed w prosty sposób wyjaśnił to, jak zmieniło się życie jego oraz jego ludzi po tym, jak talibowie przejęli władzę w Afganistanie. Chudy, wysoki mężczyzna, z gigantyczną, gęstą, czarną brodą, niesprawiającą wrażenia, by była kiedykolwiek strzyżona, dowodził oddziałem talibów w twierdzy górującej nad miastem Gardez, stolicą Paktii. To tu urodził się Nadżibullah, ale – co ważniejsze – to również rodzinna prowincja Dżalaluddina Hakkaniego, twórcy tzw. Sieci Hakkani, odpowiedzialnej za wiele krwawych zamachów terrorystycznych. Hakkani uważani są za radykalny nurt w szeregach talibów, skonfliktowany z bardziej pragmatyczną frakcją Muły Baradara, który prowadził negocjacje z USA. Dżalaluddin nie dożył zwycięstwa nad USA, ale jego syn Siradzuddin, za którego głowę Departament Stanu USA wciąż oferuje 10 mln dol., jest obecnie ministrem spraw wewnętrznych Islamskiego Emiratu Afganistanu. I to jego oddziały kontrolują Paktię.

„Nasi ludzie nie potrzebują żadnej dodatkowej edukacji, bo kształcili się w szkołach koranicznych” – stwierdził Muła Ahmed, zapewniając, że to w zupełności wystarczy. „Jesteśmy bardzo dobrze przygotowani do rządzenia Afganistanem” – powiedział, prezentując zdobyczny amerykański karabin M4. „Zabiłem z niego wielu Amerykanów” – podkreślił z dumą, dodając, że Amerykanów wciąż nienawidzi. „Bo zabili tylu Afgańczyków, nasze dzieci, nasze kobiety” – wyliczał, zapraszając na herbatę. Pytany, dlaczego zatem jest wobec mnie taki miły i gościnny, czy to dlatego, że jestem Europejczykiem, a nie Amerykaninem, stwierdził: „My nie chcemy teraz z nikim wojować, chcemy pokoju ze wszystkimi krajami”. Podobnego zdania był też Sultan Baba: „Nie wybaczymy Amerykanom tego, co nam robili” – podkreślał, unikając jednocześnie odpowiedzi na pytania o zamachy terrorystyczne organizowane w Europie przez sprzymierzoną z talibami Al-Kaidę. „Ale każdego, nawet amerykańskiego żołnie-

rza, powitamy w naszym kraju z otwartymi ramionami, o ile przybędzie do nas bez broni” – podkreślił.

„Bóg obdarzył ludzi czterema świętymi księgami, ale oni zmienili ich treść, więc zesłał nam Koran i on zastąpił wszystko, co było wcześniej. Wiesz o tym czy nie?” – pytał mnie okryty białą szatą kompan Muły Ahmeda, który chwilę później poprowadził modły. Jak się okazało, znał Koran na pamięć i długo śpiewał jego wersety. Dyskusja teologiczna z owym jegomościem wydawała się jednak dość ryzykowna, gdyż nie wyglądała na otwartą, na inne podejście do głoszonych przez siebie przekonań religijnych. Wspomniany M4 i liczne kałachy też nie zachęcały do wymiany poglądów na ten temat.

„Jak u was ktoś coś ukradnie, to co z nim robicie?” – dopytywał z kolei Mansur w Torham. I bardzo się zdziwił, gdy odpowiedziałem, że to zależy od rodzaju kradzieży, czasem może to być kara więzienia albo grzywna. „My robimy to, co wynika z Koranu. W sprawie mniejszej wagi smarujemy złodziejowi twarz smołą i obwozimy go po targu, każąc mu krzyczeć, że każdego, kto będzie kradł tak jak on, spotka ten sam los. A w przypadku poważniejszych spraw trzeba obciąć rękę” – wyjaśnił.

Muła Ahmed i jego ludzie spędzają czas, modląc się, czyszcząc broń, pijąc herbatę oraz patrolując twierdzę, i to jest ich całe życie. Ludzie Sultana Baby są bardziej rozrywkowi i czasem sobie potańczą. Tak właśnie świętowali zwycięstwo. Poza tym, podobnie jak niemal każdy Afgańczyk, są fanami krykieta. Tyle że ktoś im zabrał sprzęt i teraz nie mają czym grać, bo nowego nie mają za co kupić. Ich życie wciąż niewiele się zmieniło, choć od czasu ich zwycięstwa minęło już kilka miesięcy.

Na kontrolowanym przez oddział Sultana Baby przejściu granicznym stoi kilometrowa kolejka chętnych do opuszczenia Afganistanu. „Jeśli nic się nie zmieni, to za kilka miesięcy wyjadą miliony” – twierdzi Chewani Hemat. Najpierw ruszą do Iranu i Pakistanu, ale tam ich już nie chcą, więc będą się kierować dalej, do Europy. A władze Emiratu mówią, że sytuacja ekonomiczna to wina Zachodu, bo nie chce ich uznać, a USA zablokowały finanse. Wśród rozczarowanych talibów, którzy będą emigrować do nas, zapewne znajdą się i tacy, którzy tę narrację kupią i znów skierują swój gniew i frustrację przeciw Europejczykom i Amerykanom.

Koniec mieszkaniowej gorączki?



Jacek Przybylski

Gwałtownie rosnące stopy procentowe sprawiają, że mocno rosną raty kredytów mieszkaniowych, a ceny mieszkań nie rosną już wreszcie jak szalone. Czy stawki za metr zaczną teraz iść w dół? Niewykluczone, choć analitycy i inwestorzy spodziewają się raczej powolnych, ale jednak wzrostów

Na pierwszym w roku 2022 posiedzeniu Rada Polityki Pieniężnej podniosła główne stopy procentowe w Polsce. Czwarta podwyżka od października ubiegłego roku wywindowała referencyjną stopę procentową o pół punktu procentowego do 2,25 proc., a więc do poziomu najwyższego od października 2014 r. A to z pewnością nie koniec cyklu

podwyżek. Oficjalna inflacja w Polsce wyniosła bowiem w listopadzie 7,8 proc., a w grudniu (jeszcze nieoficjalnie) przekroczyła 8 proc. – jest więc bardzo, bardzo daleko od celu wyznaczonego przez polski bank centralny.

Analitycy rynkowi przewidują, że główna stopa procentowa będzie dalej rosnąć. A zdaniem niektórych jeszcze w bieżącym roku może przekroczyć poziom 3,5 proc., a być może nawet 4 proc. To zaś oznaczać będzie kolejne wzrosty rat kredytów o zmiennym oprocentowaniu, które wielu Polaków zaciągało jeszcze we wrześniu, gdy stopa referencyjna wynosiła 0,1 proc. i była najniższa w historii naszego kraju.

RATY PUCHNĄ, ZDOLNOŚĆ SPADA

Dokładne przewidywanie przyszłości gospodarczej jest oczywiście niemożliwe. Tak mocne zmiany stóp procentowych, które zaszły w Polsce w ciągu ostatniego kwartału, jeszcze kilka kwartałów temu były co prawda zapowiadane przez analityków, ale wielu spodziewało się, że tak istotne zmiany zajmą raczej trzy lata niż trzy miesiące. Dość powiedzieć, że trzymiesięczny WIBOR, który jest podstawą do wyliczania większości rat

dla kredytów ze zmiennym oprocentowaniem, wzrósł od końca września 2021 r. z 0,24 proc. do 2,56 proc. przed styczniową podwyżką stóp.

Rata kredytu hipotecznego zaciągniętego na 25 lat w wysokości 300 tys. zł wzrosła z ok. 1,3 tys. zł we wrześniu do ok. 1,7 w grudniu i do 1,8 tys. zł po styczniowej podwyżce stóp (w zależności od banku, warunków umowy kredytowej etc.). W przypadku kredytu na 600 tys. zł – przeciętna wartość mieszkania sprzedawanego w Warszawie wynosi już ponad 660 tys. zł – miesięczna rata kredytu od września do końca grudnia wzrosła z ok. 2,2 tys. zł do 2,8 tys. zł, a po styczniowej decyzji Rady Polityki Pieniężnej wzrosła do niemal 3 tys. zł miesięcznie. W podobnej sytuacji znajdują się, rzecz jasna, osoby, których kredyt oprocentowany jest według stawki bazującej na sześciomiesięcznej stawce WIBOR. Rata osoby, która zadłużyła się na milion złotych, wzrosła zaś z 4,4 tys. zł we wrześniu 2021 r. do ok. 6 tys. zł po noworocznej podwyżce stóp. Oczywiście stawka WIBOR nie musi wzrosnąć dokładnie o tyle, o ile wzrosła stopa referencyjna NBP, wyższe raty banki mogą również wprowadzić dopiero w kolejnym kwartale.



FOT. ANDRZEJ STODOLAK

mogą zareagować na zmianę sytuacji na rynku i obniżyć koszmarnie wysokie marże, zwiększając znów popyt na kredyty.

KONIEC ERY DEWELOPERÓW?

W przypadku nieruchomości zasada jest prosta: im niższe stopy procentowe, tym lepiej dla rynku mieszkań. I odwrotnie. Prawdę tę potwierdzać mogą decyzje inwestorów kupujących i sprzedających w ostatnich tygodniach akcje największych deweloperów mieszkaniowych notowanych na warszawskiej giełdzie. Ruchy cen akcji wskazują na to, że rynek spodziewa się pewnej korekty, zwłaszcza że na działalność deweloperów wpłynęło nie tylko mniejszy popyt, lecz także szybki wzrost kosztów budowy: zarówno materiałów, jak i robocizny.

Oczywiście bardzo wysoka inflacja nadal sprawia, że na rynku rekordowo wielu jest tzw. klientów gotówkowych, a więc takich, którzy próbują chronić wartość swoich oszczędności, inwestując w mieszkania, działki oraz domy, ale rynek już zaczął korygować prognozowane marże oraz zyski firm deweloperskich. Wartość indeksu WIG-Nieruchomości, który od czasu wybuchu pandemii koronawirusa solidnie zyskiwał na wartości, spadła w ciągu ostatnich trzech miesięcy o ok. 9 proc. Najwięcej straciły te firmy, które specjalizują się właśnie w rynku mieszkaniowym.

Wartość spółki HM Invest stopniała od października o ok. 35 proc. (po rocznym wzroście o ponad 130 proc.), notowania spółki Develia zniżkowały w ciągu ostatnich trzech miesięcy o 22 proc. (w ciągu roku i tak dała zarobić ok. 46 proc.), a wycena Marvipolu zmalała w tym okresie o ok. 15 proc. (choć nadal w skali roku można było na tej spółce zarobić ok. 47 proc.).

SPADKI CZY POWOLNY WZROST?

Z analiz ekspertów firmy Colliers wynika, że na przestrzeni ostatnich pięciu lat ceny mieszkań wzrosły w Łodzi o 52 proc., w Warszawie o 56 proc., we Wrocławiu o 60 proc., w Krakowie o 65 proc., a w Gdańsku o ponad 75 proc. Wielu inwestorów traktowało bowiem zakup nieruchomości jako atrakcyjną lokatę, która powinna chronić wartość nabywcy kapitału.

Według wspomnianych ekspertów firmy Colliers „wzrost cen może ostudzić krótkoterminowy popyt spekulacyjny”, choć wydaje im się, „że nie wpłynie to w istotny sposób na stawki sprzedaży

determinowane głównie przez coraz wyższe ceny gruntów i wykonawstwa”.

Zdaniem części ekspertów istnieje jednak ryzyko powtórki sytuacji z lat 2009–2011. Wówczas ceny nieruchomości runęły po tym, jak zakończył się szalony rajd na mieszkania, których rynkową wartość – niemalże niezależnie od standardu i lokalizacji – z miesiąca na miesiąc rozkręcała moda na bardzo nisko oprocentowane kredyty frankowe. Przed dekadą cena metra kwadratowego mieszkania w stolicy spadła z ok. 10 tys. zł w 2009 r. do 8 tys. zł w roku 2009.

Również w roku 2021 z rynku zniknęło praktycznie wszystko, nawet największe rudery. Klienci korzystali bowiem z niemal zerowych stóp procentowych i zapominając, że na nieruchomościach – podobnie jak na giełdzie – można nie tylko sporo zarobić, lecz także dużo stracić. „Puls Biznesu” już w grudniu informował, że w październiku rynek zmienił już kierunek, a stawki za metr kwadratowy w takich dużych miastach jak Warszawa, Kraków, Łódź, Poznań, Wrocław, Gdańsk i Gdynia pierwszy raz od dawna poszły w dół. Jeśli ci, którzy kupowali mieszkania spekulacyjnie, uznają, że to najlepszy moment na sprzedaż, to mogą zwiększyć podaż i ceny rzeczywiście spadną.

53 proc. agentów Metrohouse w przeprowadzonej w grudniu ankiecie przewidywało jednak, że w roku 2022 ceny nieruchomości na rynku pierwotnym wzrosną, 41 proc. zakładało, że utrzymają się na obecnym poziomie, a 6 proc. spodziewało się spadku. W przypadku rynku wtórnego 44 proc. ankietowanych przedstawicieli Metrohouse prognozowało utrzymanie cen, 39 proc. – wzrosty cen, a 17 proc. ich spadki.

– Wzrost stóp procentowych i docelowe obniżenie inflacji zmniejszy popyt ze strony osób, które w nieruchomościach szukały bezpiecznej inwestycji – zauważył Marcin Jański, szef sektora inwestycji mieszkaniowych i alternatywnych w CBRE. Mimo mniejszego popytu nie spodziewa się on jednak spadków na rynku nieruchomości. – Inwestorzy indywidualni w najbliższym roku nadal mogą liczyć na wzrost wartości swojej nieruchomości, ale jednocześnie przy ograniczonym popycie płynność inwestycji stanie się mniejsza. Profesjonalizacja rynku najmu oznacza też silniejszą konkurencję dla niedoświadczonych inwestorów indywidualnych – zauważa Jasiński.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Unia zniszczyła puszcę



FOT. ANDRZEJ STOLCK



Tomasz Cukiernik

„Operacja się udała. Pacjent zmarł” – to hasło idealnie obrazuje to, co z punktu widzenia Unii Europejskiej stało się w ostatnich latach z Puszcą Białowieską. Operacja się udała – bo pod unijnym naciskiem Polska zaprzestała wycinki drzew na jej terenie. Pacjent zmarł – bo doprowadziło to do katastrofy ekologicznej

W 2017 r. w celu powstrzymania kornika drukarza na terenie Puszczy Białowieskiej wycinano chore drzewa. Ekolodzy, którzy twierdzili, że karczowane są zdrowe drzewa w celach komercyjnych, rozpoczęli głośnie protesty. Do sporu przystąpiła Komisja Europejska, która dała Polsce 30 dni na ustosunkowanie się do zarzutów o naruszenie unijnych dyrektyw ptasiej i siedliskowej dotyczących ochrony środowiska. Polski rząd odpowiedział, że wycinka drzew nie jest

sprzeczna z unijnymi regulacjami i będzie kontynuowana. Pamiętam, jak w antyrządowych, lewicowych mediach, które za własne przyjęły stanowisko eurokratów, prowadzona była nagonka na tę postawę rządu. Wtedy Komisja Europejska wystąpiła przeciwko Polsce do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, który dość szybko nakazał natychmiastowe przerwanie wycinki pod groźbą kary finansowej w wysokości co najmniej 100 tys. euro dziennie. Wtedy polskie władze, wbrew zdrowemu rozsądkowi, a z obawy o te finansowe konsekwencje, postanowiły przerwać wycinkę.

Wraz z unijnym zakazem połowów dorsza na Bałtyku, nakazem zamknięcia odkrywkę węgla brunatnego w Turowie czy żądaniem zmian w kwestii Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego sytuacja w Puszczy Białowieskiej jest kolejnym przykładem na to, że członkostwo Polski w Unii Europejskiej szkodzi. Jak się okazuje, nawet w wymiarze ochrony środowiska, mimo że propagandowo Bruksela prezentuje się jako bardzo ekologiczna i chce przewodzić światu także w tym zakresie. Jeśli dalej będziemy słuchać odezwanych od rzeczywistości eurokratów i dostosowywać się do unijnych regulacji, to wyjdziemy jak Zabłocki na mydle. Czy ktoś się jeszcze dziwi, że Wielka Brytania

opuściła Unię, Islandia zrezygnowała z przygotowań do członkostwa, a Szwajcaria w ostatnim czasie odrzuciła unijne naciski i zrezygnowała z umowy ramowej, która miała zwieńczyć wieloletnie dwustronne negocjacje z Unią?

Widzimy, że przywiązanych do swojej ideologii eurokratów nie interesuje optymalne rozwiązanie danego problemu. Nieważne, że ich decyzje doprowadzą do strat w gospodarce czy w środowisku. Idą po trupach drzew, by chronić kornika drukarza. Taki przynajmniej jest efekt wygranego przez nich konfliktu z Polską o Puszcę Białowieską. Polski rząd powinien stanąć na straży lasu, ale problem polega na tym, że jako państwo jesteśmy uzależnieni od unijnych dotacji. Jeśli niekoniecznie ekonomicznie, to przynajmniej mentalnie. I niezapłacenie Unii kary finansowej orzeczonej przez TSUE może doprowadzić do wstrzymania wypłat unijnych funduszy. Tego niepotrzebnie obawiają się polskie władze, bo dotacje mają niewielki wpływ na polską gospodarkę. I jest to raczej wpływ negatywny (rozwrost sektora publicznego kosztem prywatnego, pobudzanie działań korupcyjnych). Jednym słowem – wykonywanie unijnych zaleceń to prosta droga do katastrofy nie tylko gospodarczej. Co jeszcze Unia wymyśli?

Z Józefem Kubicą, pełniącym obowiązki dyrektorem generalnym Lasów Państwowych

rozmawia Tomasz Cukiernik

TOMASZ CUKIERNIK: W jakim stanie aktualnie znajduje się Puszcza Białowieska? Czy to prawda, że w nadleśnictwach Browsk, Hajnówka i Białowieża jest krajobraz księżycowy?

JÓZEF KUBICA: Niestety, nieodpowiedzialne działania ekologów i podyktowane polityką, a nie nauką decyzje Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej doprowadziły do tego, że dla coraz większych rejonów puszczy to określenie – krajobraz księżycowy – nie jest już przesadą. Połacie lasu pozbawione żywych drzew, sterczące martwe kikuty, sterty złomów... Łamiące się drzewa zagrażają niekontrolowanymi upadkami, co jest niebezpieczne dla zdrowia i życia zwierząt, a także ludzi!

O co chodziło w konflikcie z Unią Europejską dotyczącym Puszczy Białowieskiej i jak się on zakończył?

To konflikt o sposób zarządzania Puszczą Białowieską. Trwa od lat. Początkowo rozgrywał się między specjalistami w dziedzinie leśnictwa a tzw. obrońcami przyrody. Zaostrzył się w 2016 r., po zaakceptowaniu przez resort środowiska aneksu dla planu urządzenia lasu dla Nadleśnictwa Białowieża, zwiększającego rozmiar pozyskania drewna. Ta decyzja była konieczna, bo trzeba było natychmiast ratować puszcę i przeciwdziałać masowemu rozmnażaniu się kornika drukarza. Jednak sprawa znalazła swój finał przed Trybunałem Sprawiedliwości Unii Europejskiej, do którego Polskę zaskarżyła Komisja Europejska, i Trybunał orzekł, że decyzje polskich władz naruszają prawo Unii Europejskiej.

Jaka – pana zdaniem – była przyczyna takiej, a nie innej decyzji Komisji Europejskiej? Jaka była jej argumentacja?

Decyzja ta nie była podyktowana przesłankami naukowymi ani nawet poprzedzona konsultacjami w środowisku naukowym. Nie wzięto w ogóle pod uwagę, że międzynarodowi specjaliści nauk przyrodniczych mieli różne zdania na temat ochrony Puszczy Białowieskiej. Nie mogąc wprost podważyć samych działań leśników, argumentem stało się możliwe naruszenie dyrektywy ptasiej i siedliskowej. To czysta polityka.

Jaki problem miała puszcza i co należało zrobić, aby ratować las?



FOT. LASY PAŃSTWOWE

Problem w Puszczy Białowieskiej miał swój początek już dekady temu. Puszcza, poza terenem ścisłego rezerwatu, zawsze była użytkowana. Do dziś ma status lasu wielofunkcyjnego, czyli też gospodarczego. W puszczy zaczął nadmiernie dominować świerk, a niekorzystny klimatyczny bilans wodny zaczął negatywnie wpływać na warunki rozwoju tego gatunku. Z kolei decyzjami z 2012 r. ograniczono pozyskanie drewna w puszczy. W efekcie kornik drukarz zaczął rozmnażać się gwałtownie – to było jak inwazja. W takiej sytuacji należało usuwać opanowane świerki, by ograniczyć rozprzestrzenianie się kornika, a także odtwarzać inne gatunki drzew, właściwe dla tego terenu. I takie też były plany do czasu zapadnięcia wyroku Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej.

Czy celem ekologów popierających decyzję Komisji Europejskiej jest destrukcja lasów?

Strona nazywająca się ekologiczną jest zainteresowana głównie naturalnymi procesami w przyrodzie. Nie dostrzega jednak, że las pełni także inne funkcje. Że generuje miejsca pracy, że drewno jest niezbędne w naszym codziennym życiu. Ekolodzy przekładają uczucia i emocje właściwe ludziom na przyrodę. Wręcz fetyszysują 100-letnie drzewa. Upodabnianie praw przyrody do relacji

międzyludzkich jest chwytliwe, ale dalekie od prawdy. Czy ekolodzy mają na celu destrukcję lasów? Nie, to wynik ich niewystarczającej, fragmentarycznej wiedzy i mody na bycie eko za wszelką cenę. Do destrukcji lasów mogą natomiast doprowadzić stosowane w złej wierze względy polityczne.

Dlaczego Polska ugięła się pod presją Unii Europejskiej?

Polska nie daje za wygraną, czego przykładem są nasze działania w reakcji na unijną strategię bioróżnorodności. Zgadza się co do celów, ale nie zgadza się na taki sposób realizacji. Wyłączenie znacznej części lasów z użytkowania to poważne konsekwencje dla gospodarki i społeczeństwa. Ten sam głos słyszymy z innych państw. Współpracujemy z nimi, gromadzimy dane i opinie. Nie przechodzimy do porządku dziennego nad narzuconymi rozwiązaniami.

O jakich stratach w wyniku podporządkowania się decyzji Unii Europejskiej możemy mówić? Jakie są koszty środowiskowe, finansowe i inne?

Przykład tego, co dzieje się z lasem w efekcie wyłączenia go z użytkowania, znamy właśnie z Puszczy Białowieskiej. Tam doszło do zniszczenia dorobku naszych przodków. Dokonuje się degradacja, a nawet zanik całych siedlisk jako miejsc bytowania cennych gatunków zwierząt i roślin. Stratni są też mieszkańcy okolicznych miejscowości. Nie mogą korzystać nawet z drewna na opał, które znajduje się na wyciągnięcie ręki i niszczeje.

Jaką widzi pan przyszłość Puszczy Białowieskiej? Czy las się odrodzi?

Puszcza na pewno nie będzie już tym lasem, który mogliśmy podziwiać jeszcze dekadę temu. Jako leśnicy mimo trudności dokładamy wszelkich starań, by zachować puszcę w jak najlepszym stanie, stosując się do przepisów prawa krajowego i unijnego. Na początku 2023 r. powinien zostać przyjęty zintegrowany plan zarządzania Puszczą Białowieską jako dziedzictwem UNESCO. Mamy nadzieję, że to załagodzi toczący się spór, a następne pokolenia dzięki naszym staraniom będą mogły dalej cieszyć się bogactwem i różnorodnością puszczy.



Joanna Bojańczyk

Niełatwo zestarzeć się w show-biznesie.

Sześćdziesięcioletnia Madonna nie ma zamiaru zejść ze sceny.

Gotowa jest na wszystko, żeby zwrócić na siebie uwagę

Pośladki okrągłe jak u niemowlaka, biust obfity i napęczniały, usta od nosa do brody. Tylko czasem widzowie na koncertach mogą się zaniepokoić niezdrową sztywnością pośladków tancerki. Gwiazda pop wszech czasów Madonna ma ledwo 63 wiosny. Za chwilę będzie obchodzić 40-lecie pierwszego singla. Sprzedała 340 mln płyt. Na wiek rozsądku jest jeszcze za wcześnie, gdy wciąż jest się seksbombą. Trzeba błyszczeć, nawet gdy kosztuje to wiele wysiłku.

Na 62. urodziny na Jamajce diwa zafundowała sobie pełną tacę trawy. Taca marihuany, papieros zwisający z ust – trzeba trochę odlecieć, gdy większość czasu żyje się w napięciu. Można by się zastanawiać, czy przypadkiem COVID nie naruszy żelaznej kondycji starszej pani – razem z członkami swojej ekipy Madonna zaraziła się w marcu roku 2020. Ale nie – nie było szpitala ani respiratora. Za to obszerna relacja na Instagramie – gwiazda śpiewająca przed lustrem ze szczotką do włosów zamiast mikrofonu, to znowu w wannie pełnej różanych płatków. Z twarzą napuchniętą od kwasu hialuronowego, sztywną od botoksu, napiętą jak balon, z ustami prawie takimi jak młodsza od niej Kim Kardashian.

Siedemnaście milionów obserwujących mogło również wysłuchać osobliwych medytacji nad „zbawiennym” wpływem COVID. „Ten wirus czyni nas równymi. Bez względu na to, czy jesteśmy bogaci, sławni, mądrzy, dowcipni... To, co w nim jest cudowne i straszne zarazem, to to, że we wszystkim nas zrównuje”. Że jednak nie wszystkich i nie we wszystkim, zimno sprostowali internauci. Czy z poziomu luksusowego londyńskiego mieszkania (sześć pięter, dziesięć pokoi, penthouse) obsługiwana przez liczny personel królowa popu

FOT. MALCOLM PHOTOGRAPHY/GETTY IMAGES

Starsza pani wciąż szaleje



nie widzi przypadkiem rzeczywistości w nieco wyidealizowany sposób?

ROBI Z SIEBIE WARIATKĘ

Cóż, trzeba robić zasięgi. Taki los gwiazdy. „Gotowa jest na wszystko, żeby zwrócić na siebie uwagę. Nie rozumie, że robi z siebie wariatkę” – mówią współpracownicy.

Próbowała z nią rozmawiać Rosie O'Donnell, znana amerykańska producentka i osobowość telewizyjna, ale jej wysokość nie słucha nikogo. Od czasów, gdy odeszła od niej Liz Rosenberg, długoletnia PR-ówka odpowiedzialna za wizerunek medialny, Madonna ma problemy z komunikacją. „Wycofała się” – mówi choreograf Brad Jeffries. Rosenberg, osoba doświadczona w pracy z innymi trudnymi gwiazdami pop: Cher, Rodem Stewartem, Prince'em, trzymała chlebodawczynię żelazną pięścią, wprawdzie w aksamitnej rękawiczce, ale uścisk był mocny. Jednak po 30 latach i to przestało działać.

Prawda jest taka, że Madonna, jak wiele innych gwiazd, które rozpoczynały karierę w latach 80., nie potrafi zrozumieć, że czas biegnie nieuchronnie. Nie oparła się bezlitosnemu rytmowi rynku muzyki pop. Pojawiły się gwiazdy nowych pokoleń: Britney Spears, Christina Aguilera, Lady Gaga. Ale królowa nie przyznaje się do porażki. Skoro muzyka nie da się zwrócić na siebie uwagi, to trzeba próbować innych sposobów. Na gali MTV w roku 2003, obok Britney Spears i Aguilery, to ona, nieustraszona czy niewyżyta, wymusiła medialny wybryk: pocałunek w usta z Britney. Zdjęcie obiegło cały świat.

I w ten sposób panna Ciccone odgrywa się na tych młodszych. Kradnie im miejsce na listach przebojów, bije liczbą przebojów na tournée. Sticky Sweet Tour w 2008 r. zarobił 408 mln dol. – najbardziej lukratywne tournée wszech czasów. Ostatni album – „Madame X” z roku 2019 – w dniu premiery wszedł na czoło list przebojów w 58 krajach. Jednak promujące go tournée okazało się zbyt szeroko zakrojone jak na możliwości 60-latkę, nawet tak silnej, wyćwiczonej, wymasowanej jak ona. Wiele koncertów trzeba było anulować. Zresztą częściowo z powodu marnej sprzedaży bardzo drogiego biletów, które kosztowały od 80 do 300 euro.

I tym razem nie chodziło o kaprysy. Ciało ma swoje ograniczenia. Madonna ma artretyzm bioder i kolan. Jej ciało wycieńczone wieloletnim wysiłkiem, pracą w siłowni nie ma już chrząstek, które by amor-

Presja rynku wywołuje u bohaterów sceny pop obsesję wiecznej młodości. Ciało na pokaz musi wyglądać młodo, być gładkie, a jego obraz medialny przefiltrowany, obrobiony

tyzowały stawy przy szalonych wstrząsach tanecznych, akrobatycznych podskokach, wygibasach. Bolał biodra i kolana. Madonna na YouTube skarży się, że cierpi, płacze z bólu. I wcale nie kłamie. Żeby pokazać, że cierpienie jest autentyczne, posunęła się do tego, że zaczęła swoje operacje filmować, nie określając jednak dokładnie, na czym polegają. Podobno chodzi o rzadkie zabiegi inżynierii molekularnej: przeszczepy chondrocytów ze szpiku kostnego, wstrzykiwanie komórek macierzystych... Zabiegi te w zasadzie stosuje się u osób przed pięćdziesiątką. Podała się im Céline Dion, 10 lat młodsza od Madonny, robią je sobie wysokiej klasy sportowcy, którzy narażeni są na wieloletnie forsowne treningi. Ale ci mają o trzy dekady mniej niż weteranka muzyki rozrywkowej.

WIECZNA MŁODOŚĆ POP

Oto patologie starzenia. Presja rynku wywołuje u bohaterów sceny pop obsesję wiecznej młodości. Ciało na pokaz musi wyglądać młodo, być gładkie, a jego obraz medialny przefiltrowany, obrobiony.

W show-biznesie niełatwo się zestarzeć. Umarli David Bowie, Whitney Houston, Prince, Michael Jackson. Niektórzy, jak Paul McCartney, umieją sobie wymyślić dojrzałość, choć bez pomocy skalpela mało kto się obywa. Ale Madonna nie potrafi starzeć się pogodnie. Nie potrafi być na drugim planie. Może przyprowadzić na scenę swoje adoptowane dziewięcioletnie bliźniaczki, może wystąpić nawet z córką Lourdes, ale to ona zawsze będzie na pierwszym planie. Lourdes wie doskonale, że w rywalizacji z matką nie ma szans. Dlatego woli pozostawać w bezpiecznej odległości od niej. Mieszka na Brooklynie, jest twarzą biżuterii Swarovski, domów mody Marc Jacobs i Juicy Couture.

Ale i to nie chroni jej przed kąśliwymi uwagami mamusi. A to córka nie goli sobie pach, a to ubrała się nie tak jak trzeba. Wszystkie temperamentne wymiany zdań dzieją się na Twitterze. Córeczka

nie pozostaje dłużna – wymiany pretensji bywają tak gwałtowne, że Madonna usuwa je ze swego konta.

PORA NA POMNIK

No i nie ma najmniejszego zamiaru złagodzić swego prowokacyjnie erotycznego wizerunku, który wypracowywała latami. W czerwcu pokazała się na pochodzie Gay Pride z biustem na wierzchu, okrytym tylko siatką. Lourdes uśmiechała się zmieszana. W październiku w „Tonight Show” Jimmy'ego Fallona na kanale NBC zademonstrowała swoje nowe atuty: zrobiony biust, wypchane i podciągnięte pośladki, płaski brzuch.

Od dwóch lat Madonna ma narzeczonego, trzy lata starszego niż jej córka. To Ahlamalik Williams, 27 lat, zawód: tancerz. Podobno dzieci Madonny bardzo go lubią. Jest ich sześcioro: Lourdes – 24 lata, Rocco – 21 oraz adoptowane: bliźniaczki Estere i Stella – 9 lat, Mercy – 15 lat, David – 16 lat.

Dzisiaj żadna gwiazda nie może nie być również aktywistką polityczną. Wszystko odbywa się według znanych reguł: była molestowana w dzieciństwie (na dachu wieżowca w Nowym Jorku), zwalcza Donalda Trumpa, potępia wojnę w Iraku, sprzeciwia się dyskryminacji gejów w Rosji.

Ale krytykuje także cancel culture i dość niejasno daje do zrozumienia, że jest antyszczepionkowcem.

I jak każda szanująca się gwiazda może pochwalić się adopcją dzieci z Afryki. Konkretnie z Malawi. Najpierw w roku 2006 adoptowała Davida, Mercy Jamesa w 2009 r., wreszcie bliźniaczki Estere i Stellę w 2017 r. Imiona wszystkich adoptowanych dzieci ma wytatuowane na ramieniu. Trzeba jednak przyznać, że jeden z najbiedniejszych krajów świata, Republikę Malawi, kraj w południowo-wschodniej Afryce, wspomaga także finansowo. Ufundowała tam szkoły, domy dziecka, szpital dla dzieci. W Malawi 70 proc. dzieci nie chodzi do szkoły, 10 proc. populacji zarażone jest AIDS, a średnia długość życia wynosi 65 lat.

Dziwna to osoba: skandalizująca i szczodra, wulgarna i inteligentna. Straciła matkę w wieku pięciu lat, wychowała ją surowy ojciec. „Gdyby moja matka żyła, byłabym zupełnie inną osobą” – mówi.

Tylko kim? Na razie ma zamiar opowiedzieć o sobie w filmie, który sama wyreżyseruje. Legenda już jest, teraz kolej na pomnik.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Aaaaaa piec na węgiel kupię

Rośnie liczba osób, od których słyszę, jak bardzo dziś żałują, że dały się namówić i zamieniając piec na węgiel na piec na gaz, wyrzuciły piec węglowy, bezrefleksyjnie pozbyły się go, zamiast zostawić jako rezerwowy – tak „na wszelki wypadek”, „na czarną godzinę”, czyli na takie czasy jak obecne. I teraz drżą ze strachu w oczekiwaniu na kolejne rachunki za ogrzewanie domu i wody.

Rzecz jasna, dziś istnieje, przynajmniej teoretycznie, nieco więcej sposobów na ucieczkę od energetycznej drożyzny niż tylko zamontowanie pieca na węgiel. Można sobie zainstalować np. pompę ciepła albo wspierać się ogrzewaniem elektrycznym zasilanym przez własną instalację fotowoltaiczną (co w zimie nie jest, niestety – z oczywistych powodów, takie proste), lecz po pierwsze – to są „wynalazki” właściwie wyłącznie dla ludzi, którzy mają własny dom, a po drugie – „wynalazki” niezwykle kosztowne na etapie zakupu i montażu. Zainstalowanie pieca na węgiel (choć dziś węgiel też przecież nie jest za grosze) może się więc okazać dużo tańsze, a już niepchanie się na wypródkę do wymiany pieca na węgiel, jeśli się go ma, na piec na gaz, wydaje się teraz rzeczą jak najbardziej logiczną, a więc i oczywistą, chyba że się jest jednym z tych zbzikowanych ekologów spod znaku fiksum-dyrdu „Fit for 55” i się nie zachowuje normalnie, czyli

roztropnie. Innymi słowy – głośna akcja wymiany „kopciuchów” na „czyste, gazowe piece” chyba właśnie samoistnie się zakończyła.

Ba, nietrudno sobie wyobrazić, że wkrótce ludzie ogrzewający dziś swe domy i mieszkania owym potwornie drogim i wciąż drożącym gazem zaczną montować u siebie dodatkowe piece – właśnie węglowe. A w mediach i na portalach społecznościowych zamiast tracących na popularności usług reklamowanych hasłem: „Dostawimy piec gazowy do węglowego”, królować zaczną inne – reklamowane hasłem: „Dostawimy piec węglowy do gazowego”.

Rzecz jasna, wydające przeróżne zezwolenia administracje państwowa i samorządowa – bez skrupułów popychane i popędzane przez oszałamiającą w swej klimatycznej furii unijną biurokrację – będą stawiały okoniem, będą zabraniały i zakazywały, będą ściagały – nasyłały kontrole i wlepiąły kary. Jednak czy marznący w swych domostwach ludzie będą mieli inny wybór, inne wyjście niż nieprzejmowanie się tymi groźbami, nieoglądanie się na te durne przepisy i zrobienie wszystkiego, żeby znaleźć rozwiązanie, które pozwoli im przetrwać kolejną zimę? A jeśli wyjściem tym okaże się – gdy już mróz „zajrzy w oczy” – właśnie piec na węgiel, to czy choć przez chwilę będą się zastanawiać, czy z niego skorzystać? Myślę, że nie sądzę.

Aaaaaa piec na węgiel pilnie kupię! ☺



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Lista sympatii betonu

Donald Tusk zapowiedział, że w tym roku Platforma Obywatelska opracuje swój program. Cieszy, że w ten sposób jej przewodniczący przyznał, iż do tej pory właściwie go nie miała. Wielu jej działaczy uznawało, że rolę programu wypełnią szczeniackie kpinki z Jarosława Kaczyńskiego (Klaudia Jachira) albo pokrzykiwanie o konieczności dokonania rozliczeń i wyrzucenia „PiS-owskich sędziów” (tu można by wstawić większość nazwisk polityków PO).

Dostaliśmy niespodziewany wgląd w psychikę i oczekiwania twardego antypisowskiego elektoratu

Tymczasem, chociaż niektórych może to zaskoczyć, od zrobienia Igora Tulei pierwszym prezesem Sądu Najwyższego rachunki za gaz i prąd nie spadną.

Donald Tusk uważa, że musi pokazać coś więcej. Lecz oto dostaliśmy niespodziewany wgląd w psychikę i poniekąd oczekiwania twardego antypisowskiego elektoratu. Tym wglądem okazała się ankieta wśród czytelników „Newsweeka” – bodaj najwścieklej antyrządowego obecnie pisma – mająca

wskazać stu najbardziej wpływowych Polaków. Na pierwszym miejscu jest... Tak! Tenże Donald Tusk.

Zachodzę w głowę, co głosujący na lidera PO powiedzieliby zapytani, jaki to był wpływ byłego premiera na kraj od momentu powrotu pół roku temu. Ale od biedy można uznać, że jakiś tam przecież faktycznie był.

Lecz jak uzasadnić drugie miejsce Adama Bodnara, który od pół roku nie jest już rzecznikiem praw obywatelskich? Co robi na piątym miejscu opozycyjny celebryta Maciej Stuhr?

Na miejscu siódmym jest z kolei celebryta covidowy dr Paweł Grzesiowski, na ósmym – dyżurna opozycyjna „powstanka” Wanda Traczyk-Stawska, a od razu za nią chodzący lewacki mem – europosłanka Sylwia Spurek.

Zastanawiają się państwo pewnie, na którym miejscu jest człowiek, który trzęsie polską polityką od 2015 r. Otóż Jarosław Kaczyński jest – a jakże! – na 50. miejscu. Wyrzadzili go m.in. raper Mata, europosłanka Ochojska, sędzia Juszczyszyn i Franek Sterczewski. Ten od sprintów pod granicą z torbą lkei.

Jasna sprawa, że ta lista nie odzwierciedla żadnego rzeczywistego wpływu na życie w Polsce. To lista sympatii betonu opozycji, która mówi wiele o jego oczekiwaniach. Zatem może naprawdę wystarczą Klaudia Jachira i Franek Sterczewski? ☺

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Pierwsze zwycięstwo Sobieskiego



JACEK KOMUDA

Podhajce, małe miasteczko na Podolu, to miejsce, w którym Jan Sobieski, późniejszy król Polski i wielki książę litewski, odniósł w październiku 1667 r. swoje pierwsze wielkie zwycięstwo, odpierając ataki Kozaków i Tatarów. Hetman był w beznadziejnej sytuacji, podobnie jak cały kraj. Rok wcześniej skończył się krwawy rokosz Jerzego Sebastiana Lubomirskiego, który skutecznie uniemożliwił królowi Janowi Kazimierzowi przeprowadzenie reformy i wybór

bez pomocy wobec połączonych sił ordy i kozackiego taboru. Armia koronna wstrząśnięta była w dodatku dwoma klęskami, które stały się jej udziałem rok wcześniej. Najpierw wojsko królewskie pobite zostało pod Mławami przez rokoszan, potem w grudniu przez Tatarów i Kozaków pod Brailowem. W dodatku nowy hetman jako stronnik królewski był niepopularny przez część kadry oficerskiej, gdyż wielu wojskowych popierało wcześniej buntownika Lubomirskiego. A nasz bohater przejął po nim urząd marszałka.

Postawiony naprzeciwko przeważających sił wroga Sobieski poradził sobie o wiele lepiej niż hetman Mikołaj Potocki w 1648 r. Jego kampania do dziś uznawana jest przez historyków za majstersztyk sztuki wojennej. Tak naprawdę niektóre jej elementy mogłyby służyć we współczesnej wojnie jako przykład rozdzielenia sił. Hetman spodziewając się, że Tatarzy jak zwykle wpadną na Podole i Ukrainę kilkoma drogami, podzielił swoje siły, rozmieszczając jazdę w wybranych miejscach – zwłaszcza w takich, gdzie przeszkody: ciekі wodne, błota i warunki terenowe umożliwiały obronę przed przeważającym wrogiem. Każda z rozdzielonych w ten sposób grup jazdy operowała w dodatku, opierając się na twierdzy, zamku lub warownym obozie i mogła w razie potrzeby wycofać się tam przed naporem przeciwnika. Rozdzieliwszy prawie wszystkie siły, sam hetman stanął pod Kamieńcem i czekał na przeciwnika. Nie trwało to długo.

Wpadłszy w granice Rzeczypospolitej, Tatarzy, rozdzieleni na kilkanaście drobnych grup, o dziwo – wszędzie byli bici, wszędzie napierani. Zaczęli zatem szukać wroga i skierowali się wreszcie na Lwów. 4 października drogę zagroziły

im główne siły Sobieskiego pod Podhajcami, gdzie hetman wydał Kozakom i Tatarom bitwę obronną z wykorzystaniem fortyfikacji polowych. To właśnie one pozwoliły zniwelować przewagę ruchliwej jazdy tatarskiej – pamiętajmy bowiem, że w otwartym polu, wbrew temu, co zwykle myślimy o Tatarach jako o dzikich barbarzyńcach, orda była doskonałym przeciwnikiem, a jej wojownicy słynęli z mistrzowskiego władania bronią białą. Bitwa, jak zwykle na stepach, stoczona była przy dużej przewadze sił. Hetman miał ok. 3–4 tys. żołnierzy i kilka tysięcy miejscowych, uzbrojonych chłopów, Doroszenko i kałga sułtan Krymu Gerej – ok. 15 tys.

Sobieski odparł pod Podhajcami ataki przeciwnika, zawierając na koniec z Kozakami i Tatarami ugodę, która niczego nie załatwiała, zapewniła jednak na pewien czas spokój południowo-wschodnim kresom Rzeczypospolitej. Doroszenko uznał zwierzchnictwo króla polskiego, Tatarzy otrzymali zwyczajowe upominki, pozwolono im też wrócić z jasyrem na Krym. Był to świetny początek kariery przyszłego Lwa Lechistanu, którego ukoronowaniem stała się odsiecz wiedeńska w 1683 r. Niestety, w późniejszych latach hetman zaangażował się w walkę polityczną ze stronnictwem kolejnego króla – Michała Korybuta Wiśniowieckiego, stając się praktycznie przywódcą opozycji totalnej. To on stał za zerwaniem sejmu koronacyjnego w 1669 r. i stosował przeciwko władcy te same brutalne metody, których później użyła opozycja Sapiehów przeciwko jemu samemu, zrywając sejmy i paraliżując działalność państwa. Niemniej jednak późniejsze zwycięstwa Sobieskiego zmyły w oczach potomnych te mało chwalebne czyny polityczne. Do dziś pozostają zaś Podhajce pomnikiem jego geniuszu wojskowego. ©



FOT. DOKŁAD PUBLICZNA



PIS. OBA

następcy tronu za życia poprzednika. Jednak pomimo oporu wszystkich stanów władca nie zrezygnował z planów, zamierzając nawet sprowadzić do Gdańska wojsko francuskie, aby siłą osadzić na tronie swego kandydata. Dwór pozostawał przy tym głuchy i ślepy na wydarzenia na Ukrainie, gdzie zbuntowali się Kozacy pod wodzą Piotra Doroszeńki, zawarli znowu przymierze z Tatarami i zaatakowali wojsko koronne.

Dziewiętnaście lat wcześniej podobny sojusz omal nie okazał się zgubą dla Rzeczypospolitej. Wówczas hetmani koronni pobici zostali nad Żółtymi Wodami i pod Korsuniem, później zgromadzona potężna armia rozpieczęta się pod Piławcami na samą wieść o nadejściu Tatarów. Teraz Ukrainy bronić miał hetman Sobieski z garścią wojska, pozostawiony przez dwór



W klasztorach
szule prano ra
a pończochy,
i trzewi
tydzi



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Noworoczny upadek mitu pandemii?

Właśnie zawalił się ważny mit covidowy. Testy PCR okazały się niemiernodajne. Tak stwierdziła CDC, czyli taki amerykański sanepid. Stwierdziła ona, że nie można stosować takich testów, bo nie odróżniają one koronawirusa od grypy i mogą wskazywać fałszywie pozytywne wyniki. Żeby zrozumieć, co to znaczy, potrzeba wrócić do podstaw, gdzie leży konstatacja, że... cała pandemia oparta jest na testach. Bez nich, jak ze słuczonym termometrem, nie wiedzielibyśmy, że mamy gorączkę. Nie byłoby tych wszystkich fal, powrotów, paniki i cudów.

Pierwszym ruchem w tych krajach, które uznały, że z COVID trzeba żyć, było zaprzestanie masowego testowania obywateli. Bo liczba testów miała bezpośrednie przełożenie na fale i można było falować pandemią, po prostu zwiększając liczbę testów. Takie wyniki podejmowały rozgrzane epidemiologicznie media i mieliśmy pandemię... testów. No tak, ale to można było zawsze zweryfikować zgonami. No właśnie – jakimi? Covidowymi? A jakie to były zgony covidowe, jak wyszło – po dwóch latach! – że test, za którym stoi to wszystko, może mylić COVID z gripą. I w szpitalach, okazało się, że częściej w domach, umierali ludzie na przenoszone zapalenia płuc, tyle że oprócz tego pochorowali na pozytywne testy.

To także wytłumaczyłoby fenomen zniknięcia grypy, co

się nie zdarza w przyrodzie. W 2019 r. przed COVID mieliśmy ponad 1,12 mln przypadków grypy, w 2020 r. – 660 tys., czyli o połowę mniej. W dodatku stwierdzenie grypy było namierzone na oko, COVID zaś testem, a więc wydawałoby się, że grypa była niemiernodajnie obliczana, a koronawirus dokładnie. Teraz wyszło, że testy mieszały jedno z drugim, co dowodzi, że grypa się „ukryła” w testach i wielu ludzi z nią, a nie z COVID, wyładowało w zatrważających danych, na kwarantannach i po szpitalach.

Co ciekawe, CDC odrzuciła też miarodajność testów na antycyala. Problem był znany, ale nie wiem, dlaczego niesygnalizowany. Poziom antycyala nie może być stały, bo to by oznaczało, że organizm ciągle ma do czynienia z patogenem i walczy. Antycyala spadają i nie świadczą o gotowości do walki, a jeśli spadną, to nawet nie wiadomo, czy organizm miał do czynienia z taką walką, czyli czy przeżył chorobę. Okazało się, że trzeba zamiast tego robić testy IGRA na odpowiedź komórkową. Określają one poziom limfocytów T, które wskazują na realną i stałą gotowość organizmu do zmierzenia się z koronawirusem.

Padł więc nie tylko mit pandemiczny, lecz także okazało się, że mieliśmy błędne narzędzie do mierzenia pandemiczności pandemii, które zawiązując realne wymiary epidemii, wprowadziło nas w trans covidowego danse macabre. ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Świeczka i ogarek

Tegorocznego uroczystego błogosławieństwa Urbi et Orbi, tradycyjnie wygłoszonego przez papieża pierwszego dnia świąt Bożego Narodzenia, wysłuchałem w całości. Oczywiście obok pięknej modlitwy i krótkiej katechety ważne jest nie tylko to, co papież Franciszek powiedział, lecz także to, czego nie powiedział.

Po pierwsze, Ojciec Święty w modlitwie o pokój wspominał miejsca konfliktów na świecie. Bardzo ważne, że znalazło się również odniesienie do Ukrainy, zabrzmiało jednak zdawkowo. I było to tak sformułowane, że nie wiadomo, czy to Ukraina sama w sobie jest źródłem problemu. Papież słowem nie wspominał o tym, skąd pochodzi zagrożenie, kto jest agresorem, a kto ofiarą, i gdzie są źródła tego konfliktu. Papież też modlił się, wspominając ofiary wszelkiego ucisku i prześladowań, w tym religijnych. Oczywiście były passus o pandemii oraz apel o dostęp do lekarstw i szczepionek dla krajów ubogich.

Znalazło się oczywiście wspomnienie o ofiarach przemocy wobec kobiet. Niestety, w rozważaniu, w dniu Bożego Narodzenia, nie usłyszałem ani jednego słowa o ofiarach najstraszliwszej przemocy, która rozgrywa się we współczesnym świecie, czyli o ofiarach aborcji. A przecież obraz żłóbka, Matki Bożej, owiniętego w pieluszki nowo narodzonego Dzieciątka jakby sam prowokował upomnienie się o prawa

i godność tych, którym nie pozwolono się urodzić.

Potem, na dziedzińcu pod oknem papieskim, miały miejsce uroczysta odprawa warty, pokaz musztry i występ orkiestry watykańskich gwardzystów. Stojąc w szerokich odstępach (na pewno więcej niż dwumetrowych), wszyscy gwardziści mieli dziwne namordniki, wyglądające jak psie kagańce. Nie były to zwykłe tekstylne maseczki, tylko te wypukłe typu FFP z filtrami, które zmieniają fizjonomię ludzkiej twarzy. Mimo że wszystko działo się na świeżym powietrzu, a dystans był zachowany, niestety wszyscy musieli stać i paradować w komicznych akcesoriach, co w zestawieniu z pięknymi mundurami z epoki i tradycyjnym uzbrojeniem wyglądało groteskowo. Również orkiestra tylko na czas grania mogła zdjąć maseczki.

Tym samym scena musztry bardziej przypominała scenę tresury. Kamera na chwilę pokazała twarz papieża. Franciszek spoglądał z pochyloną głową, z góry, i nie było to spojrzenie czułego ojca czy też troskliwe oblicze pasterza. Było to zimne, beznamienne spojrzenie zmęczonego człowieka. Smutny obraz, gdzie zamiast dostojności i piękna tradycji widzimy, jak zaszczepieni ludzie (wszystkich pracowników Watykanu pod groźbą utraty pracy zmuszono do szczepienia) stoją w upokarzających maskach, nie prognozuje dobrze sytuacji w Watykanie i nie nastroja optymizmem na nowy rok. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Nie uczcie się historii od Janiny

Tygodnik „Polityka” opublikował słuszny ideologicznie i emocjonalnie wzmożony wywiad z Janiną Ochojską, osobą, którą złośliwcy charakteryzują jako „kobietę o sercu przewyższającym umysł”. Pani Ochojska od pewnego czasu jest zdecydowaną zwolenniczką imigrantów szturmujących naszą wschodnią granicę. Poglądy ubiera w słowa tak niekonwencjonalne, że zajmie się nią prokuratura, ale nie o tym, nie o tym. Chciałem po prostu zwrócić uwagę na dwie rzeczy, po pierwsze, żeby nie uczyć się historii od Szlachetnej Janiny, oraz po drugie, żeby mieć oko na tych złośliwców z „Polityki”, którzy do rozmówczyni miło, miłusińsko, ale swoją wyższość jednak pokazali, lekko panią europosłankę postępując. Zachowajcie czujność, obywatele!

Porównywanie do nazistów obrońców naszych granic wydaje się pewnej grupie ludzi niezwykle wysublimowane intelektualnie, bo, wiadomo, odniesienia do historii, rozległa wiedza, błyskotliwe na polu rozległości operowanie analogiami i tak et cetera. Mówi więc Ochojska Janina w wywiadzie dla „Polityki” o naszych żołnierzach: „Gdy o tym myślę, przychodzi mi do głowy proces Eichmanna, który w Norymberdze też bronił się, mówiąc, że tylko wypełniał rozkazy”. Hmm. Kochana Janino, Adolf Eichmann odpowiedzialny za logistykę Holocaustu uciekł po drugiej wojnie światowej do Argentyny. Na ławach oskarżonych w procesie w Norymberdze

bynajmniej nie zasiadł. Porwany przez Mosad w 1960 r., zasiadł na ławie oskarżonych w 1961 w Jerozolimie, a stracony został w 1962 r. Spektakularne porwanie Eichmanna i jego proces opisany został przez Hannah Arendt. Wypadałoby wiedzieć, natomiast na jeszcze jedno pragnę zwrócić uwagę. Otóż ten wywiad „Polityka” wydrukowała. Możliwości są zatem dwie: albo te redaktory takie mądre jak Janina i nie zauważyły wpadki, albo zauważyły i przepuściły, żeby Janinę ośmieszyć. Stawiam na drugie.

Anna Maria Żukowska z Lewicy zszokowała na TT świat lewicy. Komentując najpierw artykuł w „Gazecie Wyborczej” o zarobkach w mikroprzedsiębiorstwach, napisała: „Polacy zachęcają Polaków do zakładania własnych firm. Problem w tym, że mikrobiznesy są najmniej wydajnymi podmiotami w gospodarce. W 2020 r. średnia płaca w mikroprzedsiębiorstwach wynosiła 3509 zł brutto, czyli 2561 zł na rękę”. Niestety, z panią Anną polemizowało wielu mikroprzedsiębiorców, zwracając uwagę na nadmierne obciążenia podatkowe i wysoki, obowiązkowy ZUS, który muszą płacić przedsiębiorcy. Ale pani Anna mu odpowiedziała: „Gospodarce zwyczajnie opłaca się promocja zatrudnienia w dużych firmach, a nie głaskanie po głowie biedafirm”. Lewica nazywa ciężko pracujących ludzi pracy biedafirmami? To na pewno da się jakoś wytłumaczyć. Nie mam pojęcia jak. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Kobieta NIEśmiała

Małgośka – mówią mi – „Gazeta Wyborcza” daje nam na wzór 50 śmiałych kobiet roku 2021.

A ja już wiem, że jeśli „Wyborcza” cokolwiek zachwala, to należy jak najszybciej zapoznać się z ofertą, żeby wiedzieć, czego unikać, gdzie omijać i jak daleko bywać, żeby nie trafić. Zagadką pozostaje pytanie: Kogo z osób naprawdę wyjątkowych i godnych podrzucą do kolektywu z piekła rodem?

Właściwie ranking kobiet 2021 powinien zawierać info: „Uwaga! lokowanie produktu”, czyli aborcji. Oczywiście żadnej z tych wojujących aborjonistek nie przyszło na myśl, że mogą się teraz dumnie przeżyć na zdjęciach i być „bohaterkami” tylko dzięki temu, że ich matki nie zrobiły im właśnie tego, o co one walczą dla innych. No ale nie wymagajmy metafizycznych refleksji od kobiet, które lansuje dziennik pokładowy nadwiślańskiej lumpeninteligencji. Zestawienie otwiera też pani Wanda Traczyk-Stawska „za obronę obecności Polski w UE, za pokazanie, że kobiecy krzyk ma siłę”. Nie słyszeliśmy co prawda żadnego krzyku, gdy niektórzy chcieli „babci schować dowód”, żeby tak po europejsku i arcydemokratycznie rozprawić się z moherowym elektoratem, no ale wtedy sytuacja nie wymagała użycia słów: „Milcz, chamie skończony”.

Babcia Kasia, czyli Katarzyna Augustynek, też lubi pokrzyknąć, a czasem nawet spuścić bęcki policjantom, więc również zasłużyła na wyróżnienie w tym gronie. Czołówkę obstawiają grupowo „Kobiety na granicy” i Aborcyjny Dream Team, bo są autorkami „działań, które zachwycają i dają nadzieję”. No ba! I nikt jeszcze poematu im nie poświęcił?

Pisarze do piór! – jak zachęcano w PRL, gdy trzeba było zmienić kanon heroin w lekturach szkolnych. Co tam jakieś reakcyjne bohaterki w typie Emilii Plater lub Wandy, co Niemca nie chciała! Zresztą obie eurofobki, bo wcale się nie chciały federalizować. Czyje pióro udźwignie opis odwagi nowych bohaterek zbiorowej wyobraźni? Na pewno noblistka i spółka celebrycka z o.o. A kto dorzuci poemat o innych wyróżnionych: „za bunt przeciw religijnej opresji”, „za walkę o prawo transpłciowego (małoletniego!) dziecka do bycia sobą”, a zwłaszcza „za walkę z wykluczeniem menstruacyjnym”?

Ileż szczęścia daje mi wykluczenie z tego grona! Jakem duma, że nie byłam „śmiałą kobietą 2021 r.” i że nawet żadna z nich nie jest z mojej rodziny! A jeszcze, jak sobie przypominę, że pracuję dla naczelnego, który „nie kochał” Generała, całunych epizodów z dyktatorem nie zaliczył, to przyznać muszę, że jak na pierwsze dni nowego roku mam już spore osiągnięcia. ©©

WOJCIECH
ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Co tu zrobione jest?

Pywanie sprzątaczkę sprzed siedziby PiS na Nowogrodzkiej w reakcji na wyczyn pani Lempart może być symbolem prostego zdziwienia nad wyczynami ludzi, którzy dziś przodują w rewolucji szaleńców i mienia się autorytetami. Są w tym pytaniu zdziwienie i oburzenie osoby, której wysiłek zasługuje na uznanie, który jest potrzebny, żeby nasze życie wyglądało przyzwoicie, a który jest bezmyślnie marno-

kombinacja kilku motywów. Palicho, jeśli są to motywy szarych ludzi, którzy mogą zrobić krzywdę najbliższemu lub sobie samym. Gorzej, jeśli kierują się nimi decydenci z pierwszych stron gazet. Wtedy skala zniszczeń może być naprawdę ogromna. Dzisiejszy świat skłania do wielu niewesołych refleksji. Obserwujemy rosnącą w siłę maszynę chińskiego totalitaryzmu, narastającą agresję imperializmu rosyjskiego oraz wigor i masowość islamu-

„nauki”. Obecny marksizm kulturowy korzysta z niektórych „zdobyczy” komunistów, na przykład wykorzystując wyśławione przez nich określenie „fasyzm” jako epitet piętnujący przeciwników. „Demokratami” są tu nadal zwolennicy narzucania innym swojej woli, a „postęp” nie zna granic, podobnie jak „wolność”, która jest oczywiście „uświadomioną koniecznością”. „Średniowiecze” jest nadal w modzie jako symbol zacofania, a jeśli czyjeś poglądy uznaje się za niesłuszne, to mówi się z dumą o „XXI w.”. Rewolucja szaleńców wprowadziła mnóstwo innych złodziejskich sztuczek słownych. „Tolerancja” i „niedyskryminacja” to największe zdobycze współczesnych złodziei słów średniego pokolenia tych rewolucjonistów. Przeciwników trzeba oskarżyć o urojone lęki. Stąd różne „islamofobie” i „homofobie”. „Dziura ozonowa” wyszła z mody na rzecz walki z ociepleniem. Młodzież zaś szokuje ciągle nowymi pomysłami, odcinającymi ją od poważnej rozmowy o sprawach tego świata.

Mówiąc więc poważnie, najbardziej niebezpieczne jest wmawianie ludziom, że nie ma prawdy, a wytyczne płynące z Dekalogu są nieaktualne, że obrona dziesięciu przykazań to, jak gdzieś wyczytałem, „kościółkowe pierdololo”, że raj znajduje się „poza dobrem i złem”. Ludziom otumanionym takimi słowami łatwo także wmówić, że tym rajem pokierują nadawcy takich komunikatów w celu realizacji powszechnego szczęścia. Zamiast szczęścia powszechnego zobaczymy jednak katastrofę i wtedy za późno będzie przypominać zdziwienie pani z Nowogrodzkiej: „Co tu zrobione jest? Kto to tak zrobił?”. ©

Dzisiejszy świat skłania do wielu niewesołych refleksji.

Obserwujemy rosnącą w siłę maszynę chińskiego totalitaryzmu, narastającą agresję imperializmu rosyjskiego oraz wigor i masowość islamistów

wany. Refleksja pani sprzątajacej na Nowogrodzkiej ma znaczenie szersze niż tylko jako ocena wspomnianego wydarzenia.

Przeżywamy miałki wynurzenia celebrytów, debatujemy nad głupstwami, a obok przechodzi rzeczywistość wcale nie tak płytka i bezproblemowa, jakby się nam mogło wydawać. Patrząc na gadające głowy, możemy nie zauważyć wymowy naprawdę ważnych obrazów. Podobno żyjemy w kulturze obrazkowej. A czy rzeczywiście utkwiał nam w głowie obraz Bundeswehry maszerującej przed ustępującą kanclerz Merkel nocną porą z pochodniami w dłoniach? Czy jeszcze pamiętamy filmik z Adamem Michnikiem obcałowującym gen. Jaruzelskiego ze słowami pełnymi uniesienia i miłości? Co naprawdę znaczą te obrazy?

Cywilizacyjne szkodnictwo ma wiele źródeł. Mogą to być żądza władzy, pazerność, pycha lub ideologiczne zaślepienie, a może być

stów. Widzimy imperialną pychę napędzaną ideologicznym paliwem oraz żądzą władzy i pieniędzy. Świat zachodni pogrąża się zaś w rewolucji szaleńców, którzy władzę i pieniądze marnują w celu realizacji nowej, zupełnie oderwanej od rzeczywistości wizji człowieka wolnego od ograniczeń kulturowych, moralnych, ba, nawet biologicznych. Człowieka, który nie wie, czy gorsza jest dyskryminacja kobiet, homofobia, mizoginizm czy jednak transfobia, mężczyzny, który chce wygrać w biegach z kobietami i wpycha się do damskiej toalety, ale walczy z dyskryminacją kobiet.

Ważnym zjawiskiem z pola walki z cywilizacją zachodnią jest kradzież słów. Nie jest to zjawisko nowe, bo wymyślone przez komunistów, którzy gwałcąc wszelkie prawa boskie i ludzkie, dowodzili, że są „demokratami” korzystającymi z osiągnięć

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Rządzą nami szaleńcy. Nie tylko Polską – ci polscy jedynie powielają szaleńców zagranicznych. Powielają bezmyślnie, bo skoro we Francji coś, to u nas to samo – bezrefleksyjnie i bez kwestionowania szaleństwa. Tego, co rządzący wyrabiają w Europie i USA, nie da się wytłumaczyć odmiennym światopoglądem. Oni oszaleli.

Propozycja polskiego rządu, by całkowicie odejść od węgla – czy to jest koncepcja normalna? Nie jest. Działania powinny być sensowne i prowadzić do poprawy bytu obywateli, do postępu, rozwoju, do lepszego życia. A co oni nam proponują po odejściu od węgla? Lepsze życie w Polsce? Odchodząc od węgla, pogorszymy sobie wszystko. Paliwo (jakieś) będziemy kupowali z zagranicy, około miliona ludzi pracujących w przemyśle węglowym straci pracę, a dobre paliwo, którego Polska ma całą furę, zostanie pogrzebane pod ziemią.

Padł rozkaz likwidacji elektrowni węglowych oraz domowych pieców na węgiel i ani słowa o tym, co zamiast. Tak właśnie działa szaleniec. Czym się będziemy grzali i skąd brali prąd? Szaleńcy nie odpowiadają. Podejmują kolejne decyzje o likwidacji kolejnych rzeczy, ale nie proponują niczego w zamian. Zlikwidują ci piec i... będziesz palił meble na środku salonu, a prąd produkował za pomocą dynama i wiatraczka?

Węgiel do ogrzewania mieszkań ma być zlikwidowany (zakazany?) do roku 2029, czyli w ciągu najbliższych ośmiu lat! Po pierwsze, to nierealne, niewykonalne. Ale po drugie, gdyby miało być zrealizowane, to oni będą musieli stosować przemoc. Bo jak



FOT. W. CEJROWSKI/UTD/ARND BRONKHORST

inaczej? Masz piec domowy na węgiel, a oni sobie postanowili likwidację kilkunastu milionów pieców w ciągu ośmiu lat. No to muszą się do tego zabrać lada chwila. I przyjdą do ciebie z policją czy jak? Dosolą karę? Masz zamarzać zimą czy co?

Dofinansują wszystkim jakieś inne piece? Ale jakie? Bo u tych szaleńców wszystko, co emituje CO₂, jest niedobre i idzie do likwidacji. Zaproponuj ci grzanie na prąd? Kogo na to stać? I skąd będzie prąd, skoro elektrownie węglowe idą do kasacji razem z twoim piecem? Atomówki nie dadzą rady wybudować w osiem lat, a poza tym już stwierdzili w UE, że elektrownie atomowe też emitują CO₂, czyli w zasadzie won z nimi. Jak daleko mamy się cofnąć w rozwoju, by zaspokoić szaleńca?

W Stanach i w Unii mówią już teraz głośno o potrzebie likwidacji mięsa, bo produkcja mięsa to CO₂. Krowy pierdzą metanem czy czymś tam, świnie podobnie, a potem człowiek, gdy się nażarł mięsa, więc Bill Gates kupuje ogromne połacie ziemi uprawnej z przeznaczeniem pod uprawę zmodyfikowanej soi po to, by z niej robić sztuczne mięso. Jadł nawet kawałek tego swojego „mięsa” do kamery i się krzywił, że nie jest smaczne, ale dodał, że „będziemy musieli przywyknąć”. SZALENIEC.

Boris Johnson gada o odbieraniu ludziom paszportów. Najpierw kryminalistom. I ludzie kiwają głowami, że koncepcja sensowna. Ale

zaraz potem pada propozycja, by paszporty odebrać także niesubordynowanym obywatelom, którzy nie chcą się szczepić. I tu też masa ludzi kiwa głowami, bo przecież nieszczepieni roznoszą choroby, to lepiej, żeby nie latali. W tym samym czasie Komisja Europejska zmierza do objęcia restrykcjami całej komunikacji, w tym lotnictwa. Jeżeli zezwoli na podróże, to pociągami elektrycznymi. I „będziemy się musieli przyzwyczaić”. Do czego? Do tego, że nie będzie wolno polecieć na zagraniczne wakacje? A od kiedy? KE stwierdziła, że samoloty oraz samochody osobowe na benzynę mają zniknąć do roku 2040, czyli w ciągu 18 lat.

I nikt nie nawrzeszczał na szaleńców. Nikt nie każe ich odsunąć od władzy za niepo czytalność.

Szaleniec Biden opowiada bajki idioty o ZEROWEJ emisji CO₂, do której mają dojść Stany Zjednoczone. Oszalał. Zero-wa emisja oznacza, że mamy przestać wydychać? W tych pomysłach jest zapisany regres gospodarczy do poziomu... właśnie nie wiemy jakiego, bo zerowa emisja oznacza zero przemysłu, zero samochodów, zero samolotów. I oni to mówią na poważnie! UE opowiada to samo, co szaleniec Biden, a polski premier wiecznie dostosowuje Polskę do wymogów Unii.

Rząd brytyjski przyznał, że po przyjęciu podwójnej dawki szczepionki twój organizm nie będzie już w stanie uzyskać na-

turalnej odporności na COVID i prawdopodobnie na żaden inny wirus. Spadek odporności jest permanentny. Ale nadal szczepią jak szaleni.

Zgasił ci odporność naturalną i będziesz się musiał szczepić w nieskończoność, aby uzyskiwać czasową odporność sztucznie. Przeczytaj to raz jeszcze powoli i ze zrozumieniem: ten, kto się zaszczepi, traci odporność naturalną na COVID oraz prawdopodobnie na wszystkie inne choroby. Czyli szczepionka działa jak HIV i wywołuje AIDS (nabyty niedobór odporności). Z tego, co ogłasza rząd brytyjski, wynika, że ta szczepionka to broń biologiczna, ale szaleńcy nadal szczepią.

W Izraelu się przestraszyli i zaczęli badać szczepionki. Dwa miliardy ludzi na świecie zaszczepionych, a oni dopiero teraz zaczynają sprawdzać, czy szczepionka bezpieczna. Izrael jest krajem najbardziej zaszczepionym na świecie. I co? Sami sobie zorganizowali kolejny Holokaust?

Ogólnie na świecie obszary o najwyższym poziomie zaszczepienia (Europa + USA) są jednocześnie epicentrum choroby. Ale szaleńcy nie przestają szczepić. W Afryce z kolei zaszczepionych najmniej i COVID też najmniej. Ale szaleńcy nie wyciągają wniosków ani nawet nie analizują faktów.

Szaleńcy rządzą już światem. Neron był szalony – kazał podpalić Rzym i podziwiał swoje „dzieło sztuki” z tarasu. Kaligula był szalony, ale rządził imperium. Hitler był szalony, Lenin miał syfisy przez przerwaniem do mózgu. Historia uczy, że narody grzecznie wykonują obłąkane rozkazy szaleńców.

Chiny odpowiadają za połowę światowej produkcji energii z węgla i otwierają kolejne elektrownie węglowe. My w tym czasie popełniamy cywilizacyjne samobójstwo. ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

**TYGODNIKA „DO RZECZY”
I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”**



~~919~~ zł

W PREZENCIE
KSIĄŻKA

PAWEŁ LISICKI
„SYSTEM DIABŁA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

341,00 zł
OSZCZĘDNOŚĆ 578 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 8987abae06

SUPER TITANIUM



Eco-Drive



CITIZEN®

BETTER STARTS NOW